

e. lockhart

**KŁAM  
CZUCHIA**



**KŁAM  
CZUCHA**

UCHAAHOU  
ŁAMCZUCHA  
e.lockhart  
ZUCHAAHOU

**KŁAM  
CZUCHA**

przekład  
Agnieszka Brodzik

IV CZWARTA STRONA

Tytuł oryginału: *Genuine Fraud*

Copyright © 2017 by E. Lockhart

This translation published by arrangement with Random House Children's Books,  
a division of Penguin House LLC

Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2018

Redaktor prowadząca: Milena Buszkiewicz

Redakcja: Dawid Wiktorski

Korekta: Małgorzata Kryszkowska

Skład i łamanie: Klaudia Kumala

Projekt okładki: Christine Blackburne/MergeLeft Reps, Inc.

Adaptacja okładki i stron tytułowych: Dawid Czarzyński

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz Nowacki

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie.

Wydanie elektroniczne 2018

eISBN 978-83-7976-840-0

CZWARTA STRONA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.

ul. Fredry 8, 61-701 Poznań

tel.: 61 853-99-10

fax: 61 853-80-75

redakcja@czwartastrona.pl

www.czwartastrona.pl

*Dla wszystkich, których nauczono, że „dobry” znaczy cichy i grzeczny, oto moje serce z całym jego brzydkim chaosem i wspaniałą furią.*

Zacznij tutaj:

 TRZECI TYDZIEŃ CZERWCA 2017  
 CABO SAN LUCAS, MEKSYK

To był cholernie dobry hotel.

W pokojowym barku Jule znalazła chipsy i cztery różne czekoladowe batony. Wanna sama robiła bąbelki. W łazience nigdy nie brakowało grubych ręczników i mydła w płynie o zapachu gardenii. W lobby o czwartej popołudniu każdego dnia starszy pan grał Gershwiną na zabytkowym fortepianie. Można było się zapisać na maseczkę z ciepłej gliny, jeśli nie miało się nic przeciwko dotykaniu przez obcych ludzi. Skóra Jule cały dzień pachniała chlorem.

Playa Grande Resort w Baja obfitował w białe zasłony, białe płytki, białe dywany i ogromne bukiety białych kwiatów. Obsługa wyglądała jak sanitariusze w swoich białych bawełnianych uniformach. Jule mieszkała w hotelu już prawie cztery tygodnie. Miała osiemnaście lat.

Tego ranka wybrała się na siłownię, żeby pobiegać. Założyła szyte na zamówienie buty, w kolorze morskiej zieleni i z granatowymi sznurówkami. Nie słuchała muzyki. Robiła interwały już niemal godzinę, kiedy jakaś kobieta weszła na bieżnię obok.

Nieznajoma nie miała jeszcze trzydziestu lat. Czarne włosy zebrała w kucyk na czubku głowy i spryskała obficie lakierem. Miała umięśnione ramiona i solidny tułów, jasnobrązową skórę i przyprószone różem policzki. Jej buty były starte na piętach i pochłapane błotem, już zaschniętym.

Na siłowni nie było nikogo innego.

Jule zwolniła do marszu, planując wyjść za minutę. Ceniła swoją prywatność, a poza tym i tak właściwie kończyła.

– Trenujesz? – zapytała nieznajoma. Pokazała na statystyki biegu Jule. – Do maratonu czy coś? – Akcent miała meksykańsko-amerykański. Pewnie mieszkała w Nowym Jorku i wychowała się wśród ludzi mówiących po hiszpańsku.

– Biegałam w szkole średniej. To wszystko. – Jule z kolei miała akcent brytyjski, nazywany „angielskim z BBC”.

Kobieta zmierzyła ją wzrokiem.

– Podoba mi się twój akcent – stwierdziła. – Skąd jesteś?

– Z Londynu. Dokładnie Saint John’s Wood.

– Ja z Nowego Yorku.

Jule zeszła z bieżni, żeby rozciągnąć czworogłowe.

– Jestem tutaj sama – przyznała się po chwili nieznajoma. – Zameldowałam się zeszłej nocy. Zarezerwowałam pokój na ostatnią chwilę. Długo już tu siedzisz?

– W takim miejscu nigdy nie jest się wystarczająco długo – odparła Jule.

– Więc co polecasz? Spośród tutejszych atrakcji?

Jule rzadko rozmawiała z innymi gośćmi hotelowymi, ale uznała, że nic się nie stanie, jeśli odpowie.

– Idź na nurkowanie. Widziałam zajebiście wielką murenę.

– Żartujesz. Murenę?

– Przewodnik zwabił ją przynętą z rybich wnętrzności, które miał w plastikowej butelce po mleku. Murena wypłynęła spomiędzy głazów. Musiała mieć ze dwa i pół metra. Była jasnozielona.

Nieznajoma zadrżała.

– Nie cierpię muren.

– No to daruj sobie, skoro tak łatwo cię przestraszyć.

Kobieta się roześmiała.

– A jak jedzenie? Jeszcze nic nie zamawiałam.

– Weź ciasto czekoladowe.

– Na śniadanie?

– No jasne. Jak poprosisz, przyniosą ci ze wszystkimi dodatkami.

– Dobrze wiedzieć. Podróżujesz sama?

– Słuchaj, muszę zmykać – rzuciła Jule, czując, że rozmowa zrobiła się zbyt osobista. – Narka. – Ruszyła w stronę drzwi.

– Mam obłożnie chorego ojca – ciągnęła dalej nieznajoma. – Teraz jego stan wreszcie się ustabilizował, a ja tak strasznie chciałam wyrwać się z domu, że nie zwracałam uwagi na koszty. Wydaję tutaj mnóstwo kasy, której nie powinnam wydawać.

– Na co cierpi twój ojciec?

– Stwardnienie rozsiane – odparła. – I demencję. Kiedyś był głową naszej rodziny. Wielki macho. Nie dawał sobie w kaszę dmuchać. Teraz jest powykręcany ciałem przykutym do łóżka. Przez większość czasu nawet nie wie, co się z nim dzieje. Czasami pyta, czy jestem kelnerką.

– Cholera.

– Boję się, że go stracę, ale nienawidzę przy nim być. Kiedy umrze, a ja zostanę sierotą, wiem, że będę żałować tej wycieczki, rozumiesz? – Nieznajoma zatrzymała się i postawiła stopy po bokach bieżni. Wytarła oczy wierzchem dłoni. – Przepraszam. Rozgadałam się.

– Spoko.

– Idź, śmiało. Weź prysznic czy co tam. Może jeszcze na siebie wpadniemy.

Nieznajoma podciągnęła rękawy bluzki i spojrzała na cyfrowy odczyt bieżni. Na prawym przedramieniu miała poszarpaną bliznę, jakby ranę zadano nożem, nie tak równo jak w przypadku operacji. Musiała się za nią kryć jakaś historia.

– Słuchaj, lubisz quizy? – zapytała Jule wbrew rozsądkowi.

Uśmiech. Białe, ale krzywe zęby.

– Właściwie to jestem mistrzynią quizów z wiedzy ogólnej.

– Organizują je co drugi wieczór w salonie na dole – powiedziała Jule. – W sumie to straszna głupota, ale chcesz iść?

– W jakim sensie głupota?

– Pozytywnym. Jest zabawnie i głośno.

– Okej. Jasne.

– Super. Damy czadu. Będziesz się cieszyć, że pojechałaś na te wakacje. Ja jestem dobra z superbohaterów, filmów szpiegowskich, youtuberów, fitnessu, finansów, makijażu i pisarzy epoki wiktoriańskiej. A ty?

– Epoki wiktoriańskiej? Dickens na przykład?

– Coś w tym stylu. – Jule poczuła, że się czerwieni. Nagle



przyszło jej do głowy, że to dziwny zestaw zainteresowań.

– Uwielbiam Dickensa.

– Serio?

– Serio. – Kobieta znów się uśmiechnęła. – Jestem dobra z Dickensa, gotowania, bieżących wydarzeń, polityki... Co jeszcze? O, wiem, z kotów.

– Doskonale. Quiz zaczyna się o ósmej w salonie przy głównym holu. Jest tam bar z kanapami.

– Ósma wieczorem. Jesteśmy umówione. – Nieznajoma podeszła do Jule i wyciągnęła rękę. – Możesz mi przypomnieć swoje imię? Ja jestem Noa.

Jule uścisnęła jej dłoń.

– Nie przedstawiłam się – odparła. – Ale mów do mnie Imogen.

Jule West Williams wyglądała znośnie. Rzadko nazywano ją brzydką, jednak też raczej nie piękną. Była niska, miała zaledwie metr pięćdziesiąt pięć, i zawsze chodziła z zadartą brodą. Włosy miała obcięte w stylu *gamine* i zafarbowane na blond, ale teraz wyszły jej już ciemne odrosty. Zielone oczy, jasna cera, jasne piegi. W większości ubrań nie było widać, jaką miała sylwetkę. Mięśnie Jule, zwłaszcza te w nogach, wyraźnie rysowały się pod skórą – jakby była bohaterką komiksu. Jej brzuch pod warstwą tłuszczu był twardy jak skała. Jule lubiła jeść mięso i czekoladę, uwielbiała sól i tłuszcz.

Wierzyła też, że im więcej wypoci na treningu, tym mniej wycierpi w walce.

Wierzyła, że najlepszym sposobem, by uniknąć złamanego serca, jest udawać, że się go nie ma.

Wierzyła, że to *jak mówisz* jest często ważniejsze niż to, co masz do powiedzenia.

Wierzyła też w filmy akcji, trening siłowy, potęgę makijażu, ćwiczenie pamięci, równe prawa oraz to, że z filmików na YouTube można się nauczyć miliona rzeczy, których na próżno szukać w college'u.

Gdyby Jule ci zaufała, powiedziałyby ci, że chodziła przez rok do Stanford dzięki stypendium z lekkoatletyki. „Przyjęli mnie” – tłumaczyła ludziom, których lubiła. „Stanford jest w pierwszej lidze. Dali mi pieniądze na opłacenie nauki, książek, wszystkiego.”

Co się stało?

Jule może wzruszyłaby ramionami. „Chciałam studiować literaturę epoki wiktoriańskiej i socjologię, niestety główny trener był zбочeńcem” – odparłaby. „Molestował wszystkie dziewczyny. Kiedy chciał spróbować ze mną, kopnęłam go, gdzie boli najbardziej, i rozgadałam wszystkim. Profesorom, studentom, gazetce szkolnej. Wrzeszczałam z całych sił, ale wiecie, co się

dzieje ze sportowcami, którzy donoszą na swoich trenerów”.

Zaczęłyby wykręcać palce i spuściłyby wzrok.

„Pozostałe dziewczyny z drużyny wszystkiemu zaprzeczyły – wyjaśniłaby dalej. „Powiedziały, że kłamałam, a ten zboczeniec nikogo nie dotykał. Nie chciały, żeby o wszystkim dowiedzieli się rodzice, no i bały się utraty stypendium. I tak to się skończyło. Trener zachował pracę. Ja odeszłam z drużyny. Nie dostawałam już wsparcia finansowego. I tak mimo samych piątek wyleciałam ze szkoły”.

Po wyjściu z siłowni Jule przepłynęła kilka długości basenów i resztę poranka spędziła tak, jak to robiła często – siedząc w salonie biznesowym, oglądając filmiki z nauką hiszpańskiego. Wciąż była ubrana w strój kąpielowy, ale na nogi założyła sportowe buty w kolorze morskiej zieleni. Usta pomalowała różową szminką, a oczy srebrnym eyelinerem. Strój kąpielowy był jednoczęściowy, w kolorze metalicznego brązu, z kółkiem na piersi i głębokim dekoltem. Wyglądał mocno w stylu Uniwersum Marvela.

W salonie była klimatyzacja. Nikt nigdy tu nie przychodził. Jule położyła nogi na stoliku, założyła słuchawki i popijała dietetyczną colę.

Po dwóch godzinach nauki hiszpańskiego zjadła snickersa na lunch i zaczęła oglądać teledyski. Potańczyła chwilę, nakręcona kofeiną, śpiewając do szeregu obrotowych krzeseł w pustym pomieszczeniu. Tego dnia życie było zajebiste. Polubiła tamtą smutną dziewczynę uciekającą od chorego ojca, z ciekawą blizną i zaskakującym gustem książkowym.

Dadzą czadu na quizie. Wypiła kolejną colę. Sprawdziła stan makijażu i wyprowadziła kilka ciosów do swojego odbicia w oknie. Potem się roześmiała, bo wyglądała jednocześnie głupio i fantastycznie. Przez cały ten czas słyszała swój puls.

Barman z baru przy basenie, Donovan, był miejscowym. Kawał chłopca, ale o dobrym sercu. Przygładzone włosy. Ciągłe puszczał oko do klientek. Mówił po angielsku z akcentem typowym dla Baja i znał ulubionego drinka Jule: dietetyczną colę ze shotem syropu waniliowego.

W niektóre popołudnia Donovan wypytywał Jule o jej dzieciństwo w Londynie. Jule ćwiczyła hiszpański. Rozmawiając, oglądali filmy na telewizorze nad barem.

Dzisiaj, o trzeciej po południu, Jule przysiadła na stołku w kącie, wciąż ubrana w strój kąpielowy. Donovan miał na sobie biały blezer z logo Playa Grande oraz T-shirt. Na karku zaczynały mu odrastać włosy.

- Jaki film? – zapytała, spoglądając na ekran.
- Hulk.
- Który Hulk?
- Nie mam pojęcia.
- Przecież sam włożyłeś DVD. Jak możesz nie wiedzieć?
- Nie wiedziałem nawet, że są dwa różne Hulki.
- Trzy. Czeka, cofam to. Wiele Hulków, jeśli doliczyć telewizję, kreskówki i tak dalej.
- Nie wiem, który to jest Hulk, panno Williams.

Film leciał jakiś czas. Donovan umył szklanki i wytarł blat. Nalał szkockiej z sodą dla kobiety, która zabrała ją na drugi koniec basenu.

- To prawie najlepszy Hulk – oznajmiła Jule, kiedy odzyskała jego uwagę. – Jak się mówi na szkocką po hiszpańsku?
- *Escocés*.
- *Escocés*. Jaka jest najlepsza?
- Przecież ty nie pijesz.
- Ale gdybym piła.
- Macallan – odparł Donovan, wzruszając ramionami. – Mam

ci nalać na spróbowanie?

Nalał do pięciu szklanek pięć różnych rodzajów drogiej szkockiej. Wyjaśnił jej różnicę między szkocką a whiskey i dlatego zamawia się jedną, a nie drugą. Jule posmakowała każdej, ale nie wypła zbyt dużo.

– Ta pachnie jak spocona pacha – powiedziała.

– Wariatka.

– A ta jak płyn do zapalniczek.

Pochylił się nad szklanką i powąchał.

– Może.

– A to psie szczyny – pokazała na trzecią. – Ale od takiego naprawdę wkurzonego psa.

Donovan parsknął śmiechem.

– A jak pachną pozostałe? – zapytał.

– Jak zaschnięta krew – odparła Jule. – I ten proszek, którego używa się przy sprzątaniu łazienki.

– Która najbardziej ci smakowała?

– Zeschnięta krew – powiedziała, wkładając palec do szklanki i próbując szkockiej jeszcze raz. – Jak się nazywa?

– To właśnie Macallan. – Donovan zabrał szklanki. – Ach, zapomniałem ci powiedzieć: jakaś kobieta wypytywała o ciebie. A może nie o ciebie. Mogła się pomylić.

– Jaka kobieta?

– Jakaś Meksykanka. Mówiła po hiszpańsku. Pytała o Amerykankę z krótkimi blond włosami, która podróżuje sama – wyjaśnił Donovan. – Wspomniała o piegach. – Dotknął swojej twarzy. – Na nosie.

– Co jej powiedziałaś?

– Że to duży ośrodek. Dużo Amerykanów. Nie wiem, kto zatrzymał się tu sam, a kto w towarzystwie.

– Nie jestem Amerykanką – oznajmiła Jule.

– Wiem. Dlatego powiedziałem jej, że nikogo takiego nie widziałem.

– Naprawdę to powiedziałaś?

– Tak.

– Ale mimo to pomyślałeś o mnie.

Przyglądał się jej przez chwilę.

– Tak, pomyślałem o tobie – odparł wreszcie. – Nie jestem głupi, panno Williams.

Noa wiedziała, że Jule jest Amerykanką.

To oznaczało, że Noa była policjantką. Albo kimś takim. Musiała być.

Cała jej gadka była tylko podstępem. Chory ojciec, Dickens, bycie sierotą. Noa wiedziała dokładnie, co powiedzieć. Rzuciła przynętę – „mój ojciec jest obłożnie chory” – i wygłodniała Jule od razu ją chwyciła.

Poczuła rumieńce na twarzy. Czuła się samotna i słaba, i zwyczajnie durna, że dała się złapać na teksty Noa. Wszystko było oszustwem, żeby Jule widziała w Noa powiernicę, nie adwersarza.

Jule poszła do swojego pokoju, starając się nie dać po sobie poznać zdenerwowania. Kiedy znalazła się w środku, od razu ruszyła do sejfu, żeby zabrać wszystkie kosztowności. Założyła dzinsy, buty i T-shirt, a potem wcisnęła jak najwięcej ubrań do swojej najmniejszej walizki. Resztę zostawiła. Na łóżku położyła studolarowy banknot dla Glorii, pokojówki, z którą czasami rozmawiała. Następnie pomaszerowała z walizką przez korytarz i wcisnęła ją za maszynę do lodu.

Kiedy wróciła do baru przy basenie, Jule powiedziała Donovanowi, gdzie schowała walizkę. Położyła na blacie dwudziestodolarowy banknot.

Poprosiła o przysługę.

Położyła kolejną dwudziestkę i podała instrukcje.

Jule rozejrzała się po parkingu dla obsługi i znalazła niebieskiego sedana, którego Donovan specjalnie zostawił otwartego. Wsiadła i położyła się na podłodze z tyłu, między porozrzucanymi torebkami i pustymi kubkami po kawie.

Miała godzinę, zanim Donovan skończy zmianę. Przy odrobinie szczęścia Noa nie zorientuje się, że coś jest nie tak, dopóki Jule nie będzie poważnie spóźniona na wieczorny quiz, może koło ósmej trzydzieści. Potem najpierw sprawdzi najbliższe loty i firmy taksówkarskie, zanim pomyśli o obsłudze hotelu.

W samochodzie było gorąco i duszno. Julie nasłuchiwała kroków.

Miała skurcz w ramieniu. Chciało jej się pić.

Donovan jej pomoże, prawda?

Na pewno. Już przecież ją krył. Powiedział Noa, że nie zna nikogo, kto odpowiadałby opisowi. Ostrzegł Jule i obiecał zabrać jej walizkę, a potem ją podwieźć. Zapłaciła mu za to.

Poza tym zaprzyjaźnili się.

Jule wyprostowała nogi, najpierw jedną, a potem drugą, a następnie znowu zwinęła się w kłębek w ciasnej przestrzeni za siedzeniami.

Pomyślała o tym, co ma na sobie, a potem zdjęła kolczyki i pierścionek z jadeitem, by schować je do kieszeni dzinsów. Siłą woli uspokoiła oddech.

Wreszcie usłyszała odgłos kółek prowadzonej walizki, a potem trzask zamykanego bagażnika. Donovan wślizgnął się za kierownicę, uruchomił silnik i wyjechał z parkingu. Jule cały czas leżała na podłodze. Na ulicy stało tylko kilka lamp. W radiu grał meksykański pop.

– Gdzie chcesz jechać? – zapytał w końcu Donovan.

– Gdziekolwiek w mieście.

– W takim razie jadę do domu. – Nagle jego głos stał się jakby



drapieżny.

A niech to. Czy popełniła błąd, wsiadając do jego wozu? Czy Donovan należy do tych kolesi, którzy uważają, że jeśli dziewczyna prosi o przysługę, musi mu się oddać?

– Wysadź mnie kawałek od swojego domu – powiedziała mu ostrym tonem. – Poradzę sobie.

– Nie musisz mówić tego w ten sposób. Ryzykuję dla ciebie.

Wyobraź sobie przytulny dom na obrzeżach miasteczka w Alabamie. Pewnej nocy ośmioletnia Jule budzi się w ciemności. Czy właśnie słyszała podejrzany hałas?

Nie jest pewna. W domu panuje cisza.

Schodzi na dół w cienkiej różowej koszuli nocnej.

Na parterze przechodzi ją zimny dreszcz. W salonie ktoś narobił straszego bałaganu, wszędzie leżą książki i papiery. W biurze jest jeszcze gorzej. Szafki z dokumentami zostały poprzewracane. Komputery zniknęły.

– Mamo? Tato? – Mała Jule biegnie z powrotem na górę, żeby zajrzeć do sypialni rodziców.

Ich łóżka są puste.

Teraz naprawdę się boi. Otwiera drzwi do łazienki i tam również ich nie ma. Biegnie na zewnątrz.

Na podwórku rosną wysokie drzewa. Mała Jule jest w połowie podjazdu, kiedy zdaje sobie sprawę, co widzi w kręgu światła ulicznej latarni.

Mama i tata leżą w trawie, twarzami do ziemi. Ich ciała są wygięte pod dziwnym kątem, a pod nimi zbiera się ciemna krew. Mama dostała w głowę. Zginęła od razu. Tata też bez wątplenia nie żyje, ale Julie widzi tylko rany na jego rękach. Musiał się wykrwawić. Leży wtulony w mamę, jakby w ostatnich chwilach życia myślał tylko o niej.

Jule biegnie z powrotem do domu, żeby zadzwonić po policję. Linia okazuje się odłączona.

Wraca na podwórko, chce się pomodlić, pożegnać z rodzicami, ale ich ciała nagle zniknęły. Zabójca je zabrał.

Nie pozwala sobie na łzy. Resztę nocy spędza, siedząc w tym samym kręgu światła latarni, a jej koszula nasiąka gęstniejącą krwią.

Przez kolejne dwa tygodnie mała Jule pozostaje sama

w splądrowanym domu. Jest silna. Gotuje dla siebie i przegląda pozostawione dokumenty, szukając wskazówek. W trakcie lektury składa z kawałków życie pełne heroizmu, potęgi i sekretnych tożsamości.

Pewnego popołudnia siedzi na strychu, oglądając stare fotografie, kiedy w pokoju nagle pojawia się kobieta ubrana na czarno.

Nieznajoma robi krok do przodu, ale mała Jule ma świetny refleks. Rzuca nożykiem do otwierania listów, szybko i mocno, jednak kobieta łapie go lewą ręką. Mała Jule wspina się na stertę pudeł, chwytając belkę sufitową i podciąga się na nią. Przebiega po niej aż do okna w dachu, przez które przedostaje się na zewnątrz. Serce wali jej jak szalone.

Nieznajoma rusza w pogoń. Jule zeskakuje z dachu na gałęzie rosnącego obok drzewa i odłamuje ostry kijek, żeby użyć go jako broni. Trzyma go w ustach, schodząc na dół. Biegnie sprintem w krzaki, ale kobiecie udaje się postrzelić ją w kostkę.

Ból jest intensywny. Mała Jule nie ma wątpliwości, że to zabójczynie rodziców przyszła dokończyć zadanie – ale kobieta w czerni pomaga jej wstać i bierze się za opatrzenie rany. Wyjmuje kulę i nakłada środek antyseptyczny.

Owijając kostkę dziewczynki bandażem, wyjaśnia, że prowadzi rekrutację. Obserwowała ją przez ostatnie dwa tygodnie. Jule jest nie tylko dzieckiem wyjątkowo utalentowanych ludzi, ale też wyróżnia się inteligencją i silnym instynktem przetrwania. Nieznajoma chce szkolić Jule i pomóc jej w zemście. A ponieważ jest swego rodzaju zaginioną ciocią, zna sekrety, które rodzice ukrywali przed ukochaną córką.

W tamtej chwili zaczyna się niezwykła edukacja. Jule idzie do specjalnej akademii mieszczącej się w odrestaurowanej willi przy nowojorskiej ulicy, jakich wiele. Uczy się tam technik obserwacji, ćwiczy przewroty w tył i zdobywa umiejętność uwalniania się z kajdanek oraz kaftanów bezpieczeństwa. Nosi skórzane spodnie i wypycha kieszenie gadżetami. Uczęszcza też na lekcje obcych języków, sztuki kamuflażu, różnych akcentów, fałszerstwa oraz luk prawnych. Szkolenie trwa dziesięć lat. Po jego zakończeniu Jule staje się kobietą, której niedocnienie może się

okazać fatalnym błędem.

Tak wyglądała historia pochodzenia Jule West Williams. Kiedy zamieszkała w Playa Grande, wolała tę opowieść niż cokolwiek innego, co mogłaby powiedzieć na swój temat.

Donovan zatrzymał się i otworzył drzwi po stronie kierowcy. We wnętrzu samochodu zapaliło się światło.

– Gdzie jesteśmy? – zapytała Jule. Na zewnątrz panowała ciemność.

– San José del Cabo.

– To tutaj mieszkasz?

– Niedaleko stąd.

Jule poczuła ulgę, ale okolica wydawała się dziwnie mroczna. Czy nie powinny tu być jakieś lampy uliczne albo światła z knajp otwartych dla turystów?

– Widziałeś kogoś po drodze? – zapytała.

– Zaparkowałem w bocznej alejce, żeby nikt nie widział, jak wysiadasz z mojego auta.

Jule wygramoliła się z samochodu. Mięśnie jej zeszywniały, a twarz miała całą w tłuszczu. W alejce stały w rzędzie pojemniki na śmieci. Jedynymi źródłami światła było kilka okien na piętrze.

– Dzięki za podwiezienie. Otworzysz bagażnik?

– Obiecałaś mi sto dolarów.

– Oczywiście. – Jule wyjęła z kieszeni portfel i zapłaciła.

– Ale teraz cena wzrosła – dodał Donovan.

– Co proszę?

– Jeszcze trzysta.

– Myślałam, że jesteśmy przyjaciółmi.

Zrobił krok w jej stronę.

– Mieszam ci drinki, bo to moja praca. Udaję, że lubię z tobą rozmawiać, bo to też moja praca. Myślisz, że nie widzę, jak patrzysz na mnie z góry? Prawie najlepszy Hulk. Jaki rodzaj szkockiej. Nie jesteśmy przyjaciółmi, panno Williams. Przez większość czasu mnie okłamujesz, a ja okłamuję ciebie non stop. – Czują zapach alkoholu, który wylał się na jego koszulkę, a także ciepło jego oddechu na twarzy.

Jule naprawdę wierzyła, że ją lubi. Przerzucali się żartami i dawał jej darmowe chipsy.

– No nieźle – mruknęła pod nosem.

– Jeszcze trzy stówy – powtórzył.

Czyżby był małym kanciarzem, który postanowił oszukać dziewczynę z portfelem wypchanym amerykańskimi dolarami? Czy może szukającym okazji dupkiem, który myśli, że da się obmacać zamiast dać mu więcej forsy? Czy to możliwe, że opłaciła go Noa?

Jule wsunęła portfel z powrotem do kieszeni. Przełożyła pasek torebki na ukos.

– Donovan? – Zbliżyła się do niego i popatrzyła wielkimi oczami.

A potem wyrzuciła przed siebie prawą rękę, złapała barmana za włosy, pociągnęła do tyłu i wbiła mu kolano w krocze. Zgiął się w pół. Znowu chwyciła go za czuprynę i podniosła mu głowę, następnie obróciła go, pozbawiając go równowagi.

Uderzył w nią łokciem, trafiając w pierś. Bolało, ale przed drugim ciosem udało jej się umknąć. Złapała Donovana za przedramię i wykręciła mu rękę do tyłu. Była miękka, obrzydliwa. Jule trzymała ją mocno, jednocześnie wolną dłonią zabierając gotówkę z jego chciwych palców.

Wepchnęła pieniądze do kieszeni dzinsów i szarpnęła mocno łapą Donovana, w tym samym czasie oklepując go w poszukiwaniu komórki. Znalazła ją w tylnej kieszeni i z braku lepszego miejsca schowała pod biustonoszem. Teraz nie mógł zadzwonić do Noa, by zdradzić jej położenie Jule, jednak w lewej dłoni wciąż ścisnął kluczyki do samochodu.

Donovan szarpnął nogą i kopnął Jule w pizczel. Dziewczyna w odwecie uderzyła go w bok szyi i facet skulił się, pochylając do przodu. Jedno mocne pchnięcie i poleciał na ziemię. Zaczął się od razu podnosić, ale Jule chwyciła metalową pokrywę najbliższego kubła na śmieci i wymierzyła mu dwa ciosy w głowę. Donovan padł na stertę worków, krwawiąc z czoła i oka.

Jule wycofała się poza jego zasięg. Wciąż miała w ręku pokrywę.

– Rzuć kluczyki.

Jęcząc z bólu, Donovan wyciągnął lewą rękę i rzucił pęk tak, że wylądował kilkanaście centymetrów od jego ciała.

Jule chwyciła kluczyki i otworzyła bagażnik, następnie

wytaszczyła walizkę i pobiegła w dół ulicy, zanim Donovan był w stanie się podnieść.

Gdy tylko dotarła do głównej ulicy San Jose del Cabo, zwolniła i sprawdziła koszulkę. Wyglądała na wystarczająco czystą. Powoli i spokojnie wytarła dłonią twarz, na wypadek gdyby coś się na niej znajdowało – brud, ślina, krew. Wyciągnęła z torebki składane lusterko i wykorzystała je do tego, by spojrzeć za siebie bez odwracania się i zatrzymywania.

Nikt jej nie śledził.

Nałożyła na usta matową różową szminkę, zamknęła lusterko i jeszcze bardziej zwolniła.

Nie mogła wyglądać na kogoś, kto przed czymś ucieka.

Noc była ciepła, a z pobliskich barów dudniła muzyka. Przed wieloma z nich kręcili się turyści – biali, czarni, Latynosi, wszyscy pijani i hałaśliwi. Ludzie korzystający z uroków tanich wakacji. Jule wrzuciła kluczyki i telefon Donovaną do kosza na śmieci. Szukała taksówki albo busa, ale nie widziała żadnego.

No dobra.

Musiała się ukryć i przebrać, na wypadek gdyby Donovan poszedł jej śladem. Ruszy w pogoń, jeśli pracuje dla Noa. Albo jeśli chce się zemścić.

Wyobraź sobie siebie na filmie. Cienie migają na twojej gładkiej skórze, gdy maszerujesz przed siebie. Pod twoimi ubraniami tworzą się pierwsze siniaki, ale włosy masz idealnie ułożone. Nosisz przy sobie pełno gadżetów, cienkie kawałki metalu, które potrafią dokonać niesamowitych rzeczy. Nosisz trucizny i antidotum.

Jesteś w centrum historii. Ty i nikt inny. Masz to swoje ciekawe pochodzenie, to niezwykle przeszkolenie. Jesteś bezwzględna, jesteś genialna, jesteś praktycznie nieustraszona. Zostawiasz za sobą trupy, ponieważ zrobisz wszystko, żeby się uratować – ale to tylko praca, nic więcej.

Wyglądasz cudownie w świetle bijącym z okien meksykańskiego



baru. Masz zaczerwienione policzki po walce. A twoje ubrania? O rany, wyglądasz w nich obłądnie.

Tak, to prawda, że jesteś ostra. Wręcz brutalna. Ale to twoje zadanie, więc tylko dodaje ci to seksapilu.

Jule obejrzała całe mnóstwo filmów. Wiedziała, że kobiety rzadko stają się głównymi postaciami takich opowieści. Zamiast tego służą jako ozdoby, ofiary albo obiekty uczuć. Przede wszystkim istnieją po to, by pomóc wielkiemu białemu heteroseksualnemu bohaterowi w jego pieprzonej epickiej podróży. Jeśli pojawia się jakaś bohaterka, mało waży, mało na sobie nosi i ma licówki na zębach.

Jule zdawała sobie sprawę, że nie wygląda jak tamte kobiety. Nigdy nie będzie ich przypominać. Za to była wszystkim, czym byli tamci bohaterowie, a nawet więcej.

Wiedziała to doskonale.

Dotarła do trzeciego baru i wślizgnęła się do środka. Stały w nim stoły piknikowe, a na ścianach wisiały wypchane ryby. Wśród klientów dostrzegła głównie Amerykanów raczących się alkoholem po całym dniu łowienia dla sportu. Jule szybko poszła na tyły, obejrzała się przez ramię i wybrała męską toaletę.

Była pusta. Wskoczyła do kabiny. Donovan nie będzie jej tu szukał.

Sedes okazał się mokry i pokryty żółtym osadem. Jule przetrząsnęła zawartość walizki i znalazła czarną perukę – gładkiego boba z grzywką. Założyła ją, wytarła szminkę, nałożyła ciemny błyszczak i przypudrowała nos. Na koszulkę zarzuciła czarny wełniany kardigan i zapięła wszystkie guziki.

Wszedł jakiś facet i skorzystał z pisuaru. Jule stała bez ruchu, ciesząc się, że ma na sobie džinsy i ciężkie czarne buty. W szczelinie pod drzwiami było widać tylko dół jej walizki i właśnie buty.

Drugi facet wszedł do łazienki i zajął kabinę obok. Spojrzała na jego nogi.

To był Donovan.

Widziała jego brudne białe crocsy. Widziała jego spodnie robocze z Playa Grande, w których wyglądał jak pielęgniarz. Tętno dudniło jej w uszach.

Cicho podniosła walizkę z podłogi i przytrzymała w górze, żeby jej nie widział. Nie ruszała się.

Donovan spuścił wodę i Jule usłyszała, jak podchodzi do umywalki, powłócząc nogami. Odkręcił kran i wtedy wszedł kolejny mężczyzna.

– Mogę pożyczyć telefon? – zapytał go po angielsku Donovan. – Dosłownie na sekundę.

– Ktoś cię pobił? – Drugi facet miał amerykański akcent, kalifornijski. – Kiepsko wyglądasz.

– Nic mi nie jest – odparł Donovan. – Muszę tylko zadzwonić.

– Nie mogę stąd dzwonić, zostają mi tylko SMS-y. Muszę wracać do kumpli.

– Nie ukradnę ci go – nalegał Donovan. – Muszę tylko...

– Powiedziałem nie, okej? Ale życzę ci jak najlepiej, koleś. – Mężczyzna wyszedł, nie korzystając z toalety.

Czy Donovan potrzebował telefonu, ponieważ stracił kluczyki i ktoś musiał go podwieźć do domu? Czy może chciał zawiadomić Noa?

Oddychał ciężko, jakby doskwierał mu ból. Nie odkręcił na powrót kranu.

Wreszcie wyszedł.

Jule odstawiła walizkę na podłogę. Strzepnęła palce, żeby przywrócić krążenie, a potem przeciągnęła się. Wciąż nie opuszczając kabiny, przeliczyła pieniądze, zarówno peso jak i dolary. Sprawdziła ułożenie peruki w składanym lusterku.

Kiedy miała już pewność, że Donovan opuścił bar, wyszła z męskiej toalety, pewna siebie, jakby nigdy nic. Gdy znalazła się na zewnątrz, precyzyjnie się przez tłum imprezowiczów i okazało się, że ma szczęście – za rogiem zatrzymała się taksówka. Dziewczyna wskoczyła do środka i poprosiła o kurs na Grand Solmar, kurort znajdujący się obok Playa Grande.

Na Grand Solmar bez problemu złapała inną taksówkę. Drugiemu kierowcy kazała się zawieźć do taniego, prowadzonego przez miejscowych hotelu. Zabrał ją do Cabo Inn.

Szokująca różnica. Tanio budowane i brudne ściany, plastikowe meble, sztuczne kwiaty na recepcji. Jule zameldowała się pod fałszywym nazwiskiem i zapłaciła w peso. Pracownik hotelu nie

prosił o dowód osobisty.

Kiedy znalazła się w swoim pokoju, zaparzyła sobie bezkofeinową kawę w małym ekspresie. Posłodziła trzema kostkami cukru i usiadła na krawędzi łóżka.

Czy musiała uciekać?

Nie.

Tak.

Nie.

Nikt nie wiedział, gdzie się znajduje. Nikt na całym świecie. To powinno ją cieszyć. W końcu chciała przecież zniknąć.

Jednak czuła strach.

Żałowała, że nie ma przy niej Paolo. Albo Imogen.

Żałowała, że nie mogła cofnąć tego wszystkiego, co się stało.

Gdyby tylko miała możliwość przeżyć swoje życie jeszcze raz, byłaby lepszym człowiekiem. Albo kimś innym. Byłaby bardziej sobą. Albo mniej sobą. Nie była pewna, ponieważ nie wiedziała już, kim w ogóle jest i czy w ogóle istniała jakaś jedna, określona Jule, a nie wiele jej wersji, które przedstawiała zależnie od kontekstu.

Czy wszyscy ludzie tacy są? Bez jednej prawdziwej wersji siebie?

Czy tylko Jule?

Nie wiedziała, czy jest w stanie pokochać swoje własne sponiewierane i dziwne serce. Chciała, by ktoś zrobił to za nią, by spojrzeć, jak bije za żebrami i powiedział: „Widzę twoje prawdziwe oblicze. Jest wyjątkowe i cenne. Kocham cię”.

Jak ponuro i głupio było być tak sponiewieranym i dziwnym, nie mieć konkretnego kształtu, nie mieć własnego „ja”, gdy życie oferowało tyle możliwości. Jule posiadała tak wiele rzadkich talentów. Pracowała ciężko i miała naprawdę wiele do zaoferowania. Zdawała sobie z tego sprawę.

Dlaczego więc cały czas czuła się taka bezwartościowa?

Chciała zadzwonić do Imogen. Żałowała, że nie może usłyszeć jej cichego śmiechu i sekretów zdradzanych tak szybko, że słowa nachodziły na siebie. Chciałaby zwierzyć się jej ze swojego strachu. Powiedziałyby wtedy: „Ale przecież jesteś odważna, Jule. Nie znam nikogo tak odważnego jak ty”.

Żałowała, że Paolo nie przyjdzie i nie obejmie jej, mówiąc jak

kiedyś, że jest „doskonałą, pierwszorzędną osobą”.

Chciała mieć przy sobie kogoś, kto bezwarunkowo by ją kochał, kto wybaczyłby jej absolutnie wszystko. Albo lepiej nawet, kto o wszystkim by już wiedział i kochał ją za to.

Paolo i Immie nie byli w stanie tego zrobić.

Mimo to Jule zaczęła wspominać smak ust Paolo i jaśminowe perfumy Immie.

Z czarną peruką na głowie Jule zeszła na dół do biura Cabo Inn. Przemyślała dokładnie swoją strategię. Biuro o tej porze było zamknięte, ale przekupiła recepcjonistę, żeby ją wpuścił. Usiadła do komputera i zarezerwowała lot z San Jose del Cabo do Los Angeles na następny rano. Zarejestrowała się pod własnym nazwiskiem i skorzystała z tej samej karty, której używała też w Playa Grande.

Następnie zapytała recepcjonistę, gdzie mogłaby kupić samochód za gotówkę. Powiedział, że zna jednego dilera, który pracował na podwórzu za domem i rano na pewno sprzeda jej coś za amerykańskie dolary. Zapisał adres.

Noa śledziła jej karty kredytowe. Na pewno tak było, bo inaczej by jej nie odnalazła. Teraz zobaczy nową transakcję i poleci do Los Angeles. Tymczasem Jule kupi sobie samochód za gotówkę i pojedzie nim do Cancun. Stamtąd uda się ostatecznie na wyspę Culebra w Portoryko, gdzie znajdowało się mnóstwo Amerykanów, którzy nigdy nikomu nie pokazywali swoich paszportów.

Podziękowała recepcjoniście za namiary.

– Nie zapamiętasz naszej rozmowy, prawda? – zapytała, popychając w jego stronę kolejną dwudziestkę.

– No nie wiem.

– Na pewno nie – dodała, dokładając jeszcze pięćdziesiątkę.

– Nigdy cię nie widziałem – oznajmił mężczyzna.

Sen był okropny. Gorszy niż zwykle. Śniło jej się, że tonie w turkusowej wodzie. Śniły jej się bezdomne koty chodzące po jej ciele. Śniło jej się, że dusi ją wąż. Obudziła się z krzykiem.

Napiła się wody. Wzięła zimny prysznic.

Poszła spać i znowu obudziła się z krzykiem.

O piątej rano niepewnym krokiem ruszyła do łazienki, zmoczyła twarz wodą i pomalowała oczy. Dlaczego nie? Lubiła makijaż. Nie musiała się śpieszyć. Nałożyła korektor i puder, dodała cień do powiek, a potem maskarę, niemal czarną szminkę i błyszczak.

Wtarła żel we włosy i ubrała się. Czarne dżinsy, znowu ciężkie buciory i ciemny T-shirt. Zbyt ciepłe jak na meksykańską aurę, ale praktyczne. Spakowała walizkę, wypila butelkę wody i wyszła za próg.

Na korytarzu siedziała Noa, plecami do ściany, trzymając w dłoniach parujący kubek kawy.

Czekała.

 KONIEC KWIETNIA 2017  
 LONDYN

Siedem tygodni wcześniej Jule obudziła się w schronisku dla młodzieży na obrzeżach Londynu. W pokoju znajdowało się osiem łóżek z cienkimi materacami i obowiązkowymi białymi prześcieradłami. Na nich leżały śpiwory. Przy ścianach stały plecaki. W powietrzu unosił się słaby zapach potu i paczuli.

Spała w ciuchach treningowych. Wyślizgnęła się z łóżka, zawiązała buty i przebiegła trzynaście kilometrów po przedmieściach, mijając puby i sklepy mięsne, które jeszcze się nie otworzyły. Po powrocie zrobiła deskę, wykroki, pompki i przysiady w pokoju wspólnym hostelu.

Jule weszła pod prysznic zanim jej współlokatorzy zdążyli się obudzić i zaczęła zużywać ciepłą wodę. Potem wspięła się na górne posłanie i odpakowała czekoladowy baton proteinowy.

W sypialni wciąż było ciemno. Jule otworzyła „Naszego wspólnego przyjaciela” i wzięła się do lektury przy świetle komórki. Była to długa powieść z epoki wiktoriańskiej, napisana przez Charlesa Dickensa i opowiadająca historię sieroty. Jule dostała ją od Imogen.

Imogen Sokoloff była najlepszą przyjaciółką, jaką Jule kiedykolwiek miała. Jej ulubione książki zawsze traktowały o sierotach. Immie sama została sierotą – urodziła ją nastolatka z Minnesoty, która zmarła, gdy Immie miała dwa lata. Potem dziewczynka została zaadoptowana przez parę mieszkającą w penthousie na nowojorskim Upper East Side.

Patti i Gil Sokoloff byli wtedy przed czterdziestką. Nie mogli mieć dzieci, a Gil jako prawnik od dawna zgłaszał się na ochotnika,

by bronić praw dzieci w systemie opieki zastępczej. Wierzył w adopcję. Dlatego po wielu latach oczekiwania na noworodka Sokoloffowie postanowili, że mogą przyjąć też starsze dziecko.

Szybko zakochali się w tłuściutkich łapkach i piegowatym nosie tej konkretnej dziewczynki. Wzięli ją do siebie, nazwali Imogen, a stare nazwisko zostawili w szafce z dokumentami. Robili jej dużo zdjęć i ciągle ją łaskotali. Patti gotowała jej makaron z masłem i serem. Kiedy mała Immie skończyła pięć lat, przybrani rodzice wysłali ją do Greenbriar School, prywatnej szkoły na Manhattanie. Tam nosiła zielono-biały mundurk i uczyła się francuskiego. W weekendy mała Immie bawiła się klockami Lego, piekła ciasteczka i chodziła do Muzeum Historii Naturalnej, gdzie najbardziej lubiła szkielety gadów. Obchodziła żydowskie święta, a kiedy osiągnęła odpowiedni wiek, przeszła nieortodoksyjną ceremonię bat micwy w lesie w północnej części stanu.

Kwestia bat micwy była skomplikowana. Matka Patti i rodzice Gila nie uważali Imogen za Żydówkę, ponieważ jej biologiczna matka nią nie była. Wszyscy nalegali na oficjalny proces przejścia na judaizm, przez co ceremonia zostałaby przełożona na kolejny rok, jednak Patti postanowiła odejść z rodzinnej synagogi i dołączyć do świeckiej społeczności żydowskiej, która przeprowadzała ceremonię w górskim ustroniu.

W ten oto sposób w wieku trzynastu lat Imogen Sokoloff stała się bardziej niż kiedykolwiek świadoma swojego statusu sieroty i zaczęła czytać historie, które znalazły się w centrum jej życia wewnętrznego. Z początku wróciła do książek o sierotach, które kazano jej czytać w szkole. Było ich bardzo dużo. „Lubiłam ubrania i puddingi, i wozy z końmi” – powiedziała Jule.

W czerwcu mieszkały razem w domu wynajmowanym przez Immie na wyspie Martha's Vineyard. Tamtego dnia pojechały na farmę, gdzie można było osobiście zerwać kupione kwiaty.

– Podobała mi się „Heidi” i Bóg jeden wie ile jeszcze szmir – powiedziała Immie do Jule, pochylając się nad krzakiem dali z nożycami w rękę. – Ale potem chciało mi się rzygać na ich widok. Bohaterki były cały czas takie głupio radosne. Chodzące wzory pełnej poświęcenia kobiecości. Wiesz, w stylu: „Umieram z głodu! Proszę, weź moją ostatnią bułeczkę!”. „Nie mogę chodzić,



jestem sparaliżowana, ale i tak dostrzegam tylko jasną stronę życia, jestem szczęśliwa, szczęśliwa!”. „Mała księżniczka” i „Pollyanna”, uwierz mi, sprzedają ci paskudne kłamstwa. Gdy tylko zdałam sobie z tego sprawę, zaraz przestały mi się podobać.

Skończywszy swój bukiet, Immie wspięła się na drewniany płot. Jule wciąż cięła swoje kwiaty.

– W szkole średniej czytałam „Jane Eyre”, „Targowisko próżności”, „Wielkie nadzieje” i tak dalej – kontynuowała Immie. – Tam są sieroty takie... Wiesz, bardziej ostre.

– To te książki mi dałaś – powiedziała Jule.

– No. Wiesz, w „Targowisku próżności” Becky Sharp to chodząca ambicja. Nic nie jest w stanie jej powstrzymać. Jane Eyre ma napady złości, rzuca się wtedy na podłogę. Pip w „Wielkich nadziejach” jest naiwny i głodny bogactwa. Każde z nich pragnie lepszego życia i nie boi się o nie walczyć, nikt nie jest moralnie czysty. I dlatego są ciekawi.

– Już ich lubię – stwierdziła Jule.

Immie dostała się do Vassar College dzięki esejowi o tych bohaterach. Przyznała, że poza tym niewiele ją interesowało w nauce. Nie lubiła, gdy ludzie mówili jej, co ma robić. Kiedy nauczyciele zadawali jej lektury z antycznej Grecji, nie przeczytała ich. Kiedy jej koleżanka, Brooke, poleciła jej powieść Suzanne Collins, tej też nie przeczytała. A gdy matka kazała jej bardziej się przykładać do lekcji, Immie wyleciała ze szkoły.

Oczywiście presja to nie jedyny powód, dla którego Immie odeszła z Vassar. Sytuacja była bardzo skomplikowana. Jednak apodyktyczna natura Patti Sokoloff zdecydowanie odegrała swoją rolę.

– Matka wierzy w amerykański sen – powiedziała Imogen. – I chciałyby, żebym i ja w niego uwierzyła. Jej rodzice urodzili się na Białorusi. Kupili cały zestaw. Wiesz, całą tę ideę Stanów Zjednoczonych, gdzie każdy może osiągnąć sukces. Nie ma znaczenia, gdzie zaczynasz, pewnego dnia możesz rządzić całym krajem, wzbogacić się, kupić własną willę. Czaisz?

Tę rozmowę odbyły jakiś czas później, latem na Martha's Vineyard. Jule i Immie znajdowały się wtedy na plaży Moshup.

Siedziały na dużym, bawełnianym kocu.

– To bardzo przyjemny sen – oznajmiła Jule, wrzucając do ust chipsa.

– Rodzina mojego taty też to kupiła – ciągnęła dalej Immie. – Jego dziadkowie pochodzili z Polski i mieszkali w czynszówkach. A potem jego ojcu zaczęło się powodzić i otworzył delikatesy. Mój ojciec miał zejść jeszcze wyżej, jako pierwszy w rodzinie iść do college'u, więc tak zrobił. Został tym, wiesz, poważnym prawnikiem. Rodzice byli z niego tacy dumni. Dla nich to było proste: zostaw stary kraj i ułóż sobie życie na nowo. A jeśli nawet tobie nie uda się żyć amerykańskim snem, twoje dzieci zrobią to za ciebie.

Jule uwielbiała słuchać Immie. Nie znała nikogo innego, kto potrafiłby mówić z taką lekkością. Immie gadała cały czas, ale niezmiennie interesująco i mądrze. Zdawała się zupełnie siebie nie ograniczać, nie układać z wyprzedzeniem zdań. Po prostu mówiła, a jej potok słów sprawiał, że wydawała się na przemian pytać i jakby rozpaczliwie pragnąć zostać wysłuchaną.

– Ziemia szans – powiedziała teraz Jule tylko po to, by zobaczyć, w którym kierunku podąży Immie.

– Oni są o tym przekonani, ale ja nie uważam, by to była prawda – odparła Immie. – Wiesz, wystarczy obejrzeć pół godziny wiadomości, żeby dojść do wniosku, że biali mają lepszą szansę. I ci, co mówią po angielsku.

– I ci, którzy mają taki akcent jak ty.

– Ze Wschodniego Wybrzeża? Chyba masz rację. No i ci pełnosprawni. Ach, no i faceci! Faceci, faceci, faceci! Wciąż wożą się, jakby Stany były wielką cukiernią, a wszystkie ciasta były dla nich. Nie uważasz?

– Ja im swojego nie oddam – stwierdziła Jule. – To moje ciasto i zamierzam je zjeść w całości.

– Tak. Broń swojego ciasta. I weź sobie ciasto czekoladowe z czekoladową polewą i pięcioma warstwami kremu. Ale ja, rozumiesz, nie chcę ciasta. Może jestem głupia, ale nawet nie mam na niego ochoty. Staram się po prostu być. Istnieć i cieszyć się tym, co mam. Wiem, że to luksus i pewnie jestem świnią za samo to, że go posiadam, ale myślę sobie, że hej, staram się

to doceniać! Pozwólcie mi być wdzięczną, że siedzę sobie na tej plaży, a nie cały czas czuć presję, że muszę do czegoś dążyć.

– Myślę, że mylisz się w kwestii amerykańskiego snu – powiedziała Jule.

– Nie, nie myślę się. Dlaczego tak mówisz?

– Spełnieniem amerykańskiego snu jest bycie bohaterem filmu akcji.

– Poważnie?

– Amerykanie lubią walczyć – oznajmiła Jule. – Chcemy zmieniać prawa albo je łamać. Uwielbiamy mścicieli. Mamy na ich punkcie bzika, nie? Superbohaterowie, kolejne części „Uprowadzonej” i tak dalej. Wszyscy chcemy ruszyć na zachód i zabrać ziemię ludziom, którzy mieli ją przed nami. Wymordować tak zwanych złych ludzi i walczyć z systemem. To jest amerykański sen.

– Powiedz to mojej mamie – stwierdziła Immie. – „Dzień dobry! Immie chce wyrosnąć na mścicielkę, a nie szefową wielkiej firmy”. Zobaczymy, jak ci pójdzie.

– Porozmawiam z nią.

– Świetnie. To załatwi sprawę. – Immie zaśmiała się i przewróciła na bok. Zdjęła okulary przeciwsłoneczne. – Ma wyobrażenia o mnie, które nie pasują. Na przykład kiedy byłam mała, bardzo ważne było, żebym miała kilku przyjaciół, którzy zostali adoptowani, żebym nie czuła się inna albo wyobcowana, ale wtedy istniało tylko: „Immie nic nie jest, nie potrzebuje tego, jesteście tacy sami jak każda inna rodzina!” A pięćset lat później, w dziewiątej klasie, przeczytała artykuł w gazecie o dzieciach adoptowanych i postanowiła, że muszę się zaprzyjaźnić z taką jedną Jolie, która właśnie zaczęła się uczyć w Greenbriar.

Jule pamiętała ją. Dziewczyna z przyjęcia urodzinowego i American Ballet Theatre.

– Mama miała takie marzenie, że się zbliżymy do siebie, i próbowałam, ale tamta laska naprawdę mnie nie lubiła – ciągnęła dalej Immie. – Miała niebieskie włosy i uważała się za strasznie fajną. Ciągle nabijała się z tej całej sprawy z bezdomnymi kotami, z czytania „Heidi”, śmiała się też z muzyki, której słuchałam. Ale moja mama ciągle dzwoniła do jej mamy, a jej mama dzwoniła do mojej mamy, robiąc za nas plany.

Wyobrażały sobie tę całą więź między dwiema adoptowanymi dziewczynami, ale ona nigdy nie istniała. – Imogen westchnęła. – To było po prostu smutne. W końcu Jolie przeprowadziła się do Chicago i mama odpuściła.

– A teraz masz mnie – wtrąciła Jule.

Immie wyciągnęła rękę, żeby dotknąć policzka Jule.

– Teraz mam ciebie, co czyni mnie znacznie mniej stukniętą.

– I dobrze.

Immie otworzyła przenośną lodówkę i wyjęła ze środka dwie butelki mrożonej herbaty domowej roboty. Zawsze zabierała ze sobą picie na plażę. Jule nie lubiła pływających w herbacie plasterków cytryny, ale i tak trochę wypijała.

– Ładnie wyglądasz w takich krótkich włosach – powiedziała Immie, znowu dotykając karku Jule.

W czasie ferii zimowych na pierwszym roku w Vassar College, Imogen przetrząsnęła szafkę z dokumentami Gila Sokoloffa, szukając swoich papierów adopcyjnych. Znalezienie ich nie było trudne.

– Chyba myślałam, że przeczytanie tych papierów pozwoli mi dowiedzieć się więcej o swojej tożsamości – powiedziała. – Jakby poznanie nazwisk wyjaśniłoby, dlaczego czułam się beznadziejnie w college’u, albo pozwoli mi poczuć się pewniej niż kiedykolwiek. Ale nie.

Tamtego dnia Immie i Jule pojechały samochodem do Menemsha, małej wioski rybackiej niedaleko domu Immie na Vineyard. Poszły na kamienne molo, które sięgało daleko w morze. Nad ich głowami skrzeczały mewy. Fale rozbijały się o kamienie u ich stóp. Były tego samego wzrostu, a kiedy usiadły na molo, patrzyły na swoje opalone i błyszczące od kremu z filtrem nogi.

– No, totalna kupa – stwierdziła Imogen. – A nazwiska ojca w ogóle nie było.

– Jak się nazywałaś?

Immie zarumieniła się i na chwilę schowała twarz pod kapturem. Miała głębokie dołeczki w policzkach i równe zęby. Jej krótko obcięte, rozjaśnione włosy odkrywały maleńkie uszy, z których

jedno miało aż trzy dziurki. Brwi były mocno wyskubane i tworzyły cienkie linie.

– Wolałabym nie mówić – powiedziała Jule zza materiału. – Teraz chowam się w kapturze.

– No weź. Sama zaczęłaś tę opowieść.

– Ale nie możesz się śmiać. – Immie podniosła kaptur i popatrzyła na Jule. – Forrest się śmiał i strasznie się na niego wkurzyłam. Boczyłam się na niego dwa dni, dopóki nie przyniósł mi czekoladek z kremem cytrynowym. Forrest był chłopakiem Immie. Mieszkał razem z nimi w domu na Martha's Vineyard.

– Forrest mógłby się nauczyć dobrego wychowania – rzuciła Jule.

– Nie pomyślał. Po prostu wybuchnął śmiechem. A potem było mu zajebiście przykro. – Immie zawsze broniła Forresta zaraz po tym, jak go krytykowała.

– Proszę, powiedz mi, jak się nazywałaś. Nie będę się śmiać.

– Obiecujesz?

– Obiecuję.

– Imię Melody, nazwisko Bacon – szepnęła jej do ucha Immie. – Melody Bacon.

– Miałaś jeszcze drugie imię? – zapytała Jule.

– Nie.

Jule nie wybuchnęła śmiechem, ani nawet się nie uśmiechnęła. Objęła Immie i patrzyły obie na morskie fale.

– Czujesz się jak Melody?

– Nie – odparła zamyślona Immie. – Ale nie czuję się też jak Imogen.

Obserwowały parę mew, które właśnie wylądowały na skale nieopodal.

– Jak umarła twoja mama? – zapytała w końcu Jule. – Czy to też było w dokumentach?

– Chyba miałam już ogólne wyobrażenie jeszcze przed lekturą, ale tak, wiem. Przedawkowała metę.

Jule przetrawiła tę informację. Oczami wyobraźni zobaczyła swoją przyjaciółkę jako dwulatkę w mokrej pieluszce, czołgającą się po brudnej pościeli, podczas gdy matka leży pod kołdrą, naćpana i obojętna. Albo martwa.

– Mam dwie blizny na prawym ramieniu – powiedziała Immie. – Miałam je przed przeprowadzką do Nowego Jorku. Z tego, co wiem, zawsze je miałam. Nigdy nie pomyślałam, żeby o nie zapytać, ale pielęgniarka z Vassar stwierdziła, że wyglądają jak oparzenia. Wiesz, jak od papierosa.

Jule zabrakło słów. Chciała naprawić wszystko dla małej Immie, ale przecież Patti i Gil Sokoloff już to zrobili, dawno temu.

– Moi rodzice też nie żyją – oznajmiła w końcu. Pierwszy raz powiedziała to na głos, chociaż Immie wiedziała wcześniej, że wychowywała ją ciocia.

– Domyśliłam się – stwierdziła Immie. – Ale domyśliłam się też, że nie chcesz o tym mówić.

– Nie chcę – zgodziła się Jule. – A przynajmniej jeszcze nie teraz. – Pochyliła się do przodu, odsuwając się od Imogen. – Nie wiem jeszcze, jaką historię opowiedzieć na ten temat. To nie... – Brakowało jej słów. Nie potrafiła paplać jak Immie. – Ta historia ciągle nabiera kształtów.

Nie kłamała. W tamtym momencie Jule dopiero zaczynała konstruować opowieść o swojej genezie i nie mogła powiedzieć nic innego.

– Nic nie szkodzi – stwierdziła Imogen.

Sięgnęła do plecaka i wyciągnęła grubą tabliczkę mlecznej czekolady. Rozpakowała ją do połowy i odłamała kawałek dla Jule i drugi dla siebie. Jule oparła się o skałę i pozwoliła, by czekolada rozpuściła się jej w ustach, a słońce ogrzewało jej twarz. Immie przegoniła łaszące się mewy.

Jule poczuła wtedy, że w pełni już poznała Imogen. Wszystko między nimi zostało zrozumiane i zawsze takie pozostanie.

Teraz, w schronisku młodzieżowym, Jule odłożyła „Naszego wspólnego przyjaciela”. Na samym początku powieści w Tamizie odnaleziono zwłoki. Nie podobał jej się opis napuchniętego wodą topielca.

Dni Jule ciągnęły się, odkąd rozeszły się wieści, że Imogen Sokoloff zabiła się w tej samej rzece, obciążając kieszenie kamieniami i zeskakując z mostu Westminster, pozostawiwszy list pożegnalny w chlebaku.

Jule myślała o Immie każdego dnia. W każdej godzinie. Wspominała to, jak Immie chowała twarz w dłoniach albo pod kapturem, kiedy czuła się bezbronna. Jej wysoki głos, który przywodził na myśl gumę balonową. Imogen bawiła się pierścionkami. Miała dwie blizny po przypaleniu papierosem na ramieniu i trzecią na dłoni, gdzie oparzyła się gorącą foremką brownie z serem. Kroiła cebulę szybko i mocno wielkim nożem kuchennym, bo nauczyła się tego z filmiku o gotowaniu. Pachniała jaśminem, a czasami kawą z cukrem i śmietanką. Włosy spryskiwała cytrynowym sprejem.

Imogen Sokoloff była jedną z tych dziewczyn, o których nauczyciele mówią, że nigdy nie potrafią w pełni wykorzystać swojego potencjału. Miała w nosie szkołę, ale ulubione lektury obklejała karteczkami i spisywała na nich notatki. Nie chciała dążyć do wielkości ani do tego, co w oczach innych było miarą sukcesu. Pragnęła uwolnić się od mężczyzn, którzy chcieli ją zdominować, oraz kobiet, które chciały jej uwagi na wyłączność. Raz po raz odmawiała obdarowania jednej osoby całym swoim sercem, woląc zamiast tego stworzyć sobie dom, który zdefiniuje na własnych zasadach i którego będzie niepodzielnym władcą. Przyjęła pieniądze rodziców, lecz nie ich panowanie i tożsamość, a swoje szczęście wykorzystwała do tego, by stworzyć siebie na nowo, znaleźć inny sposób na życie. To szczególny rodzaj

odwagi, który często mylnie uważa się za egoizm albo lenistwo. Była dziewczyną, którą łatwo uznać za zwykłą ślicznotkę z prywatnej szkoły, lecz taka ocena byłaby ogromnym błędem.

Kiedy lokatorzy schroniska obudzili się i ruszyli do łazienki, Jule wyszła na zewnątrz. Spędziła ten dzień tak, jak wiele innych – na pracy nad sobą. Przez kilka godzin chodziła po salach Muzeum Brytyjskiego, ucząc się nazw obrazów i popijając dietetyczną colę z kilku małych butelek. Przez godzinę stała w księgarni i próbowała zapamiętać mapę terytorium Meksyku, a potem rozdział książki o tytule „Zarządzanie bogactwem: Pięć podstawowych zasad”.

Chciała zadzwonić do Paolo, ale nie mogła.

Nie odbierała żadnych telefonów oprócz tych, na które czekała.



Komórka rozzwoniła się, kiedy Jule wyszła ze stacji metra niedaleko hostelu. Patti Sokoloff. Jule zobaczyła jej numer i odebrała, korzystając ze swojego generalnego amerykańskiego akcentu.

Okazało się, że Patti jest w Londynie.

Jule się tego nie spodziewała.

Czy Jule chciałaby zjeść z nią lunch w Ivy nazajutrz?

Oczywiście. Jule powiedziała, jakim zaskoczeniem jest dla niej telefon od Patti. Bezpośrednio po śmierci Immie kontaktowały się kilkakrotnie, kiedy Jule załatwiała sprawy z policją i odsyłała rzeczy Immie z jej londyńskiego mieszkania, podczas gdy Patti opiekowała się Gilem w Nowym Jorku. Jednak wszystkie trudne rozmowy skończyły się kilka tygodni wcześniej.

Patti normalnie była osobą bardzo energiczną i gadatliwą, teraz jednak mówiła cicho i bez typowego dla siebie ożywienia.

– Muszę ci powiedzieć, że Gil odszedł – wyznała.

To był szok. Jule pomyślała o spuchniętej i poszarzałej twarzy Gila i śmiesznych pieskach, na punkcie których miał bzika. Bardzo go lubiła. Nie miała pojęcia, że umarł.

Patti wyjaśniła, że Gil zmarł dwa tygodnie wcześniej na zawał serca. Tyle lat dializ, a to serce go zabiło. A może, jak stwierdziła Patti, nie chciał już żyć po samobójstwie Immie.

Przez chwilę rozmawiały na temat choroby Gila oraz o tym, jakim był wspaniałym człowiekiem, a potem wróciły do Immie. Patti podziękowała Jule za jej pomoc, za ogarnianie spraw w Londynie, kiedy Sokoloffowie nie mogli się ruszyć z Nowego Jorku.

– To pewnie trochę dziwne, że podróżuję w tej chwili – przyznała Patti – ale po tylu latach opiekowania się Gilem nie potrafię wysiedzieć w mieszkaniu sama. Tam jest pełno rzeczy Gila, rzeczy Immie. Miałam... – Urwała, a kiedy zaczęła znowu mówić, na siłę

starła się zachować lekki ton. – Tak czy inaczej, moja przyjaciółka mieszka w Hampshire i zaproponowała, żebym zatrzymała się w jej domku dla gości i odpoczęła. Wręcz wymusiła na mnie przyjazd. Niektórzy przyjaciele już tacy są. Od lat z nią nie rozmawiałam, ale gdy tylko zadzwoniła i usłyszała o Immie i Gilu, natychmiast wróciła dawna zażyłość. Bez gadania o pogodzie. Od razu pełna szczerość. Chodziłyśmy razem do Greenbriar. Koleżanki ze szkoły mają tyle wspomnień, tyle wspólnych opowieści, że to ich spaja. Wystarczy popatrzeć na ciebie i Immie. Tak łatwo wróciłyście do siebie po długiej rozłące.

– Jest mi naprawdę bardzo przykro z powodu Gila – powiedziała Jule. I była w tym zupełnie szczerą.

– Ciągłe chorował. Tyle leków. – Patti zamilkła na moment, a gdy podjęła na nowo wątek, mówiła przez ściśnięte gardło: – Myślę, że po tym, co się stało z Immie, nie miał już siły do walki. On i Immie byli moimi ptysiami. – Potem znowu tchnęła w swój głos trochę życia i radości. – A teraz wróćmy do powodu, dla którego zadzwoniłam. Przyjdiesz na lunch, prawda?

– Tak, przyjdę. Oczywiście.

– Ivy, jutro o pierwszej. Chcę ci podziękować za wszystko, co zrobiłaś dla mnie i Gila po śmierci Immie. I mam też dla ciebie niespodziankę. Coś, co może naprawdę podnieść nas obie na duchu. Więc się nie spóźnij.

Kiedy rozmowa została zakończona, Jule na chwilę przycisnęła telefon do piersi.

Ivy szczerze wypełniał swoje miejsce na rogu londyńskiej ulicy. Wydawał się zrobiony na wymiar wąskiej działki. W środku na ścianach wisiały portrety i witraże. Powietrze pachniało pieniędzmi: pieczoną jagnięciną i kwiatami ze szklarni. Jule założyła dopasowaną sukienkę i baletki. Do makijażu uczennicy college'u dodała czerwoną szminkę.

Patti czekała na nią przy stoliku, popijając wodę z kieliszka na wino. Kiedy Jule widziała ją po raz ostatni jedenaście miesięcy wcześniej, matka Immie była bardzo zadbaną kobietą. Pracowała jako dermatolożka, była po pięćdziesiątce i miała idealną figurę, nie licząc lekko wystającego brzuszka. Jej skóra miała różowawy blask, włosy nosiła długie, zafarbowane na ciemny brąz i zakręcone w luźne loki. Teraz miała krótkiego boba z siwymi odrostami. Usta bez szminki wydawały się spuchnięte i męskie. Jak typowa kobieta z Upper East Side zakładała wąskie czarne spodnie i długi kaszmirowy kardigan, jednak zamiast szpilek na nogach miała jasnoniebieskie buty do biegania. Jule prawie jej nie poznała. Patti wstała i uśmiechnęła się do niej.

– Wyglądam inaczej, wiem.

– Wcale nie – skłamała Jule i pocałowała ją w policzek.

– Nie mogę tak dłużej – wyznała Patti. – Tyle czasu przed lustrem każdego ranka, te niewygodne buty. Nakładanie nowej twarzy.

Jule usiadła.

– Przedtem malowałam się dla Gila – ciągnęła dalej Patti. – I dla Immie, kiedy była jeszcze mała. Mówiła kiedyś: „Mamusiu, ulokuj włosy! Idź załóż iskierki!”. Teraz nie mam po co tego robić. Wzięłam trochę wolnego. Pewnego dnia pomyślałam, że w zasadzie po co mam sobie zawracać głowę. Wyszłam z domu, nijak się nie szykując, i poczułam ogromną ulgę. Ale wiem, że to niepokoi ludzi. Moi przyjaciele się martwią. Mam to gdzieś. Straciłam Imogen. Straciłam Gila. Oto nowa ja.

Jule chciała za wszelką cenę powiedzieć to, co powinna powiedzieć, nie wiedziała jednak, czy sytuacja wymagała współczucia czy zmiany tematu.

– Czytałam o czymś takim książkę w college’u – rzekła w końcu.

– O czym?

– O prezentacji ego w codziennym życiu. Niejaki Goffman napisał, że w różnych sytuacjach różnie odgrywamy siebie samych. Charakter człowieka nie jest stały. Jest adaptacją.

– Przestałam odgrywać samą siebie, to masz na myśli?

– Albo robisz to teraz w inny sposób. Istnieją różne wersje jednego ego.

Patti podniosła menu, a potem wyciągnęła rękę i dotknęła dłoni Jule.

– Musisz wrócić do college’u, ptysiu. Jesteś taka mądra.

– Dziękuję.

– Mam dobrą intuicję, jeśli chodzi o ludzi, wiesz – powiedziała Patti, spoglądając Jule w oczy. – I widzę, że masz ogromny potencjał. Jesteś głodna wiedzy i przygód. Mam nadzieję, że wiesz, że możesz zostać kimkolwiek zechcesz.

Przyszedł kelner i zebrał zamówienia na napoje. Ktoś inny postawił na stoliku koszyk z pieczywem.

– Przyniosłam pierścionki Imogen – oznajmiła Jule, kiedy zamieszanie się skończyło. – Powinnam była je wysłać wcześniej pocztą, ale...

– Rozumiem – rzuciła szybko Patti. – Trudno było je oddać.

Jule pokiwała głową. Przekazała zawiniątko. Patti odkleiła taśmę i odsłoniła osiem starych pierścionków, wszystkie z motywem zwierzęcym. Immie je kolekcjonowała. Były dziwne i niezwykle, pieczołowicie wykonane, każdy w innym stylu. Dziewiąty Jule wciąż nosiła. Immie oddała go przyjaciółce. Był to jadeitowy wąż, który założyła na palec serdeczny prawej dłoni.

Patti zaczęła cicho wypłakiwać się w serwetkę.

Jule popatrzyła na kolekcję. Każdy z tych pierścionków znajdował się na kruchych palcach Immie w tym czy innym momencie. Immie stała cała opalona w tamtym sklepie jubilerskim na Vineyard. „Chcę zobaczyć najbardziej nietypowy pierścień, jaki macie na sprzedaż” – powiedziała do ekspedienta.

A potem: „Ten jest dla ciebie”. Podarowała Jule pierścienek z węzłem, a Jule nie chciała go nigdy zdejmować, nawet teraz, kiedy już na niego nie zasługiwała. A może nigdy na niego nie zasługiwała.

Jule zrobiło się niedobrze, to uczucie wezbrało w niej gdzieś z głębi brzucha i podeszło aż do gardła.

– Przepraszam.

Wstała i niepewnym krokiem ruszyła do damskiej toalety. Świat dokoła wirował. Czerń napierała z dwóch stron. Ścisnęła oparcie pustego krzesła, żeby odzyskać równowagę.

Zaraz zwymiotuje. Albo zemdleje. Albo jedno i drugie. Na środku restauracji, otoczona przez nieskazitelnych ludzi, na których towarzystwo nie zasługiwała, zawstydzi biedną, biedną matkę przyjaciółki, której nie kochała dość mocno albo którą kochała za bardzo.

Jule dotarła do toalety i stanęła przed umywalką.

Odruchy wymiotne nie ustępowały. Żołądek zaciskał się raz po raz.

Zamknęła się w kabinie i oparła o ścianę. Drżały jej ramiona. Targnęły nią torsje, lecz nic nie poleciało.

Została w toalecie, dopóki mdłości nie minęły, trzęsąc się i próbując złapać oddech.

Kiedy wróciła przed umywalkę, wytarła mokrą od potu twarz papierowym ręcznikiem. Przytknęła do spuchniętych powiek palce zamoczone w zimnej wodzie.

Czerwona szminka spoczywała w kieszeni sukienki. Jule nałożyła ją niczym zbroję i wróciła do Patti.

Zanim podeszła do stolika, Patti zdążyła się opanować i właśnie rozmawiała z kelnerem.

– Wezmę na początek buraka – tłumaczyła mu, gdy Jule usiadła.  
– A potem chyba miecznika. Dobry jest? Tak? To niech będzie.

Jule zamówiła hamburgera z zieloną sałatą. Gdy kelner odszedł, Patti zaczęła przeproszać.

– Przepraszam. Tak mi przykro. Wszystko w porządku?

– Pewnie.

– Ostrzegam, że mogę się jeszcze rozplakać. Może nawet

na ulicy! Ostatnio różnie ze mną bywa. Mogę się rozkleić w dowolnym momencie. – Pierścionki zniknęły już ze stołu. – Posłuchaj, Jule. Powiedziałaś mi kiedyś, że twoi rodzice cię zawiedli. Pamiętasz?

Jule nie pamiętała. Nie myślała już w ogóle o rodzicach, chyba że z perspektywy genezy, jaką dla siebie wykreowała. Nigdy, przenigdy nie myślała o swojej ciotce.

Teraz historia pochodzenia Jule stanęła jej przed oczami: rodzice na podwórku przed pięknym domem na końcu ślepej uliczki w małym miasteczku w Alabamie. Leżą twarzą w dół w kałuży krwi, która rozplynęła się po trawie, oświetleni przez latarnię. Jej matka z dziurą po kuli w głowie. Ojciec wykrwawiający się przez rany na rękach.

Opowieść przynosiła jej ukojenie. Była piękna. Rodzice Jule byli odważni. Dziewczyna wyrośnie na doskonale wykształconą i niezwykle silną.

Wiedziała jednak, że nie może się podzielić tą historią z Patti. Zamiast tego rzuciła tylko:

– Tak powiedziałam?

– Tak, a ja wtedy zaczęłam się zastanawiać, czy może nie zawiodłam Imogen. Kiedy była mała, rzadko rozmawialiśmy z Gilem na temat tego, że została adoptowana. Ani w jej obecności, ani w cztery oczy. Chciałam myśleć o Immie jako moim dziecku, rozumiesz? Nie kogoś innego, ale moim i Gila. No i trudno się mówiło o tym, bo jej matka uzależniła się od narkotyków i nie miała rodziny, która mogłaby się zająć małą. Wmawiałam sobie, że chronię ją przed bólem. Nie miałam pojęcia, jak bardzo źle postępuję, dopóki... – Urwała.

– Imogen cię kochała – powiedziała Jule.

– Coś ją bardzo dręczyło. I nie przyszła z tym do mnie.

– Do mnie też nie.

– Powinnam była wychować ją tak, żeby zwierzała się innym i nie bała się prosić o pomoc.

– Immie mówiła mi o *wszystkim* – wyjaśniła Jule. – Zdradzała mi wszystkie swoje tajemnice, obawy, plany na życie. Zdradziła mi, jak się nazywała przed adopcją. Pożyczyłyśmy sobie ubrania i książki. Naprawdę, byłam bardzo blisko z Immie przed jej

śmiercią i uważam, że miała ogromne szczęście mieć takich rodziców jak wy.

W oczach Patti zebrały się łzy. Chwyciła dłoń Jule.

– Miała też szczęście mieć taką przyjaciółkę jak ty. Pomyślałam to już wtedy, gdy zaprzyjaźniłyście się na pierwszym roku Greenbriar. Wiem, że nikogo innego tak nie wielbiła jak ciebie, Jule, bo... cóż. Właściwie to właśnie o tym chciałabym z tobą porozmawiać. Nasz adwokat rodzinny powiedział mi, że Immie zostawiła ci spadek.

Jule zakręciło się w głowie. Odłożyła widelec.

Pieniądze Immie. Miliony.

Oznaczały bezpieczeństwo i potęgę. Oznaczały bilety lotnicze i kluczyki do samochodów, ale przede wszystkim opłaty za naukę, jedzenie w spiżarni i opiekę zdrowotną. Nikt nie będzie mógł jej odmówić. Nikt jej już nie powstrzyma i nikt jej nie skrzywdzi. Jule już nigdy nie będzie potrzebowała niczyjej pomocy.

– Nie znam się na finansach – ciągnęła dalej Patti. – Powinnam, zdaję sobie z tego sprawę. Ale ufałam Gilowi i cieszyłam się, że się tym wszystkim zajmuje. Dla mnie to śmiertelnie nudne. Jednak Immie rozumiała finanse i zostawiła po sobie testament. Wysłała papiery do prawnika przed śmiercią. Miała mnóstwo pieniędzy od ojca i ode mnie, dostała je w wieku osiemnastu lat. Do tego czasu leżały w funduszu powierniczym, a po jej urodzinach Gil załatwił papiery i przepisał wszystko na nią.

– Dostała pieniądze, kiedy była jeszcze w szkole średniej?

– W maju przed rozpoczęciem college'u. Może popełniliśmy błąd. Nieważne, zrobiliśmy to i tyle. Immie mądrze dysponowała pieniędzmi. Żyła z odsetek i nigdy nie naruszała kapitału, nie licząc zakupu mieszkania w Londynie. I dlatego nie musiała pracować. W testamencie przepisała wszystko tobie. Zostawiła małe sumy dla Krajowej Fundacji Nefrologii ze względu na chorobę Gila, a także dla Ligi Zwierzęcej Północnego Wybrzeża, ale większość pieniędzy przeznaczyła dla ciebie. Wysłała prawnikowi maila, w którym napisała wprost, że chce ci pomóc wrócić do college'u.

Jule się wzruszyła. To nie miało sensu, ale tak było.

Patti uśmiechnęła się.

- Odeszła z tego świata, wysyłając cię z powrotem do szkoły. To dobra strona jej śmierci, na której chcę się skupić.
- Kiedy spisała testament?
- Kilka miesięcy przed śmiercią. Załatwił to notariusz z San Francisco. Zostało tylko kilka rzeczy do podpisania. - Patti przesunęła kopertę w stronę Jule. - Prześlę pieniądze bezpośrednio na twój rachunek, a we wrześniu będziesz na drugim roku w Stanford.

Kiedy cała suma została przelana na jej konto, Jule wybrała wszystko i otworzyła konto czekowe w innym banku. Założyła kilka kart kredytowych i załatwiła comiesięczną automatyczną spłatę.

A potem poszła na zakupy. Kupiła sztuczne rzęsy, podkład, eyeliner, róż, puder, pędzle, trzy różne szminki, dwa cienie i małe, ale kosztowne pudełko z zestawem do makijażu. Do tego ruda peruka, czarna sukienka i wysokie szpilki. Przydałoby się więcej, jednak nie mogła przesadzać z bagażem.

Skorzystała z komputera, żeby kupić bilety do Los Angeles, zarezerwować tam pokój w hotelu i wyszukać dilerów używanych aut w okolicy Las Vegas. Z Londynu do Los Angeles, z Los Angeles autobusem do Vegas. Z Vegas samochodem do Meksyku. Taki był plan.

Jule przejrzała dokumenty na laptopie. Upewniła się, że zna na pamięć wszystkie numery kont, numery obsługi klienta, hasła, numery kart kredytowych i kody. Nauczyła się też numerów paszportu i prawa jazdy. Potem, pewnej ciemnej nocy wyrzuciła laptopa i komórkę do Tamizy.

Po powrocie do schroniska napisała szczerzy list z podziękowaniami dla Patti Sokoloff na staromodnej papeterii i wysłała go. Opróżniła szafkę i zapakowała walizkę. Schludnie zebrała wszystkie dokumenty. Balsamy i kosmetyki do włosów przełożyła do buteleczek podręcznych i włożyła do zamykanej plastikowej torebki.



Jule nigdy nie była w Vegas. Przebrała się w łazience na dworcu autobusowym. Pomieszczenie z umywalkami zajęła biała kobieta po pięćdziesiątce z babcinym wózkiem. Siedziała na blacie i jadła kanapkę zapakowaną w zatłuszczony biały papier. Na wąskich udach miała brudne czarne legginsy. Jasne, poprządkane siwizną włosy zebrała wysoko na czubku głowy. Były matowe. Jej buty leżały na podłodze – blad różowe winylowe szpilki. Jej gołe stopy, z plasterkami na piętach, wisiały w powietrzu.

Jule weszła do największej kabiny i zanurkowała do walizki. Po raz pierwszy od niemal roku założyła swoje kolczyki-koła. Wcisnęła się w nową sukienkę – krótką i czarną, pasującą do skórzanych szpilek na platformie. Wyciągnęła rudą perukę. Była nienaturalnie gładka, ale kolor pasował do piegów. Sięgnęła też po pudełko z kosmetykami do makijażu, zamknęła walizkę i podeszła do umywalki.

Kobieta siedząca na blacie nie skomentowała zmiany koloru włosów. Zgniotła opakowanie po kanapce i zapaliła papierosa.

Jule nauczyła się sztuki makijażu z internetowych tutoriali. Przez większość ostatniego roku malowała twarz w stylu dziewczyny z college'u: naturalna skóra, trochę różu, bezbarwna szminka, tusz. Teraz wyciągnęła sztuczne rzęsy, zielony cień do powiek, czarny eyeliner, podkład, pędzle do konturowania, kredkę do brwi i koralowy błyszczek.

Właściwie nie było to konieczne. Nie potrzebowała ani kosmetyków, ani sukienki, ani butów. Wystarczyłaby prawdopodobnie tylko peruka. Mimo to uznała, że dobrze by było poćwiczyć transformację. Poza tym lubiła stawać się kimś innym.

Nieznajoma odezwała się, gdy Jule skończyła malować oczy.

– Pracujesz?

Jule dla zabawy odpowiedziała swoim szkockim akcentem.

– Nie.

– No wiesz, czy sprzedajesz się, w tym sensie.

– Nie.

– Nie sprzedawaj się. To takie smutne.

– Nie sprzedaję się.

– Szkoda mi cię, tylko tyle chciałam powiedzieć.

Jule milczała. Nałożyła puder rozświetlający na policzki.

– Ja tak pracowałam – ciągnęła dalej kobieta. Zeskoczyła z blatu i założyła buty na pokaleczone stopy. – Nie miałam rodziny, nie miałam pieniędzy, właśnie tak zaczynałam i teraz nie jest inaczej. Ale w tym zawodzie niczego nie osiągniesz, nawet przy bogatych klientach. Powinnaś to wiedzieć.

Jule zarzuciła na ramiona zielony kardigan i chwyciła walizkę.

– Nie martw się o mnie. Niczego mi nie brakuje, serio.

Ciągnąc bagaż za sobą, ruszyła do drzwi, ale zachwiała się przez nowe buty.

– Wszystko okej? – zapytała nieznajoma.

– Jasne.

– Czasami trudno być kobietą.

– No, wszystko jest do bani, oprócz makijażu – powiedziała Jule i minęła próg, nie oglądając się za siebie.

Wcisnąwszy walizkę do szafki w przechowalni bagażu na dworcu autobusowym, Jule zarzuciła na ramię torbę na zakupy i wezwała taksówkę, by pojechać do baru w Las Vegas. Była zmęczona – nie udało jej się zasnąć w drodze, a poza tym funkcjonowała według czasu londyńskiego.

Kasyno było oświetlone neonami, żyrandolami i kolorowymi lampkami z automatów. Jule minęła mężczyzn w sportowych spodniach, emerytów, imprezowiczki i dużą grupę bibliotekarzy z identyfikatorami konferencji. Dwie godziny zajęło jej chodzenie z miejsca w miejsce, ale w końcu znalazła to, czego szukała.

Koło szeregu automatów z Batmanem stała grupka dziewczyn, które wyglądały, jakby fantastycznie się bawiły. Trzymały w rękach mrożone drinki, fioletowe i pełne kruszonego lodu. Kilka z nich wyglądało na Amerykanki azjatyckiego pochodzenia, kilka było białych. To był wieczór panieński, a przyszła panna młoda pasowała idealnie, dokładnie takiej Jule potrzebowała: blada i drobna, z szerokimi ramionami i delikatnymi piegami na twarzy. Nie mogła mieć więcej niż dwadzieścia trzy lata. Jasnobrązowe włosy zebrała w kucyk, ubrana była w różową miniówkę, na którą narzuciła szarfę z napisem z kryształków: PRZYSZŁA PANNA MŁODA. Na lewym ramieniu miała niewielką turkusową torebkę z wieloma suwakami. Pochyliła się, patrząc, jak koleżanki grają na automatach, dopingując je, a jako obiekt nieustannych zachwyków wszystkich wokół czuła się jak ryba w wodzie.

Jule podeszła do nich i odezwała się z południowym akcentem, jak z Alabamy:

– Hej, sorki, czy mogłybyście... Telefon mi się rozładował, a muszę napisać do koleżanki. Ostatni raz widziałam ją przy sushi barze, ale potem zaczęłam grać i ups! Minęły trzy godziny, a ona zaginęła w akcji.

Dziewczyny obróciły się w jej stronę. Jule się uśmiechnęła.

- O rany, wieczór panieński?
- Wychodzi za mąż w sobotę! – zawołała jedna z nich, ściskając przyszlą pannę młodą.
- Hurra! Jak się nazywasz? – zapytała Jule.
- Shanna – odparła panna młoda. Były tego samego wzrostu, ale Shanna założyła buty na płaskim obcasie, więc Jule trochę nad nią górowała.
- Shanna Dixie, a wkrótce Shanna McFetridge! – zawołała druhna.
- Czadowo – rzuciła Jule. – Masz już sukienkę?
- Oczywiście – odparła Shanna.
- Ślub nie będzie w Vegas – wyjaśniła druhna. – Będzie w kościele.
- A skąd jesteście? – zapytała Jule.
- Tacoma. To w Washington. Znasz? Przyjechaliśmy do Vegas na...
- Zaplanowały dla mnie cały weekend – powiedziała Shanna. – Przyleciałyśmy dzisiaj rano i poszłyśmy do spa, a potem na manicure. Widzisz? Mam żele. Później kasyno, a jutro idziemy zobaczyć białe tygrysy.
- A jaką masz sukienkę? W sensie na ślub.
- Shanna ścisnęła ramię Jule.
- Zwała z nóg. Czuję się w niej jak księżniczka.
- Mogę ją zobaczyć? Na twoim telefonie? Na pewno masz jakieś zdjęcie. – Jule zakryła dłonią usta i pochyliła nieco głowę. – Mam trochę bzika na punkcie sukni ślubnych, wiesz? Od małego.
- No jasne, że mam zdjęcie – oznajmiła Shanna. Rozpięła torebkę i wyciągnęła telefon w złotym etui. Poszewka torebki była różowa. W środku znajdował się portfel z brązowej skóry, dwa tampony w folii, paczka gum i szminka.
- No pokaż – rzuciła Jule. Stała obok panny młodej, by spojrzeć na wyświetlacz.
- Shanna przełączała na kolejne fotografie. Pies. Brudna umywalka. Dziecko. Znowu dziecko.
- To mój synek, Declan. Ma osiemnaście miesięcy. – Jakies drzewa nad jeziorem. – No, jest.
- Sukienka okazała się długa i bez ramiączek, marszczona

na biodrach. Na zdjęciu Shanna przymierzała ją w sklepie pełnym innych sukni ślubnych.

Jule wydała kilka okrzyków pełnych zachwyty.

– A mogę zobaczyć narzeczonego?

– No ba. Oświadczyły były zarabiste, bez kitu – stwierdziła Shanna. – Włożył pierścionek do pączka. On studiuje prawo. Nie będę musiała pracować, jeśli nie będę chciała. – Ciągnęła dalej. Gadała i gadała. Podniosła telefon, żeby pokazać narzeczonego z szerokim uśmiechem na stoku narciarskim.

– Ale ciacho – oceniła Jule. Jej dłoń powędrowała do torebki Shanny. Wyciągnęła portfel i wsunęła go do swojej torby. – Mój chłopak, Paolo, podróżuje po świecie – ciągnęła dalej. – W tej chwili jest na Filipinach. Dacie wiarę? Dlatego pojechałam z koleżanką do Vegas. Powinnam znaleźć sobie kolesia, który będzie chciał się ustatkować, a nie jeździć nie wiadomo gdzie, racja? Jeśli chcę ślubu.

– Jeśli tego chcesz – odparła Shanna. – Możesz mieć wszystko, czego zechcesz, tylko musisz się na tym skupić. Trzeba się modlić i, wiesz, wizualizować.

– Wizualizacja – powiedziała jedna z jej koleżanek. – Byłyśmy na takim szkoleniu. To naprawdę działa.

– Posłuchaj – rzuciła Jule. – Podeszłam pogadać z wami, bo muszę skorzystać z telefonu. Mój się rozładował. Nie masz nic przeciwko?

Shanna podała jej komórkę, a Jule wysłała wiadomość na przypadkowy numer: „Bądź o 10:15 w Cheesecake Factory”. Oddała telefon pannie młodej.

– Dzięki. Będiesz wyglądać prześlicznie na swoim ślubie.

– Ty też – odparła Shanna. – Pewnego dnia.

Jej koleżanki pomachały na pożegnanie. Jule odmachiała i wyminęła rząd automatów, żeby dostać się do wind.

Gdy tylko zamknęły się za nią drzwi windy i została sama, Jule zdjęła perukę. Zrzuciła też buty, wyjęła schowane w torbie spodnie do biegania i założyła je na sukienkę, do tego vansy. Peruka i szpilki wylądowały w torbie. Zarzuciła na ramiona jeszcze bluzę z kapturem i zaraz drzwi windy otworzyły się na dziesiątym piętrze.

Jule nie wysiadła. Kiedy winda ruszyła w dół, sięgnęła po chusteczkę do demakijażu i starła błyszczak, a potem zdjęła sztuczne rzęsy. Następnie chwyciła portfel Shanny, zabrała prawo jazdy, a resztę rzuciła na podłogę.

Kiedy drzwi otworzyły się ponownie, była już innym człowiekiem.

Cztery kasyna dalej Jule przyjrzała się sześciu restauracjom, aż znalazła taką, gdzie mogła zamówić kawę i zagadać do samotnej studentki, która właśnie zaczęła nocną zmianę. Lokal był repliką baru z lat pięćdziesiątych. Pracowała w nim kelnerka o drobnej budowie, jasnobrązowych lokach i piegowatym nosie. Miała na sobie sukienkę w kropki i fartuszek z falbankami. Kiedy do środka wpadła grupka pijanych kolesi, gadając o piwie i burgerach, Jule zostawiła na ladzie trochę gotówki, żeby zapłacić za jedzenie, a potem wślizgnęła się do kuchni. Ściągnęła z wieszaka najbardziej kobiecy plecak i wyszła przez tylne drzwi. Znalazła się w korytarzu dla obsługi kasyna. Zbiegła po schodach, do alejki, a potem założyła plecak i przecisnęła się przez tłum czekający w kolejce na pokaz magicznych sztuczek.

Kawałek dalej zatrzymała się, by przejrzeć zawartość plecaka. W zapinanej na suwak kieszonce znajdował się paszport, wystawiony na niejaką Adelaide Belle Perry, dwudziestojednoletką.

Miała farta. Jule szykowała się na to, że minie dużo czasu, zanim zdobędzie paszport. Było jej żal Adelaide, więc po zabraniu paszportu zwróciła plecak do biura rzeczy znalezionych.

Na końcu szeregu kasyn znalazła sklep z perukami i dwa odzieżowe. Zrobiła zakupy i do rana zrobiła jeszcze dwa obchody. Jako blondynka z falami i pomarańczową szminką ukradła prawo jazdy niejakiej Dakoty Pleasance, mierzącej metr pięćdziesiąt siedem. Jako brunetka z długimi włosami i srebrną kurtką przechwyciła paszport Dorothei von Schnell z Niemiec, mierzącej metr sześćdziesiąt.

O ósmej rano Jule na powrót miała na sobie spodnie i vansy, twarz bez makijażu. Wezwała taksówkę do hotelu Rio i wjechała windą na dach. Czytała o VooDoo Lounge, klubie znajdującym się na pięćdziesiątym pierwszym piętrze.

Kiedy walka dobiegła końca, kiedy wielki biały bohater kolejny raz uszedł z życiem, wybierał się gdzieś wysoko, gdzie miał dobry widok na miasto. Iron Man, Spider-Man, Batman, Wolverine, Jason Bourne, James Bond – każdy z nich to robił. Bohater wygląda na piękno i ból zawierające się w mrugających światłach metropolii. Myśli o swojej misji, o unikalnych talentach, swojej sile i dziwnym, wypełnionym przemocą życiu oraz wszystkim, co musiał poświęcić, żeby przeżyć.

VooDoo Lounge tak wcześnie rano był ledwie betonową powierzchnią dachu z czerwonymi i czarnymi kanapami. Fotele miały kształt ogromnych dłoni. Schody tworzyły łuk nad dachem. Klienci mogli się na nie wspinać, żeby mieć lepszy widok na Vegas. Stało też kilka klatek, w których normalnie tańczyły dziewczyny, jednak teraz był tutaj tylko woźny. Na widok Jule znacząco uniósł brwi.

– Chcę tylko popatrzeć – powiedziała mu. – Jestem niegroźna, przysięgam.

– Oczywiście – odparł woźny. – Śmiało. Ja tu będę sprzątał.

Jule weszła na sam szczyt schodów i spojrzała na miasto. Pomyślała o tych wszystkich żyjących tam w dole ludziach. Ktoś właśnie kupował pastę do zębów, kłócił się, wskakiwał do sklepu po jajka w drodze do pracy. Żyli otoczeni przez cały ten blichtr, zakładając, że drobne, ładne kobiety są niegroźne.

Trzy lata wcześniej Julietta West Williams miała piętnaście lat i poszła do salonu gier – takiego dużego, błyszczącego nowością i klimatyzowanego. Nabijała punkty w symulatorze wojennym. Zupełnie się w tym zatraciła, podczas gdy dwóch kolegów ze szkoły zaszło ją od tyłu i ścisnęło za piersi. Jeden z każdej strony.

Julietta uderzyła pierwszego łokciem w miękki brzuch, a potem obróciła się i nadepnęła mocno drugiego, by zaraz kopnąć go w krocze.

To był pierwszy raz, kiedy biła się z kimś poza zajęciami sztuk walki. Pierwszy raz, kiedy została do tego zmuszona.

No dobra, nie została zmuszona. Chciała to zrobić. Podobało jej się to.

Kiedy drugi chłopak zgiął się w pół, zanosząc się kaszlem, Jule odwróciła się i uderzyła pierwszego w twarz przegubem dłoni. Jego głowa odskoczyła do tyłu, a Jule szarpnęła go za koszulkę i wrzasnęła mu do tłustego ucha:

– Nie masz prawa mnie dotykać!

Chciała zobaczyć strach na twarzy tamtego chłopaka i grymas bólu na twarzy tego drugiego, który opadł na stojącą nieopodal ławkę. Ci dwaj zawsze byli tacy pewni siebie w szkole, niczego się nie bali.

Podszedł do nich przyszczaty pracownik salonu i złapał Jule za łokieć.

– Tu nie można się bić. Obawiam się, że muszę cię stąd wyprowadzić.

– Czy ty mnie trzymasz za łokieć? – zapytała. – Bo nie chcę, żebyś mnie trzymał za łokieć.

Szybko ją puścił.

Bał się jej.

Był piętnaście centymetrów wyższy i co najmniej trzy lata



starszy. Był dorosłym mężczyzną, a jednak czuł strach przed nią.

Czuła się doskonale.

Julietta opuściła salon gier. Nie martwiła się, że chłopaki pójdą jej śladem. Czuła się jak w filmie. Nie miała pojęcia, że potrafi się obronić w ten sposób, nie miała pojęcia, że siła zdobywana na zajęciach i na szkolnej siłowni się przyda. Zdała sobie sprawę, że zdobyła tarczę. Może właśnie tego chciała od samego początku.

Wyglądała tak samo, nie wyróżniała się z tłumu, ale po tym wydarzeniu inaczej patrzyła na świat. Bycie silną fizycznie kobietą – to jest coś. Możesz iść, gdzie chcesz, i robić, co chcesz, jeśli trudno cię powalić.

Kilka pięter niżej, na korytarzu hotelu Rio, Jule znalazła pokojówkę pchającą wózek do sprzątania. Wystarczyło czterdzieści dolarów napiwku i miała pokój do trzeciej trzydzieści. Obchód wyznaczono na czwartą.

Kolejna noc zbierania portfeli i kolejny dzień na sen i Jule była gotowa, by kupić niewyróżniający się używany samochód od jakiegoś cwaniaka z parkingu. Zapłaciła gotówką. Zabrała bagaż ze skrytki na dworcu i włożyła dodatkowe dokumenty głęboko pod zamszową wyściółkę hatchbacka.

Przekroczyła granicę z Meksykiem, korzystając z paszportu Adelaide Belle Perry.

 OSTATNI TYDZIEŃ LUTEGO 2017  
 LONDYN

Trzy miesiące przed tym, jak Jule pojechała do Meksyku, Forrest Smith-Martin leżał na kanapie Jule, chrupiąc młode marchewki swoimi prostymi, błyszczącymi zębami. Zatrzymał się w jej londyńskim mieszkaniu na pięć dni.

Forrest to były chłopak Immie. Zawsze zachowywał się, jakby nie wierzył w ani jedno słowo Jule. Jeśli powiedziała, że lubi borówki, unosił brwi, jakby w to wątpił. Jeśli powiedziała, że Immie uciekła do Paryża, wypytywał ją o szczegóły. Sprawiał, że Jule czuła się jak oszustka.

Blady i szczupły Forrest należał do tego rodzaju mizernych mężczyzn, którzy czuli się niekomfortowo w towarzystwie kobiet bardziej od nich umięśnionych. Jego stawy wydawały się za luźne, a pleciona bransoletka na lewym nadgarstku wyglądała na brudną. Poszedł do Yale, żeby studiować literaturę światową. Lubił mówić o tym ludziom i często wspominał o Yale w rozmowach. Nosił małe okulary i zapuszczał brodę, która nie chciała rosnać, a długie włosy zbierał w męski koczek na czubku głowy. Miał dwadzieścia jeden lat i pracował nad powieścią.

W tej chwili czytał książkę przetłumaczoną z francuskiego. Alberta Camusa. Jego nazwisko wymawiał jako *Camu*. Rozłożył się na kanapie zamiast normalnie usiąść, a ubrany był w bluzę dresową i bokserki.

Forrest zatrzymał się w tym mieszkaniu z powodu śmierci Immie. Powiedział, że chce spać na rozkładanej kanapie, żeby być blisko rzeczy należących do Imogen. Jule nieraz przyłapała go na tym, że wyjmował jej ubrania z szafy i wachał. Kilka razy wieszał

je nawet na oknach. Znalazł stare książki Immie – wczesne wydania „Targowiska próżności” i innych powieści wiktoriańskich – i zebrał je w stosik koło łóżka, jakby musiał je oglądać przed spaniem. No i nie spuszczał kłapy od sedesu.

Razem z Jule zajmowali się ogarnianiem londyńskiej części spraw związanych ze śmiercią Immie. Gil i Patti utknęli w Nowym Jorku ze względu na chorobę Gila. Udało im się utrzymać samobójstwo w tajemnicy i sprawa nie przedostała się do mediów. Powiedzieli, że nie chcą zainteresowania opinii publicznej, a zdaniem policji nie było żadnego podejrzenia udziału osób trzecich. Chociaż ciało nie zostało odnalezione, nikt nie wątpił w oficjalną wersję wydarzeń. Immie zostawiła list pożegnalny w chlebaku.

Wszyscy zgadzali się, że musiała cierpieć na depresję. Policjanci twierdzili, że ludzie ciągle skakali do Tamizy. A jeśli ktoś dociążył się przed skokiem, tak jak według listu planowała Imogen, nie dało się określić, ile czasu minie, zanim ciało zostanie odnalezione.

Teraz Jule usiadła obok Forresta i włączyła telewizor. Leciał jakiś późnonocny program BBC. Spędzili cały dzień przeglądając rzeczy w kuchni Immie, pakując je według instrukcji Patti. Było to czasochłonne i trudne emocjonalnie zadanie.

– Ta dziewczyna wygląda jak Immie – oznajmił Forrest, pokazując aktorkę na ekranie.

Jule pokręciła głową.

– Nie wydaje mi się.

– Oczywiście, że tak – upierał się Forrest. – A przynajmniej ja tak uważam.

– Nie z bliska. Po prostu ma krótkie włosy. Ludzie myślą, że ja wyglądam jak Immie. Z odległości.

Popatrzył na nią uważnie.

– Wcale jej nie przypominasz, Jule – stwierdził. – Imogen była milion razy ładniejsza.

Jule rzuciła mu groźne spojrzenie.

– Nie wiedziałam, że mamy dzisiaj w planach obrażanie się nawzajem. Jestem trochę zmęczona. Możemy sobie darować czy bardzo chcesz się pokłócić?

Forrest pochylił się w jej stronę, zamykając Camusa.

– Czy Imogen pożyczyła ci pieniądze? – zapytał.

– Nie, nie pożyczyła – odparła zgodnie z prawdą Jule.

– Czy chciałaś się z nią przespać?

– Nie.

– A czy przespałaś się z nią?

– Nie.

– Miała nowego chłopaka?

– Nie.

– Jest coś, o czym mi nie mówisz.

– Jest sto rzeczy, których ci nie mówię – odparła Jule. – Bo jestem z natury skryta. I dopiero co umarła moja przyjaciółka. Jest mi smutno i staram się jakoś sobie z tym poradzić. Czy coś ci nie pasuje?

– Owszem – oznajmił Forrest. – Muszę zrozumieć, co się stało.

– Posłuchaj. Główna zasada twojego pobytu w tym mieszkaniu jest taka, że nie zadajesz mi miliona pytań na temat prywatnego życia Immie. Albo mojego prywatnego życia. Wtedy się jakoś dogadamy. Okej?

Forrest prychnął.

– Zasada mojego pobytu? O czym ty pieprzysz?

– Każde miejsce ma swoje zasady. Kiedy wstępujesz do nowego miejsca, musisz zbadać, jakie zasady w nim panują. Na przykład jak jesteś czyimś gościem, uczysz się, jak należy się zachować, i adaptujesz się do nowych warunków. Tak?

– Może ty tak robisz.

– *Wszyscy* tak robią. Sprawdzasz, jak głośno możesz mówić, gdzie możesz usiąść, co możesz powiedzieć, a co jest niegrzeczne. To się nazywa bycie członkiem społeczeństwa.

– Bzdura. – Forrest założył nogę na nogę. – Nie jestem fałszywy. Robię to, co uważam za właściwe. I wiesz co? Do tej pory nigdy nie miałem z tym problemu.

– Bo ty to ty.

– A co to ma niby znaczyć?

– Jesteś facetem. Pochodzisz z bogatej rodziny, jesteś biały, masz naprawdę ładne zęby, skończyłeś Yale, lista jest długa.

– No i?

– Inni ludzie przystosowują się do ciebie, dupku. Myślisz, że nie ma żadnej adaptacji, ale jesteś po prostu ślepy, Forrest. To się dzieje wszędzie dokoła, przez cały czas.

– No dobra, przyznaję, że masz trochę racji.

– Dziękuję.

– Ale jeśli obczajasz sobie to całe wariactwo za każdym razem, kiedy znajdziesz się w nowej sytuacji, coś jest z tobą porządnie nie tak, Jule.

– Moja przyjaciółka nie żyje – odparła. – To jest ze mną nie tak.

Immie nie zdradziła swoich sekretów Forrestowi. Zdradziła je za to Jule.

Jule szybko zdała sobie z tego sprawę, jeszcze zanim Immie powiedziała jej o swoim pierwszym imieniu i zanim Brooke Lannon pojawiła się w domu na wyspie.

Był czwarty lipca, krótko po tym, jak Jule się wprowadziła. Immie znalazła przepis na ciasto do pizzy, którą piecze się na grillu na zewnątrz. Właśnie zajmowała się drożdżami w kuchni. Zaprosiła tymczasowych przyjaciół, których poznała kilka dni wcześniej na rynku. Przyszli i usiedli do jedzenia. Wszystko szło dobrze, ale chcieli wyjść wcześniej. „Jedźmy do miasta popatrzeć na fajerwerki” – powiedzieli. „Nie możemy ich przegapić. Szybko”.

Jule wiedziała, że Imogen nie znosi tłumów. Przy jej wzroście na takich wydarzeniach nic nie mogła zobaczyć. I zawsze było za głośno.

Forresta to najwyraźniej nie interesowało. Wsiadł do samochodu razem z letnikami, zatrzymując się tylko na chwilę, by zabrać ze spiżarni pudełko ciastek.

Jule nie pojechała. Zostawiły z Immie zmywanie dla sprzątacza i przebrały się w stroje kąpielowe. Jule zdjęła pokrywę z jacuzzi, a Immie przyniosła szklanki wody sodowej z cytryną.

Siedziały przez jakiś czas w ciszy. Wieczór zrobił się chłodny, a z wody unosiła się para.

– Podoba ci się tutaj? – zapytała w końcu Immie. – W moim domu? Ze mną?

Jule podobało się i tak też powiedziała. Kiedy Immie popatrzyła na nią wyczekująco, dodała jeszcze:

– Każdego dnia mam czas, żeby popatrzeć w niebo i posmakować tego, co jem. Jest przestrzeń, żeby się przeciągnąć. Nie ma pracy, nie ma oczekiwań, nie ma dorosłych.

– My jesteśmy dorośli – odparła Immie, przekrzywiając głowę. –

A przynajmniej tak mi się wydaje. Ty, ja i Forrest, jesteśmy zaszranymi dorosłymi i dlatego to wszystko jest takie wspaniałe. Ups! – Niechcący wylała zawartość szklanki do jacuzzi. Teraz próbowała złapać trzy powoli opadające na dno plasterki cytryny. – Cieszę się, że ci się tu podoba – powiedziała, wyłowiwszy ostatni kawałek – bo kiedy mieszkałam z Forrestem, to czułam się, no wiesz, trochę samotna. Nie potrafię tego wytłumaczyć. Może to dlatego, że on pisze powieść, albo z powodu jego wieku. W każdym razie z tobą jest lepiej.

– Jak się poznaliście?

– W Londynie chodziłam na letni kurs z jego kuzynem, a pewnego dnia kupowałam kawę w Black Dog i rozpoznałam go z Instagrama. Zaczęliśmy rozmawiać. Przyjechał tu na miesiąc, żeby pracować nad książką. Nikogo nie znał. I w zasadzie to tyle. – Immie przejechała palcami po powierzchni wody. – A ty? Spotykasz się z kimś?

– Miałam kilku chłopaków na Stanford – odparła Jule. – Ale zostali w Kalifornii.

– *Kilku* chłopaków?

– Trzech dokładnie.

– Trzech to dużo, Jule!

Jule wzruszyła ramionami.

– Nie potrafiłam się zdecydować.

– Kiedy poszłam do college'u – zaczęła Immie – Vivian Abromowitz zaprosiła mnie na imprezę Studentów Stowarzyszenia Kolorowych. Wspominałam ci już o Vivian, prawda? Tak czy inaczej, jej mama jest z pochodzenia Chinką, a ojciec koreańskim Żydem. Uparła się na tę imprezę, ponieważ jakiś gość, który jej się podobał, miał się tam pojawić. Trochę się bałam tego, że będę jedyną białą w towarzystwie, ale akurat w tej kwestii było w porządku. Czułam się niezręcznie raczej przez to, że wszyscy byli bardzo skupieni na polityce i ambicjach. Ciągłe gadali o protestach, o książkach z filozofii i tej serii filmów o Renesansie w Harlemlu. Na imprezie, rozumiesz? Pytałam, kiedy zaczniemy tańczyć. A oni na to, że nigdy. W Stanford też mieliście takie imprezy? Bez piwa i z samymi intelektualistami?

– W Stanford jest system grecki z domami studenckimi.

– Czyli pewnie nie. Tak czy inaczej, taki wysoki koleś z dreadami, całkiem przystojny, ciągle rzucał takie teksty: „Chodziłaś do Greenbriar i nie czytałaś Jamesa Baldwina? A może Toni Morrison? Powinnaś sięgnąć chociaż po Ta-Nehisiego Coatesa”. A ja na to: „Co proszę? Dopiero co skończyłam college. Nikogo jeszcze nie czytałam!” Vivian stała zaraz obok i powiedziała: „Brooke napisał mi przed chwilą, że jest inna impreza, z DJ-em, i przyszła cała drużyna rugby. Spływamy?” A ja chciałam potańczyć. Więc się zmyłyśmy. – Immie włożyła głowę pod wodę i za chwilę wypłynęła z powrotem.

– Co się stało z tym ważniakiem?

Immie parsknęła śmiechem.

– Nazywał się Isaac Tupperman. Właśnie z jego względu opowiadałam ci tę historię. Chodziłam z nim przez prawie dwa miesiące. Dlatego zapamiętałam nazwiska jego ulubionych pisarzy.

– Był twoim chłopakiem?

– No. Pisał mi wiersze i zostawiał je na moim rowerze. Przychodził późno w nocy, na przykład o drugiej, i mówił, że za mną tęskni. Ale czułam też presję. Isaac mieszkał na Bronxie, chodził do Stuy i był...

– Co to Stuy?

– Szkoła publiczna dla małych geniuszy z Nowego Jorku. Miał mnóstwo pomysłów co do tego, kim powinnam być, czego powinnam się uczyć, co mnie powinno obchodzić. Chciał być tym niesamowitym starszym facetem, który mnie oświeci. I było mi miło, może nawet go podziwiałam, ale czasami też okropnie się nudziłam.

– Czyli był jak Forrest.

– Co? Nie. Strasznie się ucieszyłam, kiedy poznałam Forresta, bo był, wiesz, przeciwieństwem Isaaca. – Immie powiedziała to zdecydowanym tonem, jakby nie miała co do tego najmniejszych wątpliwości. – Isaac lubił mnie, bo byłam zupełną ignorantką, co oznaczało, że on mnie wszystkiego nauczy, czaisz? Dzięki temu czuł się męsko. No i wiedział o wielu rzeczach, których ja nigdy nie poznałam, nie doświadczyłam i tak dalej. Ale też, paradoksalnie, totalnie irytowała go ta moja ignorancja.



W końcu zerwał ze mną i było mi smutno i w ogóle, pojechałam któregoś dnia na wyspę i pomyślałam: „Pierdol się, mądralo. Nie jestem taką ignorantką. Po prostu wiem różne rzeczy o rzeczach, które ty uważasz za nieważne i głupie”. Czy to ma sens? No bo wiesz, może nie wiedziałam za dużo o tych rzeczach Isaaca i rozumiem, że to są ważne rzeczy, ale przez cały czas przy nim czułam się jak głupia gęś. Nie miałam zbyt dużego pojęcia o jego doświadczeniach życiowych, do tego był ode mnie rok starszy i bardzo zaangażowany w te akademickie sprawy, w czasopismo literackie i takie tam, a to wszystko razem oznaczało, że on ciągle był tym wielkim facetem, a ja miałam patrzeć na niego i go podziwiać. I właśnie to mu się we mnie podobało. I przez to też mnie nie znosił. No a potem myślałam, że zaszłam w ciążę. Wyobraź to sobie, Jule. Jestem adoptowana, a tu proszę, miałam być w ciąży i być może urodzić dziecko, które oddam do adopcji. Albo usunąć ciążę. A ojcem miał być facet, którego moi rodzice widzieli tylko raz i uznali go za imprezowicza, ze względu na kolor jego skóry i fryzurę. Nie miałam zielonego pojęcia, co począć, więc cały tydzień nie chodziłam na zajęcia i czytałam w Internecie opowieści kobiet o aborcji. A potem któregoś dnia w końcu dostałam miesiączkę i napisałam o tym do Isaaca. Rzucił wszystko i przyszedł do mnie do akademika. I zerwał ze mną, czaisz? – Immie chwyciła się za głowę. – Nigdy wcześniej nie bałam się tak bardzo jak wtedy, gdy myślałam, że noszę w sobie dziecko.

Tamtej nocy, kiedy Forrest wrócił z oglądania fajerwerków, Imogen leżała już w łóżku. Jule wciąż nie spała, zamiast tego oglądała telewizję, siedząc na kanapie w salonie. Ruszyła za nim do kuchni, kiedy zajrzał do lodówki, żeby wyjąć sobie piwo i resztki grillowanej wieprzowiny.

- Potrafisz gotować? – zapytała go.
- Potrafię ugotować makaron. I zagrzać sos pomidorowy.
- Imogen jest świetną kucharką.
- No. Dobrze się składa, nie?
- Naprawdę ciężko pracuje w kuchni. Nauczyła się, oglądając filmiki w Internecie i wypożyczając książki kucharskie w bibliotece.

- Naprawdę? – rzucił niedbale Forrest. – Hej, a została jeszcze kruszonka? Kruszonka jest mi teraz niezbędna do życia.
- Zjadłam ją – odparła Jule.
- Szczęściara. No dobra, idę popracować nad książką. W nocy mój umysł działa najlepiej.

Pewnej nocy, kiedy Forrest już od tygodnia mieszkał z Jule w Londynie, kupił dla nich bilety na „Zimową opowieść” do Royal Shakespeare Company. Żeby się czymś zająć. Musieli wreszcie wyjść z mieszkania.

Pojechali linią Jubilee do Central i dalej do St. Paul's, a potem pieszo udali się w stronę teatru. Padał deszcz. Ponieważ mieli jeszcze godzinę do spektaklu, weszli do pubu i zamówili rybę z frytkami. W środku panował półmrok, a na ścianach wisiały lustra. Zjedli przy barze.

Forrest bardzo dużo mówił na temat książek. Jule wypytała go o powieść Camusa, którą czytał, „L'Etranger”. Kazała mu wytłumaczyć fabułę, która polegała na tym, że jakiś koleś ze zmarłą matką zabija innego koleśa, a potem idzie za to do więzienia.

– To kryminał?

– Ani trochę – odparł Forrest. – Kryminały utrzymują status quo. Wszystko na końcu musi zostać rozwiązane, a porządek przywrócony. Ale ten porządek tak naprawdę nie istnieje, nie? To tylko sztuczny koncept. Cała konwencja kryminałów wspiera zachodnią ideę łańcucha przyczynowo -skutkowego. W „L'Etranger” od początku wiesz wszystko, co się wydarzyło. Nie ma tajemnicy do odkrycia, ponieważ ludzka egzystencja jest ostatecznie pozbawiona znaczenia.

– Och, to takie seksi, kiedy mówisz po francusku – powiedziała Jule, wyciągając rękę i zabierając mu frytkę z talerza. – Żartowałam.

Kiedy kelnerka przyniosła rachunek, Forrest wyjął swoją kartę kredytową.

– Ja stawiam, dzięki Gabe'owi Martinowi.

– To twój ojciec?

– Tak. Spłaca wszystko z tej małej – Forrest postukał palcem

kartę – dopóki nie skończę dwudziestu pięciu lat. Żebym mógł pracować nad powieścią.

– Farciarz. – Jule sięgnęła po kartę. Zapamiętała jej numer, a potem odwróciła i zapamiętała też kod z tyłu. – Pewnie nawet nie oglądasz wyciągu, co?

Forrest roześmiał się i zabrał kartę. Podał ją obsłudze.

– Jasne, że nie. Wysyłają go do Connecticut. Ale staram się być świadomym swojego przywileju i nie nadużywać go.

Kiedy pokonywali pozostałą drogę do teatru w mżawce, Forrest rozłożył nad nimi parasol. Kupił program, taki jakie się kupuje w londyńskim teatrze, pełen zdjęć, z historią produkcji. Usiedli we dwoje na ciemnej sali.

W czasie antraktu Jule stanęła przy ścianie lobby i obserwowała tłum. Forrest poszedł do toalety. Jule wsłuchiwała się w akcenty widowni: Londyn, Yorkshire, Liverpool. Boston, Kalifornia, Południowa Afryka. Znowu Londyn.

Cholera.

W teatrze był Paolo Vallarta-Bellstone.

Dokładnie w tej chwili. Po drugiej stronie lobby.

Wydawał się bardzo jasnym punktem na tle szarego tłumu. Miał na sobie czerwoną koszulkę i sportowy płaszcz, a na nogach niebiesko-żółte korki. Brzegi nogawek jego džinsów były wystrzępione. Paolo miał matkę Filipinkę i ojca Amerykanina o mieszanym pochodzeniu. Właśnie tak ich opisywał. Jego włosy były czarne, obciął je, odkąd ostatni raz się widzieli, a jego brwi tworzyły łagodne łuki. Do tego krągłe policzki, brązowe oczy, miękkie czerwone usta, wręcz jakby napuchnięte. Proste zęby. Paolo należał do tego rodzaju ludzi, którzy podróżują po świecie z jednym plecakiem, którzy podchodzą do obcych na karuzeli i w muzeum figur woskowych. Uwielbiał prowadzić długie rozmowy, ale nie był przy tym pretensjonalny. Lubił ludzi i zawsze myślał o nich jak najlepiej. W tej chwili zajadał się czerwonymi żelkami w kształcie rybek.

Jule odwróciła się. Nie podobało jej się to, jak ucieszyła się na jego widok. Nie podobało jej się to, jaki był piękny.

Nie. Nie chciała widzieć Paolo Vallartę-Bellstone'a.

Nie mogła go oglądać. Ani teraz, ani nigdy.

Szybko wyszła z lobby i ruszyła z powrotem do sali. Zamknęły się za nią podwójne drzwi. W środku nie znajdowało się zbyt wielu widzów. Tylko woźni i para starszków, którzy nie chcieli podnosić się ze swoich miejsc.

Musiała wydostać się stąd najszybciej jak to możliwe, nie natykając się na Paolo. Chwyciła kurtkę. Nie zamierzała czekać na Forresta.

Czy było tutaj gdzieś boczne wyjście ewakuacyjne?

Wbiegała właśnie po schodach z kurtką na ramieniu, kiedy go zauważyła. Stał wprost przed nią. Zatrzymała się. Ucieczka stała się niemożliwa.

Paolo pomachał do niej żółtą paczką żelków.

– Imogen! – Podbiegł do niej i pocałował ją w policzek. Jule poczuła zapach słodkości w jego oddechu. – Szalenie się cieszę, że cię widzę.

– Cześć – rzuciła chłodno. – Myślałam, że jesteś teraz w Tajlandii.

– Musiałem przełożyć wyjazd – wyjaśnił Paolo. – Mieliśmy opóźnienia. – Cofnął się o krok, jakby chciał ją lepiej widzieć. – Jesteś chyba najładniejszą dziewczyną w Londynie. Wow.

– Dzięki.

– Mówię serio. Kobieta, nie dziewczyną. Przepraszam. Ludzie pewnie chodzą za tobą z wywalonymi jęzorami, co? Jakim cudem stałaś się jeszcze ładniejsza? To przerażające. Gadam za dużo, bo się denerwuję.

Jule poczuła, że się czerwieni.

– Chodź ze mną – powiedział. – Postawię ci herbatę. Albo kawę. Co tylko zechcesz. Tęskniłem.

– Ja za tobą też. – Wcale nie chciała tego powiedzieć. Wymknęło jej się, ale to była prawda.

Paolo złapał ją za rękę, dotykając tylko jej palców. Zawsze był

taki odważny. Chociaż go odrzuciła, od razu wiedział, że nie miała tego na myśli. Był wyjątkowo delikatny, a jednocześnie pewny siebie. Dotykał ją, jakby spotkało ich ogromne szczęście, że mogą się dotykać; jakby wiedział, że rzadko komukolwiek na to pozwalała. Opuszka palca do opuszki palca, poprowadził Jule z powrotem do lobby.

– Nie dzwoniłem tylko dlatego, że mi zabroniłaś – oznajmił Paolo, puszczając jej rękę, gdy stanęli w kolejce po herbatę. – Ciągle chciałem do ciebie zadzwonić. Każdego dnia. Gapię się na telefon i nie dzwonię, żeby ci się nie narzucać. Bardzo się cieszę, że na ciebie wpadłem. Boże, jesteś piękna.

Jule podobało się to, jak jego koszulka leżała na obojczyku i jak jego nadgarstki poruszały się wewnątrz rękawów kurtki. Przygryzł usta, jakby się martwił. Jego twarz tworzyła łagodny łuk pod czarnymi rzęsami. Chciała oglądać go codziennie rano. Pomyślała, że gdyby mogła codziennie rano oglądać Paolo Vallartę-Bellstone'a, wszystko będzie dobrze.

– Wciąż nie chcesz wracać do domu w Nowym Jorku? – zapytał.

– Nigdy tam już nie wrócę – odparła Jule. Jak wiele innych rzeczy, które bezwiednie do niego mówiła, była to absolutna prawda. Jej oczy zapełniły się łzami.

– Ja też nie chcę wracać do domu – oznajmił. Ojciec Paolo był magnatem nieruchomości, który kilka miesięcy wcześniej został oskarżony o wykorzystywanie poufnych informacji na giełdzie. Mówili o tym we wszystkich wiadomościach. – Mama zostawiła ojca, kiedy dowiedziała się, co robił. Mieszka teraz z siostrą i dojeżdża do pracy z New Jersey. Zrobił się straszny galimatias z pieniędzmi, z prawnikami rozwodowymi i kryminalnymi, i mediatorami. Okropność.

– Przykro mi.

– To po prostu paskudne. Brat mojego ojca ciągle rzuca jakieś rasistowskie uwagi na temat rozwodu. Nie uwierzyłabyś, jakie rzeczy wydostają się z jego ust. A moja matka jest pełna jadu, szczerze mówiąc. Ma do tego pełne prawo, ale trudno się z nią rozmawia nawet tylko przez telefon. Nie wydaje mi się, żebym miał do czego wracać.

– Co zrobisz?

– Będę jeszcze podróżował. Mój kolega będzie gotowy jechać za kilka tygodni i ruszamy z plecakami przez Tajlandię, Kambodżę i Wietnam, zgodnie z wcześniejszym planem. A potem do Hong Kongu i jeszcze odwiedzić babcię na Filipinach. – Znowu chwycił dłoń Jule i pogłaskał. – Nie założyłaś swoich pierścionków. – Jej paznokcie były pomalowane na blad różowy kolor.

– Tylko ten jeden. – Jule pokazała mu drugą dłoń, na której miała jadeitową żmiję. – Wszystkie inne należały do mojej przyjaciółki. Ja tylko je pożyczyłam.

– Myślałem, że należą do ciebie.

– Nie. Tak. Nie. – Jule westchnęła.

– Czyli jak w końcu?

– Moja przyjaciółka niedawno się zabiła. Pokłóciłyśmy się i umarła obrażona na mnie. – Jule mówiła prawdę, ale też kłamała. W obecności Paolo nie potrafiła skupić myśli. Wiedziała, że nie powinna już z nim rozmawiać. Czuła, że historie, które sobie opowiedziała, i historie, które opowiedziała innym, przemieszczają się, nakładają na siebie, zmieniając odcienie. Nie potrafiła teraz nazwać tych historii, nie wiedziała, co ma na myśli, a czego nie.

Paolo ścisnął jej dłoń.

– Przykro mi.

– Powiedz mi, czy twoim zdaniem człowiek jest tak zły, jak jego najgorsze czyny? – wypaliła.

– Słucham?

– Czy twoim zdaniem człowiek jest tak zły, jak jego najgorsze czyny?

– Pytasz, czy twoja przyjaciółka trafi do piekła, bo się zabiła?

– Nie. – Wcale nie miała tego na myśli. – Czy nasze najgorsze czyny definiują nas, kiedy żyjemy? A może ludzie są lepsi niż najgorsze, co kiedykolwiek zrobili?

Paolo się zamyślił.

– No cóż, weźmy pod uwagę Leontesa z „Zimowej opowieści”. Próbował otruć przyjaciela, wtrącił własną żonę do więzienia i porzucił dziecko w dziczy. Więc jest absolutnie najgorszy, prawda?

– Prawda.

– Ale na koniec... Widziałaś już kiedyś tę sztukę?

– Nie.

– Na koniec tego żałuje. Naprawdę mocno wszystkiego żałuje i to wystarczy. Wszyscy mu wybaczą. Szekspir pozwala Leontesowi na odkupienie, chociaż zrobił coś naprawdę paskudnego.

Jule chciała powiedzieć Paolo o wszystkim.

Chciała odkryć przed nim swoją przeszłość w całej brzydkiej i pięknej okazałości, pokazać odwagę i skomplikowanie. Zostanie odkupiona.

Nie mogła nic powiedzieć.

– Ach – rzucił Paolo, przeciągając głoskę. – Nie mówimy już o sztuce, prawda?

Jule pokręciła głową.

– Nie gniewam się na ciebie, Imogen – stwierdził. – Szaleję na twoim punkcie. – Wyciągnął rękę i dotknął jej policzka. Potem musnął kciukiem jej dolną wargę. – Jestem pewien, że twoja przyjaciółka też już nie jest na ciebie zła, bez względu na to, co się wydarzyło jeszcze za jej życia. Jesteś doskonałą, pierwszorzędną osobą. Widzę to.

Dotarli do początku kolejki.

– Poproszę dwie herbaty – powiedziała Jule do kobiety za ladą. Z oczu jej ciekło, chociaż nie płakała. Musiała przestać tak się poddawać emocjom.

– To chyba rozmowa, którą powinniśmy odbyć przy obiedzie – oznajmił Paolo. Zapłacił za herbatę. – Chcesz coś zjeść po spektaklu? A może bajgle? Znam taką knajpę, gdzie podają prawdziwe nowojorskie bajgle.

Jule wiedziała, że powinna odmówić, ale pokiwała głową.

– Bajgle, okej. Umówmy się, że od tej chwili będziemy mówić o samych miłych rzeczach – powiedział Paolo. Zanieśli herbatę w papierowych kubeczkach do kącika z mlekiem i łyżeczkami. – Ja chcę dwie kostki cukru i wielkiego kleksa śmietanki. A ty?

– Ja piję z cytryną – odparła Jule. – Potrzebuję czterech plasterków do jednej herbaty.

– Okej, same miłe rzeczy – rzucił Paolo, gdy szli do stolika. – Mam opowiadać o sobie?

– Nie wydaje mi się, by ktokolwiek był w stanie cię od tego



odwieść.

Roześmiał się.

– Kiedy miałem osiem lat, złamałem sobie nogę w kostce, zeskakując z dachu samochodu mojego wujka. Miałem psa o imieniu Twister i chomika o imieniu St. George. Za dzieciaka chciałem zostać detektywem. Kiedyś zwymiotowałem po zjedzeniu zbyt wielu wiśni. Nie spotykałem się z nikim od czasu, kiedy powiedziałaś mi, żebym do ciebie nie dzwonił.

Wbrew sobie uśmiechnęła się.

– Kłamca.

– Nawet raz. Dzisiaj przyszedłem tutaj z Artiem Thatcherem.

– Przyjacielem twojego taty?

– Tym, u którego się zatrzymałem. Powiedział, że jeśli nie przyjdę tutaj to tak, jakbym nie był nigdy w Londynie. A ty?

Tym pytaniem przywrócił Jule do rzeczywistości.

Przyjechała tutaj z Forrestem.

Postąpiła głupio, bezdennie głupio, pozwalając Paolo odwrócić jej uwagę.

Miała przecież wyjść z teatru. Ale wtedy on musnął ustami jej policzek. Dotknął jej palców. Zwrócił uwagę na jej dłonie i powiedział, że jest piękna. Powiedział, że każdego dnia ma ochotę do niej zadzwonić.

Jule bardzo tęskniła za Paolo.

Ale był tutaj Forrest.

Nie mogli się poznać. Paolo za żadną cenę nie mógł zobaczyć Forresta.

– Posłuchaj, muszę...

Nagle tuż obok zmaterializował się Forrest. Był ospały i przygarbiony.

– Znalazłaś kolegę – powiedział do Jule jak do szczeniaka.

Powinni natychmiast wyjść. Jule wstała.

– Nie czuję się najlepiej – oznajmiła. – W głowie mi się kręci. Jest mi niedobrze. Zabierzesz mnie do domu? – Chwyciła Forresta za nadgarstek i pociągnęła go w stronę wyjścia.

– Pięć minut temu nic ci nie dolegało – odparł, ruszając za nią.

– Miło było cię zobaczyć – zawołała do Paolo. – Żegnaj.

Chciała, żeby Paolo nie wstał od stolika, lecz on poszedł za Jule

i Forrestem do drzwi.

– Nazywam się Paolo Vallarta-Bellstone – przedstawiał się, uśmiechając się do Forresta po drodze. – Jestem przyjacielem Imogen.

– Musimy iść.

– Forrest Smith-Martin – odparł Forrest. – Czyli już wiesz?

– Idziemy. Teraz – ponagliła Jule.

– O czym? – zapytał Paolo. Wyszedł razem z nimi na zewnątrz.

– Przepraszam, bardzo przepraszam – powiedziała Jule. – Coś jest ze mną nie tak. Wezwij taksówkę. Proszę.

Stali teraz na deszczu. Barbican Centre miało długi chodnik prowadzący do ulicy. Jule ciągnęła Forresta w tamtą stronę.

Paolo zatrzymał się pod dachem, nie chcąc zmoknąć.

Jule wezwała taksówkę. Wsiadła. Podała adres mieszkania na St. John's Wood.

Potem wzięła głęboki wdech i uspokoiła się. Zdecydowała, co powiedzieć Forrestowi.

– Zostawiłem kurtkę na siedzeniu – narzekał. – Niedobrze ci?

– Nie, właściwie to nie.

– Więc o co chodzi? Dlaczego jedziemy do domu?

– Ten koleś mi się narzucał.

– Paolo?

– Tak. Ciągłe do mnie wydzwania. Serio, kilka razy dziennie. Wysyła SMS-y. E-maile. Myślę, że mnie śledzi.

– Masz dziwnych znajomych.

– To nie jest mój znajomy. Koleś nie przyjmuje do wiadomości mojej odmowy. Dlatego musiałam uciec.

– Paolo coś tam Bellstone, prawda? – zapytał Forrest. – Tak się nazywał?

– Tak.

– Jest spokrewniony ze Stuartem Bellstone'em?

– Nie wiem.

– Ale takie miał nazwisko, prawda? Bellstone? – Forrest zdążył już wyciągnąć telefon komórkowy. – Na Wikipedii piszą... Tak, syn Stuarta Bellstone'a, skandal na giełdzie, bla, bla, jego syn to Paolo Vallarta-Bellstone.

– Na to wygląda – przyznała Jule. – Staram się o nim nie myśleć.

– Bellstone, dziwne – ciągnął dalej Forrest. – Czy Imogen go poznała?

– Tak. Nie. – Zakręciła się.

– Tak czy nie?

– Ich rodziny się znają. Wpadliśmy na niego przy pierwszej wizycie w Londynie.

– I teraz cię śledzi?

– Tak.

– I nigdy nie przyszło ci do głowy, że o tym śledzącym cię gościu warto by było wspomnieć policjantom zajmującym się sprawą zaginięcia Immie?

– On nie ma z tym nic wspólnego.

– Skąd wiesz. W tej sprawie wiele rzeczy się nie zgadza.

– Immie zabiła się i tyle – odparowała Jule. – Miała depresję i już cię nie kochała, a i mnie nie kochała dość mocno, by chcieć dalej żyć. Przestań się zachowywać, jakby mogło się zdarzyć cokolwiek innego.

Forrest przygryzł wargi i jechali dalej w ciszy. Po kilku minutach Jule spojrzała na niego i zobaczyła, że płacze.

Nad ranem Forrest zniknął. Zwyczajnie nie leżał już na rozkładanej kanapie. Jego torby nie było w szafie w korytarzu. Jego puchate swetry nie zwisały z różnych mebli. Podobnie wyparował jego laptop i francuskie powieści. Zostawił po sobie tylko brudne talerze w zlewie.

Jule nie będzie za nim tęsknić. Nie chciała go nigdy więcej oglądać. Z drugiej strony nie podobało jej się, że wyjechał, nie mówiąc dlaczego.

Co powiedział Paolo do Forresta dzień wcześniej? Tylko tyle, że jest przyjacielem Imogen. Krótkie „O czym?” i swoje nazwisko. Nic więcej.

Forrest nie usłyszał, jak Paolo zwraca się do Jule per Imogen. Prawda?

Nie.

Może.

Nie.

Dlaczego Forrest chciał, by policja zainteresowała się Paolo? Uważał, że Imogen była przez kogoś śledzona i ten ktoś ją zabił? Czy może uważał, że Imogen mogła mieć romans z Paolo? Czy to możliwe, by podejrzewał Jule o kłamstwo?

Jule spakowała bagaże i skierowała się do hostelu, o którym kiedyś czytała i który znajdował się na drugim końcu miasta.

 TRZECI TYDZIEŃ LUTEGO 2017  
 LONDYN

Osiem dni przed tym, jak Jule udała się do hostelu, zadzwoniła na komórkę Forresta z londyńskiego mieszkania Immie. Ręce jej się trzęsły. Usiadła na kuchennym blacie obok chlebaka. Było wcześniej rano. Chciała mieć to już z głowy.

- Hej, Jule. Imogen wróciła?
- Nie, nie wróciła.
- Aha. – Chwila ciszy. – To dlaczego do mnie dzwonisz? – Nie dało się nie zauważyć pogardy w jego głosie.
- Mam złe wieści – wyjaśniła Jule. – Bardzo mi przykro.
- Jakie wieści?
- Gdzie jesteś?
- W kiosku.
- Powinieneś wyjść na zewnątrz.
- Okej. – Jule czekała, słuchając odgłosów jego kroków. – No, co jest?
- Znalazłam w mieszkaniu list. Od Imogen.
- Jaki list?
- Leżał w chlebaku. Przeczytam ci. – Jule trzymała kartkę, na której znajdowały się wysokie, pełne zakrętasów litery pisma Imogen, często używane przez nią wyrażenia i ulubione słowa.

*Hej, Jule. Skoro to czytasz, wzięłam dużo środków nasennych, a potem pojechałam taksówką na Westminster Bridge.*

*Mam w kieszeniach kamienie. Mnóstwo kamieni. Zbierałam je cały tydzień. I utonę. Rzeka mnie pochłonie i poczuję jakąś*

ulgę.

*Na pewno będziesz się zastanawiać, dlaczego. Trudno mi odpowiedzieć. Nic nie jest dobrze. Nigdzie nie czuję się jak w domu. Nigdy i nigdzie nie czułam się jak w domu. I to się chyba nie zmieni.*

*Forrest niczego nie rozumiał. Ani Brooke. Ale Ty – Ty jedna potrafisz. Znasz mnie taką, jakiej nikt inny by mnie nie pokochał. O ile w ogóle jestem jakaś ja.*

Immie

– O, Boże. O, Boże. – Forrest powtarzał to raz za razem.

Jule pomyślała o Westminster Bridge z kamiennymi łukami i zielonymi barierkami, a także o płynącej pod nim głębokiej, zimnej rzece. Pomyślała o ciele Immie, płynącym twarzą w dół, o jej białej koszulce unoszącej się na zabarwionej krwią wodzie. W tamtej chwili bardzo wyraźnie poczuła żal po stracie Imogen Sokoloff, bardziej niż Forrest.

– Napisała to kilka dni temu – powiedziała w końcu Jule, kiedy Forrest się uspokoił. – Zniknęła w środę.

– Mówiłaś, że pojechała do Paryża.

– Zgadywałam.

– Może nie skoczyła.

– Zostawiła list pożegnalny.

– Ale dlaczego? Dlaczego miałyby to zrobić?

– Nigdzie nie czuła się jak w domu. Wiesz, że to prawda. Napisała to w liście. – Jule przełknęła ślinę, a potem powiedziała to, co Forrest chciałby usłyszeć. – Co twoim zdaniem powinniśmy zrobić? Nie wiem, co począć. Jesteś pierwszą osobą, do której dzwonię.

– Zaraz przyjadę – oznajmił Forrest. – Wezwij policję.

Forrest pojawił się w mieszkaniu dwie godziny później. Wydawał się zapadnięty w sobie i rozmęczany. Zabrał swoje bagaże z hotelu i oznajmił, że będzie spał na kanapie, dopóki sprawa się nie wyjaśni. Jule może zająć sypialnię. Żadne z nich nie powinno być w tej chwili samo.

Nie chciała go tam. Było jej smutno i nie czuła się na siłach. A przy Forreście wolała cały czas trzymać gardę. Mimo to musiała przyznać, że dobrze sobie radził w kryzysowej sytuacji. Zabrał się za wysyłanie wiadomości i dzwonienie do różnych ludzi, a z każdym rozmawiał z delikatnością, o jaką go nie podejrzewała. Sokoloffowie, ich przyjaciele z Martha's Vineyard, koledzy i koleżanki Immie z college'u: Forrest skontaktował się ze wszystkimi osobiście, skreślając ich po kolei z przygotowanej wcześniej listy.

Jule zadzwoniła na londyńską policję. Przyjechali i weszli do mieszkania, gdy Forrest rozmawiał z Patti. Zabrali list pożegnalny Imogen, a potem spisali zeznania Jule i Forresta.

Zgodzili się, że niewiele świadczyło o tym, by Imogen wybrała się w podróż. Jej walizki wciąż znajdowały się w szafie, podobnie jak ubrania. Portfel i karty kredytowe znaleźli w torebce. Za to brakowało laptopa oraz prawa jazdy i paszportu.

Forrest zapytał policjanta, czy list pożegnalny mógł zostać podrobiony.

– Może porywacze chcieli odwrócić naszą uwagę – powiedział. – Albo zmusili ją do napisania tej wiadomości? Istnieje jakiś sposób, żeby to sprawdzić?

– Forrest, list leżał w chlebaku – przypomniała mu łagodnie Jule. – Immie zostawiła go tam dla mnie.

– Dlaczego ktoś miałby porwać pannę Sokoloff? – zapytał policjant.

– Dla pieniędzy. Ktoś mógł ją porwać dla okupu. To dziwne, że

zaginał jej laptop. A może została zamordowana. Na przykład przez kogoś, kto zmusił ją do napisania listu.

Policjanci wysłuchali teorii Forresta. Zwrócili mu uwagę, że sam jest największym podejrzanym, jako były chłopak, który niedawno przyjechał do miasta, szukając Imogen. Dali mu jednak wyraźnie do zrozumienia, że nie uważają, by doszło do jakiegokolwiek przestępstwa. Szukali oznak użycia siły, lecz nic takiego nie znaleźli.

Forrest powiedział, że Imogen mogła zostać porwana poza mieszkaniem, ale policjanci przypomnieli mu o liście w chlebaku.

– List pożegnalny wszystko wyjaśnia – stwierdzili. Zapytali, czy tak wygląda charakter pisma Imogen, a Jule odparła, że tak. Zapytali o to samo Forresta i odrzekł, że tak mu się wydaje.

Jule oddała im brytyjski telefon Imogen. Na liście ostatnich połączeń znajdowały się tylko miejscowe muzea, wiadomości pochodziły wyłącznie od Forresta, Vivian Abromowitz i kilku innych przyjaciół, których Jule potrafiła zidentyfikować. Policjanci zapytali o wyciągi z kont Imogen. Jule wręczyła im jakieś papiery wydrukowane z zaginionego komputera. Znajdowały się w szufladzie biurka stojącego w pokoju dziennym.

Policjanci obiecali zorganizować poszukiwania ciała Imogen w rzece, ale ostrzegli jednocześnie, że jeśli zostało obciążone kamieniami, nie wypłynie tak szybko. Prąd prawdopodobnie zabrał je daleko od Westminster Bridge.

Poszukiwania mogą zająć całe tygodnie i nie przynieść rezultatów.



 KONIEC GRUDNIA 2016  
 LONDYN

Sześć tygodni wcześniej Jule po raz pierwszy przyjechała do Londynu. Dzień wcześniej skończyły się święta Bożego Narodzenia. Wzięła taksówkę do hotelu, w którym zarezerwowała sobie pokój. Brytyjskie banknoty nie mieściły się jej do portfela. Taksówka okazała się droga, ale Jule miała to gdzieś. Nie brakowało jej pieniędzy.

Hotel okazał się duży i elegancki, z przerobionym wnętrzem. W recepcji siedział mężczyzna w marynarce w kratkę. Miał księgę gości i osobiście odprowadził Jule do jej pokoju. Zajął ją rozmową, podczas gdy portier niósł jej rzeczy. Podobał się jej jego sposób mówienia, jakby wyszedł prosto z kart powieści Dickensa.

Ściany pokoju były wyklejone czarno-białą tapetą. W oknach wisiały ciężkie zasłony z wytłaczanym wzorem. W łazience zamontowano ogrzewanie podłogowe. Wyłożono ręczniki w kremowym kolorze i z teksturą z małych kwadratów. Mydło leżało zapakowane w brązowy papier.

Jule zamówiła stek. Kiedy go przyniesiono, zjadła wszystko z talerza i wypła dużą szklankę wody. Potem przespala osiemnaście godzin.

Kiedy się obudziła, rozpierała ją radość.

Oto znalazła się w nowym mieście w obcym kraju, mieście z „Targowiska próżności” i „Wielkich nadziei”. To było miasto Immie, ale stanie się miastem Jule, tak samo jak książki uwielbiane przez Immie stały się też częścią Jule.

Rozsunęła zasłony. Poniżej rozciągał się Londyn. Czerwone autobusy i czarne taksówki ślimaczyły się w gęstym ruchu

na ulicach. Budynki wyglądały na kilkusetletnie. Jule pomyślała o tych wszystkich ludziach, którzy tu kiedyś żyli, jeżdżąc po lewej stronie drogi, jedząc racuszki i popijając herbatę z mlekiem.

Jule pozbyła się wyrzutów sumienia i smutku, jakby zrzuciła skórę. Widziała samą siebie jako samotną mścicielkę, superbohaterkę w stanie spoczynku, szpiega. Była odważniejsza od wszystkich mieszkańców hotelu, odważniejsza niż cały Londyn, odważniejsza niż zwykli ludzie.

Latem na wyspie Immie powiedziała jej, że posiada własne mieszkanie w Londynie. „Klucze są tutaj. Możemy lecieć nawet jutro” – rzuciła wtedy, poklepując torebkę.

Jednak nigdy więcej o tym nie wspominała.

Teraz Jule wezwała gospodarza budynku, który zajmował się mieszkaniem, i poinformowała go, że Immie jest w mieście. Czy mógłby zorganizować sprzątanie i wietrzenie? Czy mógłby wezwać kogoś, by zrobił zakupy i wstawił do wazonów świeże kwiaty? Tak, wszystko dało się załatwić.

Kiedy mieszkanie na Saint John's Wood zostało przygotowane, klucz Immie gładko wszedł w zamek. Lokal składał się z sypialni i pokoju dziennego, a znajdował się na najwyższym piętrze białego budynku, z oknami z widokiem na drzewa. Nieopodal było dużo sklepów. W szafkach leżały miękkie ręczniki i pościel w cienkie paski. W łazience stała tylko wanna, nie prysznic. Lodówka okazała się malutka, a kuchnia słabo wyposażona. Immie umeblowała to mieszkanie zanim nauczyła się gotować. To jednak nie miało znaczenia.

Jule wiedziała, że latem po skończeniu szkoły średniej Imogen zdecydowała się na kurs właśnie w Londynie. W czasie pobytu tutaj kupiła mieszkanie zgodnie z sugestią swojego doradcy finansowego. Formalności zostały szybko załatwione, a Immie z przyjaciółmi udała się na Portobello Road, by kupić antyki, a potem do Harrods po tekstylia. Drzwi frontowe oblepiła zdjęciami z tamtego lata – było ich łącznie około pięćdziesięciu. Na większości znajdowała się ona w towarzystwie kolegów i koleżanek, a w tle tak kultowe miejsca jak londyński Tower i Muzeum Figur Woskowych Madame Tussauds.

Jule zostawiła swoje rzeczy w mieszkaniu, a potem zdjęła wszystkie fotografie. Wrzuciła je do worka na śmieci i zaniósła do piwnicy.

W kolejnych tygodniach Jule kupiła nowy laptop, a dwa stare oddała do spalarni. Chodziła do muzeów i restauracji, jadła steki w cichych knajpach i burgery w głośnych pubach. Była urzekająco miła dla kelnerów. Gawędziła z księgarzami i przedstawiała się jako Immie. Rozmawiała z turystami – tymczasowymi ludźmi – a czasami szła z nimi na obiad albo dołączała do nich w teatrze. Czuła się tak, jak jej zdaniem czułaby się Immie: wszędzie mile widziana. Ćwiczyła każdego dnia i jadła tylko to, na co miała ochotę. Poza tym żyła życiem Imogen.

Na początku trzeciego tygodnia pobytu w Londynie udała się do Muzeum Figur Woskowych. Miejsce to było bardzo popularne wśród turystów, pełne aktorów Bollywoodu, członków rodziny królewskiej, przyszczatych gwiazd boybandów. W środku znalazła tłum rozwrzeszczanych amerykańskich dzieci i ich zirytowanych rodziców.

Jule patrzyła na woskową figurę Charlesa Dickensa, który siedział ponury na drewnianym krześle, kiedy ktoś się do niej odezwał.

– Gdyby żył w dzisiejszych czasach – powiedział Paolo Vallarta-Bellstone – zgoliłby te rzadkie włosy.

– Gdyby żył w dzisiejszych czasach – odparła Jule – zostałby scenarzystą telewizyjnym.

– Pamiętasz mnie? – zapytał. – Jestem Paolo. Poznaliśmy się latem na Martha's Vineyard. – Miał wstydlivy uśmiech. Miał na sobie powycierane džinsy, pomarańczowy podkoszulek i podniszczone vansy. Jule pamiętała, że podróżował. – Zmieniłaś fryzurę – dodał. – Z początku nie byłem pewien, czy to ty.

Dobrze wyglądał. Jule już zdążyła zapomnieć, jak dobrze. Raz się z nim całowała. Jego gęste ciemne włosy ciągle opadały mu na twarz. Policzki miał nieco poparzone słońcem, a usta trochę spieczone. Może jeździł na nartach.

– Pamiętam cię – powiedziała. – Nie potrafisz wybrać między karmelem a krówką, robi ci się niedobrze na karuzelach, a któregoś dnia może zostaniesz lekarzem. Naprawdę grasz w golfa, co jest nudne, ale podróżujesz też po świecie, co jest ciekawe. Śledzisz dziewczyny w muzeach i zakradasz się do nich,

gdy zatrzymują się, by podziwiać figury woskowe słynnych pisarzy.

– Podziękuję, chociaż wyzłośliwiłaś się na temat golfa – odparł Paolo. – Cieszę się, że mnie pamiętasz. Czytałaś coś Dickensa? Ja niby miałem go w lekturach, ale olałem.

– No.

– A co lubisz najbardziej?

– „Wielkie nadzieje”.

– A o czym to jest? – Paolo w ogóle nie patrzył na figury. Wpatrywał się intensywnie w Jule. Wyciągnął rękę i przejechał palcami po jej ramieniu, słuchając odpowiedzi. To był bardzo odważny ruch, dotknąć ją w ten sposób, dosłownie chwilę po ponownym przedstawieniu się. Zazwyczaj nie pozwalała ludziom na kontakt fizyczny, lecz dotyk Paolo nie przeszkadzał jej. Był bardzo delikatny.

– Chłopiec zakochuje się w bogatej dziewczynie – wyjaśniła mu. – Nazywa się Estella. I tę Estellę całe życie uczono, jak łamać chłopakom serca, a sama może nawet tego serca nie ma. Wychowała ją wariatka, którą mężczyzna porzucił przed ołtarzem.

– I ta Estella łamie chłopcu serce?

– Wielokrotnie. Celowo. Estella nie potrafi inaczej. Łamanie serce to jedyne, co daje jej władzę. – Odeszli od Dickensa do innej sekcji muzeum. – Przyszedłeś tutaj sam? – zapytała Jule.

– Z przyjacielem ojca. Od kilku dni nocuję u niego. Chce mi pokazać miasto, tylko że ciągle musi odpoczywać. Artie Thatcher, znasz go?

– Nie.

– Ma rwę kulszową. Poszedł posiedzieć w kawiarni.

– A ty skąd się wzięłaś w Londynie?

– Podróżowałem po Hiszpanii, Portugalii, Francji, Niemczech, Holandii, a potem wróciłem do Francji. Teraz przyszedł czas na Wielką Brytanię. Towarzyszył mi kolega, ale pojechał do domu na święta. Sam nie miałem na to ochoty, więc zatrzymałem się u Artiego. A ty?

– Mam tutaj mieszkanie.

Paolo przysunął się i pokazał palcem ciemny korytarz.

– Hej, tam jest Izba Horroru. Pójdiesz ze mną? Potrzebuję

ochrony.

– Ochrony przed czym?

– Przed strasznymi figurami woskowymi – wyjaśnił Paolo. – Zrobili tam więzienie z uciekinierami. Sprawdzalem. Dużo krwi i flaków.

– I chcesz tam iść?

– Uwielbiam krew i flaki. Ale nie w pojedynkę. – Uśmiechnął się.

– Pójdiesz ze mną, by chronić mnie przed szalonymi więźniami, Imogen? – Stanęli przed drzwiami do Izby Horrorów.

– Pewnie – odparła Jule. – Ochronię cię.

Nie było żadnych trzech chłopaków na Stanford.

W ogóle nie było chłopaków. Ani nawet chłopaka.

Jule nie potrzebowała faceta, nie była nawet pewna, czy lubi facetów, nie była pewna, czy kogokolwiek lubi.

Umówiła się z Paolo na ósmą wieczorem. Umyła zęby trzy razy i dwa razy się przebierała. Spryskała się jaśminowymi perfumami.

Kiedy zobaczyła go, jak czekał na nią przy karuzeli, gdzie mieli się spotkać, omal nie odwróciła się i nie odeszła. Paolo przyglądał się jakiemuś ulicznemu artyście. Miał szyję ciasno oplecioną szalikiem, by chronił go przed styczniowym wiatrem.

Jule powtarzała sobie, że nie może za bardzo zbliżać się do ludzi. Nikt nie był wart ryzyka, jakie niosłaby ze sobą taka więź. Powinna natychmiast odejść i już miała się odwrócić, kiedy Paolo zauważył ją i podbiegł szybko, jak dzieciak, zatrzymując się dosłownie w ostatniej chwili. Złapał ją za nadgarstki i obrócił, mówiąc:

– Rany, jest jak w filmie. Niewiarygodne, że jesteśmy w Londynie. Wszystko, co znamy, znajduje się po drugiej stronie oceanu.

Miał rację. Wszystko było po drugiej stronie oceanu.

Wieczór zapowiadał się dobrze.

Paolo zabrał Jule na spacer na brzegiem Tamizy. Artyści grali na akordeonach i chodzili na szczydłach. Potem wpadli we dwójkę na chwilę do księgarni, następnie Jule kupiła im watę cukrową. Wkładając słodkie różowe obłoczki do ust, szli po Westminster Bridge.

Paolo chwycił Jule za rękę, a ona nie protestowała. Od czasu do czasu głaskał jej nadgarstek kciukiem, wzbudzając w niej tym ciepłe dreszcze. Zdziwiła się, że jego dotyk działał na nią tak kojąco.

Westminster Bridge składał się z kolejnych szarzielonych kamiennych łuków nad rzeką. Światło lamp padało

na powierzchnię wody.

– Najgorszy w Izbie Horrorów był Kuba Rozpruwacz – oznajmił Paolo. – Chcesz wiedzieć dlaczego?

– Dlaczego?

– Po pierwsze dlatego, że nigdy go nie złapano. Po drugie jest taka plotka, że zabił się, skacząc z tego właśnie mostu.

– Serio?

– Serio. Założę się, że stał właśnie tutaj. Czytałem o tym w Internecie.

– To wierutna bzdura – stwierdziła Jule. – Nikt nie wiedział, kim był Kuba Rozpruwacz.

– Masz rację – przyznał Paolo. – To bzdura.

I wtedy ją pocałował, w świetle lampy. Jakby byli bohaterami filmu. Mokre kamienie błyszcząły we mgle. Płaszczki łopotwały na wietrze. Jule zadrżała z zimna, a Paolo położył ciepłą dłoń na jej karku.

Całował ją, jakby nie potrafił wyobrazić sobie lepszej chwili gdziekolwiek na całej planecie, bo ta była tak miła, tak wyjątkowa. Jakby wiedział, że Jule nie pozwala innym ją dotykać, i wiedział, że akurat jemu na to pozwoli, a to czyniło go najszczęśliwszym facetem na świecie. Jule czuła, jakby Tamiza płynęła jej w żyłach.

Chciała być przy nim sobą.

Zastanawiała się, czy była sobą. Czy mogła w dalszym ciągu być sobą.

I czy ktokolwiek mógł pokochać kogoś takiego jak ona.

Odsunęli się od siebie i przez chwilę szli w milczeniu. Zbliżała się do nich grupka pijanych kobiet, które stąpały niepewnie na szpilkach.

– Nie mogę uwierzyć, że kazali nam wyjść – narzekała jedna z nich, bełkocząc.

– Przecież zostawiłyśmy tyle pieniędzy tym frajerom – dodała kolejna. Ich akcenty wskazywały na pochodzenie z Yorkshire.

– Ooo, jaki słodziak – rzuciła pierwsza, spoglądając na Paolo z odległości trzech metrów.

– Myślisz, że będzie chciał iść na drinka?

– Ha! Cwaniara.

– No nie wiem. Zapytaj go.



Jedna z kobiet zawołała:

– Jeśli chcesz się dzisiaj zabawić, miły panie, zapraszamy!

Paolo się zarumienił.

– Słucham?

– Idziesz? – zapytała. – Ale tylko ty.

Paolo pokręcił głową. Kobiety odeszły, chichocząc, a ona obserwował je, dopóki nie zniknęły za mostem. Potem znowu chwycił dłoń Jule.

Jednak atmosfera się zmieniła. Nie wiedzieli już, co powiedzieć.

Wreszcie odezwał się Paolo:

– Znasz Brooke Lannon?

Że co?

Brooke to przyjaciółka Imogen. Co Paolo miał z nią wspólnego?

– Znam, z college'u. Dlaczego pytasz? – odparła Jule fałszywie lekkim tonem.

– Brooke zmarła jakiś tydzień temu. – Paolo spuścił wzrok.

– Jaka szkoda.

– Nie chciałem, żebyś się dowiedziała ode mnie. Dopiero teraz zrozumiałem, że ją znałaś – wyjaśnił Paolo. – A potem jakoś mi się wymysknęło.

– Skąd znałaś Brooke?

– Właściwie to nie znałem. Przyjaźniła się z moją siostrą po tym, jak poznały się na obozie letnim.

– Co się stało? – Jule rozpaczliwie pragnęła usłyszeć jego odpowiedź, lecz z wysiłkiem uspokoiła głos.

– Wypadek. Pojechała do parku na północ od San Francisco. Odwiedzała w mieście przyjaciół, z którymi chodziła do college'u, ale byli zajęci czy coś, więc poszła w góry. W ciągu dnia, ale już robiło się późno i ciemno. Nikogo więcej nie było wtedy w okolicy. A ona po prostu spadła z kładki do wąwozu.

– Spadła?

– Podobno piła alkohol. Uderzyła się w głowę i znaleźli ją dopiero dzisiaj rano. No, zwierzęta znalazły ją wcześniej. Ciało było mocno okaleczone.

Jule zadrżała. Pomyślała o Brooke Lannon i jej głośnym śmiechu. Brooke, która piła za dużo. Brooke o perwersyjnym poczuciu humoru, z błyszczącymi złotymi włosami i ciałem foki.

Brooke i jej upór głupiej, rozpieszczonej, małostkowej dziewczuchy.

– Skąd wiadomo, co się stało?

– Wypadła za barierkę. Może wychyliła się, żeby coś zobaczyć. Znaleźli jej samochód na parkingu, z pustą butelką po wódce w środku.

– Popełniła samobójstwo?

– Nie, nie. To tylko nieszczęśliwy wypadek. Puszczali to dzisiaj w wiadomościach, jako ostrzeżenie. Wiesz, coś o tym, żeby zawsze zabierać kogoś ze sobą, gdy się idzie obcować z naturą. Nie pić wódki, przechodząc nad wąwozem. Jej rodzina zaczęła się martwić, gdy Brooke nie przyjechała na Wigilię, ale policja założyła, że dziewczyna celowo się z nimi nie kontaktowała.

Jule poczuła się dziwnie. Nie myślała o Brooke od czasu przyjazdu do Londynu. Powinna była poszukać wieści w Internecie, ale nie zrobiła tego. Zupełnie wyrzuciła ją z głowy.

– Jesteś pewien, że to był wypadek?

– Tragiczny, ale wypadek – powiedział Paolo. – Bardzo mi przykro.

Szli przez chwilę w kłopotliwej ciszy.

Paolo naciągnął czapkę na uszy.

Za moment Jule wyciągnęła rękę i chwyciła jego dłoń. Chciała go dotknąć. Przyznanie się do tego przed samą sobą i zrobienie stanowiło dla niej akt większej odwagi niż jakakolwiek dotychczasowa walka.

– Nie myślmy o tym – powiedziała. – Jesteśmy po drugiej stronie oceanu i bądźmy szczęśliwi.

Pozwoliła odprowadzić się do domu i pocałować jeszcze raz przed wejściem do budynku. Przytulili się na schodach, żeby się ogrzać, gdy płatki śniegu tańczyły na wietrze.

Rankiem następnego dnia Paolo pojawił się w jej mieszkaniu z płócienną torbą na zakupy. Jule miała na sobie spodnie od pizamy i krótką halkę na ramiączkach, więc kazała mu czekać pod drzwiami, dopóki się nie ubierze.

– Znajomi użyczyli mi swojego domu w Dorset – oznajmił, idąc za Jule do kuchni. – Wynająłem też samochód. A wszystko, czego moglibyśmy potrzebować w ten weekend, znajduje się w tej torbie.

Jule zajrzała do środka: cztery batony Crunchie, ziemniaczane chrupki Hula Hoops, żelki Swedish Fish, dwie butelki wody sodowej i torebka chipsów z solą i octem.

– Nie masz tutaj żadnych ubrań. Ani szczoteczki do zębów.

– To są rzeczy dla amatorów.

Roześmiała się.

– Fúj.

– No dobra, mam też w samochodzie plecak. Ale to są najważniejsze przedmioty – wyjaśnił Paolo. – Możemy po drodze obejrzeć Stonehenge. Byłaś już tam?

– Nie.

Jule faktycznie chciała zobaczyć Stonehenge, o którym czytała w powieści Toma Hardy’ego, kupionej w San Francisco, ale ona chciała zobaczyć wszystko. Właśnie tak się czuła. Chciała obejrzeć wszystko, czego nie widziała jeszcze w Londynie, w całej Anglii, na całym wielkim świecie, i czuć się wolną, silną, uprzywilejowaną, doświadczyć i zrozumieć każdą jedną rzecz.

– Będziemy obcować z wielką tajemnicą, więc będzie super – powiedział Paolo. – A potem pojedziemy do domu, pójdziemy na spacer i popatrzymy na pasące się owce. Albo zrobimy im zdjęcia. Może je pogłaszczemy. Czy co tam robią ludzie na wsi.

– Zapraszasz mnie?

– Tak! Będziemy mieli oddzielne sypialnie. Gdybyś chciała.

Przysiadł na krawędzi kuchennego krzesła, jakby nie wiedział,

czy jest mile widziany. I czy przypadkiem nie przesadził.

– Wydajesz się zestresowany – rzuciła, grając na czas.

Chciała się zgodzić. Wiedziała, że tego nie zrobi.

– Tak, jestem bardzo zestresowany.

– Dlaczego?

Paolo zastanowił się.

– Stawka jest wysoka. Twoja odpowiedź się dla mnie liczy. – Podniósł się powoli i pocałował ją w szyję. Przytuliła się do niego, a on trochę się trząśł. Musnęła ustami płatek jego ucha, a potem usta, stając na palcach.

– Czy to oznacza zgodę? – szepnął.

Jule wiedziała, że nie powinna.

To był najgorszy z możliwych pomysłów. Już dawno postanowiła, że ta ścieżka życia jest dla niej zamknięta. Miłość to coś, co się poświęca, stając się tym kimś, kim ona się stała. Kimś wielkim. Kimś niebezpiecznym. Podjęła ryzyko i stworzyła siebie na nowo.

Teraz w jej kuchni stał ten chłopak i drżał przy pocałunku, z torbą pełną słodyczy i słonych przekąsek. Gadał głupoty o owcach.

Jule podeszła do zlewu i umyła ręce. Czuła się, jakby wszechświat oferował jej coś pięknego i wyjątkowego. I że drugi raz nie dostanie takiej szansy.

Paolo zbliżył się do niej i położył jej dłoń na ramieniu, bardzo delikatnie, jakby prosił o pozwolenie. I jakby zachwycony, że pozwoliła mu na dotyk.

Wtedy Jule odwróciła się i powiedziała tak.

Stonehenge okazał się zamknięty.

Padał deszcz.

Nie dało się podejść do głazów, o ile nie kupiło się z wyprzedzeniem biletów. Jule i Paolo widzieli je z oddali, kiedy podjeżdżali na miejsce, lecz z centrum turystycznego nic a nic.

– Obiecałem ci wielką tajemnicę, a siedzimy na parkingu – powiedział Paolo, pół żartem pół ze smutkiem, kiedy wracali do samochodu. – Powinienem był to sprawdzić wcześniej.

– Nic nie szkodzi.

– Umiem korzystać z Internetu, serio.

– Och, nic się nie martw. I tak bardziej jarają mnie owce.

Uśmiechnął się.

– Naprawdę?

– Pewnie. Możesz mi zagwarantować owce?

– Mówisz poważnie? Bo ja naprawdę nie wiem, czy mogę ci je zagwarantować, a nie chciałbym cię znowu rozczarować.

– Nie, w ogóle mnie nie obchodzą.

Paolo pokręcił głową.

– Powinienem był to przewidzieć. Owce to nie Stonehenge. Musimy to sobie wprost powiedzieć. Nawet najlepsze owce nie mogą się równać Stonehenge.

– Zjedzmy żelki – odparła Jule, żeby podnieść go na duchu.

– Doskonały pomysł – przyznał Paolo.

Dom w ogóle nie był domem. To była willa z dziewiętnastego wieku. Miała przestronne podwórze i wielką bramę. Paolo znał kod do bramy. Wbił go i wjechał na długi, kręty podjazd.

Ściany były ceglane i porośnięte bluszczem. Z jednej strony budynku znajdował się opadający w dół ogród różany i kamienne ławki, a na końcu okrągła altana nad brzegiem strumienia.

Paolo zaczął szukać czegoś w kieszeniach.

– Miałem tu gdzieś klucze.

Teraz rozpadało się już na dobre. Stali w progu, trzymając w rękach torby.

– Cholera, gdzie one się podziały? – Paolo poklepał kurtkę, spodnie, potem znowu kurtkę. – Klucze, klucze. – Zajrzał do płóciennej torby. Zajrzał do plecaka. Wybiegł i zajrzał do samochodu.

Usiadł przed drzwiami, żeby schować się przed deszczem, i wyciągnął całą zawartość kieszeni. Potem całą zawartość torby. Na koniec całą zawartość plecaka.

– Nie masz kluczy – powiedziała Jule.

– Nie mam kluczy.

Był oszustem, cwaniakiem. Tylko podawał się za Paolo Vallartę-Bellstone'a. Jaki dowód widziała Jule? Żadnego dokumentu, żadnych zdjęć w Internecie. Wiedziała tylko tyle, co jej sam powiedział, znała tylko jego maniery i jego wiedzę o rodzinie Imogen.

– Przyjażnisz się z tymi ludźmi? – zapytała, fałszywie lekkim tonem.

– To dom rodziny mojego kolegi, Nigela. Latem byłem jego gościem, a teraz nikt nie korzysta z domu, a poza tym... znałem kod do bramy, nie?

– Ja wcale w ciebie nie wątpię – skłamała.

– Możemy obejść dom i sprawdzić, czy nie zostawili otwartych

drzwi od kuchni. Tam jest ogród kuchenny z... Z czasów, kiedy zakładało się ogrody kuchenne – oznajmił Paolo. – Myślę, że oficjalny termin to „stare, dobre czasy”.

Wciągnęli kurtki na głowy i przebiegli w deszczu, skacząc po kałużach i śmiejąc się.

Paolo sprawdził drzwi i okazały się zamknięte. Zajrzał pod kamienie i w różne miejsca, szukając kluczy, podczas gdy Jule kuliała się pod parasolem.

Wyciągnęła telefon i wpisała jego nazwisko, szukając zdjęć.

Uff. Zdecydowanie przyjechała tu z Paolo Vallartą-Bellstone'em. Widziała zdjęcia zrobione na zbiórce charytatywnej, gdzie stał obok swoich rodziców, bez krawata na wydarzeniu, które wymagało od mężczyzn założenia krawatów. Oprócz tego jakieś fotki z boiska do piłki nożnej, z kolegami. Zdjęcie z uroczystego zakończenia szkoły, gdzie miał aparat na zębach i źle obcięte włosy, a opublikowała je babcia, która blogowała całe trzy razy.

Jule cieszyła się, że Paolo okazał się Paolo, a nie jakimś oszustem. Podobało jej się, że był takim dobrym człowiekiem. Lepiej, że okazał się prawdziwy, bo mogła w niego uwierzyć. Jednak było w nim tak wiele rzeczy, których nigdy nie zrozumie. Tak wiele historii nigdy jej nie opowie.

Paolo zarzucił szukanie kluczy. Miał mokre włosy.

– Okna są pod alarmem – powiedział. – Chyba nic już nie zdziałamy.

– Co teraz?

– Chodźmy do altanki i pocałujmy się – odparł.

Deszcz nie odpuszczał.

Jechali w mokrych ciuchach w stronę Londynu i zatrzymali się w pubie, żeby zjeść coś smażonego.

Paolo zaparkował pod budynkiem Jule. Nie pocałował jej, za to chwycił ją za rękę.

– Podobasz mi się – zaczął. – Chyba już się domyśliłaś, ale uznałem, że powinienem to powiedzieć wprost.

Jule czuła to samo. Podobała się jej też ona sama z nim.

Ale tak naprawdę nie była sobą przy nim. Nie wiedziała, co dokładnie, a może kto dokładnie urzekł Paolo.

Może Immie. Może Jule.

Nie miała pewności, gdzie znajdowała się granica między nimi. Jule pachniała jaśminem jak Imogen, Jule mówiła jak Imogen, Jule uwielbiała te same książki, co Imogen. To była prawda. Jule była sierotą, podobnie jak Immie, osobą, która wykreowała samą siebie, oraz kimś o tajemniczej przeszłości. Wiele z Imogen znajdowało się też w Jule, a wiele z Jule znajdowało się w Imogen.

Jednak Paolo myślał, że jej rodzicami są Patti i Gil. Myślał, że uczęszczała do college'u z biedną martwą Brooke Lannon. Myślał, że jest Żydówką i bogaczką, która posiadała własne mieszkanie w Londynie. Te kłamstwa składały się na to, co mu się w niej podobało. Nie mogła powiedzieć mu prawdy, a nawet gdyby to zrobiła, znienawidziłby ją do końca życia.

– Nie mogę się z tobą spotykać – oznajmiła.

– Słucham?

– Nie mogę się z tobą spotykać. Ani tak jak dzisiaj, ani w ogóle.

– Dlaczego nie?

– Po prostu nie mogę.

– Masz kogoś? Widujesz się z kimś innym? Mógłbym wziąć numerki albo stanąć w kolejce czy coś.

– Nie. Tak. Nie.



– Czyli jak? Nie dasz się przekonać?  
– Nie mogę z tobą być. – Mogłaby mu powiedzieć, że już kogoś ma, ale nie chciała go więcej okłamywać.

– Dlaczego nie?

Otworzyła drzwi samochodu.

– Bo nie mam serca.

– Czekał.

– Nie.

– Proszę, poczekaj.

– Muszę iść.

– Źle się dzisiaj bawiłaś? To znaczy, wiesz, poza tym, że padało, że nie zobaczyliśmy Stonehenge, że nie weszliśmy do domu i nie pogłaskaliśmy owiec? Poza tym, że ten dzień był jedną wielką katastrofą?

Jule chciała zostać w samochodzie. Dotknąć jego ust opuszkami palców i rozluźnić się w skórze Immie, pozwalając, by kłamstwa układały się jedno na drugie.

Niestety nie mogła tego zrobić.

– Odpieprz się ode mnie, Paolo – warknęła. Pchnęła drzwi i wyszła na ulewę.

Minęło kilka tygodni. Jule cały czas wyskubywała brwi na cienkie kreski. Kupowała coraz więcej ubrań, pięknych i kosztownych. Zbierała w mieszkaniu kolejne książki kucharskie, choć wiedziała, że nigdy z nich nie skorzysta. Chodziła na balet, do opery, do teatru. Zwiedzała wszystkie historyczne budowle, muzea i kultowe miejsca. Kupowała antyki na Portobello Road.

Pewnej późnej nocy w mieszkaniu pojawił się Forrest. Miał być w tym czasie w Ameryce.

Jule wyjrzała przez judasza i ledwo udało jej się zdusić rosnącą panikę. Miała ochotę otworzyć okno i wspiać się po rynnie na dach, skoczyć na sąsiedni budynek i, szczerze mówiąc, po prostu zniknąć z mieszkania. Chciała zmienić brwi i włosy, i makijaż, i...

Nacisnął dzwonek jeszcze raz. Jule postanowiła, że po prostu zdejmie pierścionki i założy legginsy oraz podkoszulek zamiast długiej sukienki, którą miała na sobie. Stała przed drzwiami i powtórzyła sobie w duchu, że od początku spodziewała się odwiedzin Forresta. W końcu to było mieszkanie Immie. Miała przygotowaną strategię. Poradzi sobie. Otworzyła drzwi.

– Forrest, co za niespodzianka.

– Cześć, Jule.

– Wyglądasz na zmęczonego. Wszystko w porządku? Wejdz.

Trzymał w ręku torbę weekendową. Zabrała ją od niego i wniosła do mieszkania.

– Dopiero co wysiadłem z samolotu – oznajmił Forrest, pocierając szczękę i mrużąc oczy pod szklami okularów.

– Przyjechałeś taksówką z Heathrow?

– Tak. – Popatrzył na nią chłodno. – Co ty tu robisz?

W mieszkaniu Imogen?

– Zatrzymałam się na jakiś czas. Dała mi swoje klucze.

– Gdzie ona jest? Chcę się z nią zobaczyć.

– Nie wróciła zeszłej nocy. Jak udało ci się namierzyć jej mieszkanie?

– Pani Sokoloff podała mi adres. – Zawstydzony Forrest spuścił wzrok. – To był długi lot. Mogę prosić o szklanę wody?

Jule zaprowadziła go do kuchni. Podała mu wodę z kranu, bez lodu. Miała cytryny w misce stojącej na blacie, ponieważ pasowały do wystroju wnętrza, ale w szafkach i lodówce nie było nic, co kupiłaby Imogen. Jule jadła słone krakersy i słodzone masło orzechowe, krojone salami w paczkach i batoniki czekoladowe. Miała nadzieję, że Forrest nie poprosi o coś do jedzenia.

– Gdzie jest Immie? – zapytał.

– Mówiłam ci już, że nie ma jej tutaj.

– Ale Jule. – Chwycił ją za ramię i przez chwilę się go bała, bała się dotyku jego twardych dłoni na materiale koszulki, chociaż on sam był chudy i słaby. – Nie pytam, gdzie jej nie ma. Pytam, gdzie jest – powiedział bardzo powoli. Nienawidziła bliskości jego ciała.

– Nie dotykaj mnie – warknęła. – Nigdy. Rozumiesz?

Opuścił rękę i poszedł do pokoju dziennego, gdzie bez pytania rozwalił się na kanapie.

– Po prostu uważam, że wiesz, gdzie ona jest. To wszystko.

– Pewnie pojechała na weekend do Paryża. Możesz się tam dostać bardzo szybko przez Eurotunel.

– Do Paryża?

– Zgaduję.

– Kazała ci nie mówić mi, gdzie pojechała?

– Nie. Nie miałyśmy pojęcia o twoim przyjeździe.

– Muszę się z nią zobaczyć. Pisałem do niej, ale chyba mnie zablokowała.

– Kupiła sobie drugi telefon, z brytyjskim numerem.

– Nie odpowiada też na żadne moje maile. Dlatego tutaj przyjechałem. Miałem nadzieję, że z nią porozmawiam.

Jule zaparzyła mu herbaty, podczas gdy Forrest wziął się za obdzwanianie hoteli. Wykonał ze dwanaście telefonów, zanim znalazł wolny pokój na kilka dni.

Był na tyle arogancki, by założyć, że Imogen pozwoli mu zatrzymać się u niej.

 POŁOWA GRUDNIA 2016  
 SAN FRANCISCO W KALIFORNII

Dwa dni przed jej pojawieniem się w Londynie, Jule wspinała się na wzgórze San Francisco z ciężką figurką lwa w plecaku.

Uwielbiała San Francisco. Wyglądało tak, jak opisywała je Immie, pełne uroczych pagórków, ale jednocześnie drogie i eleganckie. Jule udała się do Muzeum Sztuki Azjatyckiej na wystawę ceramiki. Poleciała ją właścicielka wynajmowanego przez nią mieszkania.

Maddie Chung, bo tak się nazywała, była szczupłą pięćdziesięcioletnią lesbijką. Nosila dzinsy, paliła na ganku i prowadziła małą księgarnię. Jule płaciła w gotówce za każdy tydzień mieszkania, które znajdowało się na najwyższym piętrze domu z epoki wiktoriańskiej. Maddie i jej żona zajmowały dwie niższe kondygnacje. Ciągle opowiadała Jule o historii sztuki i wystawach. Była bardzo miła i wydawała się dostrzegać w Jule kogoś, kto potrzebuje pomocy.

Dzisiaj, kiedy Jule wróciła do domu, znalazła na schodach Brooke Lannon, przyjaciółkę Immie z college'u.

– Przyjechałam wcześniej – oznajmiła Brooke. – Nieważne.

Kabriolet Brooke stał przez całą noc przed budynkiem. Musiała iść go odebrać, ale Jule napisała do niej, by została i porozmawiała z nią.

Brooke miała masywne uda, kwadratową szczękę i gładkie blond włosy, które zawsze wyglądały tak samo. Błada skóra i szminka w cielistym kolorze. Styl sportowy. Wychowywała się w La Jolla. Piła za dużo alkoholu, w szkole średniej grała w hokeja na trawie i miała wielu chłopaków, a nawet jedną dziewczynę, lecz nigdy nie

zaznała miłości. Tego wszystkiego Jule dowiedziała się o niej w trakcie pobytu na Martha's Vineyard.

Teraz Brooke wstała i omal się nie przewróciła.

– Wszystko okej? – zapytała Jule.

– Nie bardzo.

– Piłaś?

– Tak. A co?

Zapadała noc.

– Przejedźmy się – zaproponowała Jule. – Pogadamy.

– Wycieczka?

– Będzie miło. Masz taki uroczy samochód. Daj mi kluczyki. – Samochód należał do tego rodzaju aut, które starsi mężczyźni kupują, żeby poczuć się atrakcyjnie. Dwa siedzenia miały obicia w kolorze wielbłądziej skóry, karoseria była zaokrąglona i jasnozielona. Jule przyszło do głowy, że może kabriolet należał do ojca Brooke. – Nie mogę pozwolić, żebyś prowadziła w tym stanie.

– A co ty, policjantka jesteś?

– Skądże.

– Szpieg?

– Brooke.

– Poważnie pytam.

– Nie mogę odpowiedzieć.

– Ha. Właśnie to powiedziałyby szpieg.

Nie miało już znaczenia, co Jule powie albo czego nie powie Brooke.

– Pojedźmy w góry – oznajmiła Jule. – Znam fajne miejsce w parku stanowym. Możemy przejechać przez Golden Gate Bridge i zwariujesz na punkcie tego widoku.

Brooke zagrzechotała kluczykami schowanymi w kieszeni.

– Robi się późno.

– Posłuchaj, doszło między nami do pewnego nieporozumienia w kwestii Immie i cieszę się, że już odpuściłaś. Jedźmy do jakiegoś neutralnego miejsca i pogadajmy. Moje mieszkanie to nie najlepszy wybór.

– Nie wiem, czy chcę z tobą rozmawiać.

– Przyjechałaś wcześniej – powiedziała Jule. – Na pewno chcesz

ze mną pogadać.

– Dobra, pogadamy, połazimy i w ogóle – zgodziła się Brooke. –  
Immie się ucieszy. – Podała Jule kluczyki.

Ludzie po alkoholu robią się strasznie głupi.

Dwa dni przed świętami Bożego Narodzenia było zbyt zimno na podróż kabrioletem, ale i tak miały spuszczone dach. Brooke nalegała. Jule założyła dzinsy, ciężkie buty i ciepły wełniany sweter. Jej plecak leżał w bagażniku, a w nim portfel, drugi sweter i czysty podkoszulek, butelka z wodą, paczka nawilżanych chusteczek, czarny worek na śmieci i figurka lwa.

Brooke wyciągnęła z torby na wpeł opróżnioną butelkę wódki, ale właściwie nie piła już z niej. Niemal od razu zasnęła.

Jule jechała przez miasto. Zanim dotarły do Golden Gate Bridge, zrobiła się niespokojna. Cicha podróż działała jej na nerwy. Trąciła łokciem Brooke, żeby ją obudzić.

– Most – powiedziała. – Popatrz. – Górował nad nimi, pomarańczowy i majestatyczny.

– Ludzie uwielbiają się zabijać na tym moście – rzuciła Brooke.

– Słucham?

– To drugi najpopularniejszy most samobójców na świecie – wyjaśniła Brooke. – Czytałam o tym gdzieś.

– A jaki jest pierwszy?

– Ten nad rzeką Jangcy. Zapomniałam, jak się nazywa. Interesuję się trochę takimi rzeczami – wyjaśniła Brooke. – Ludzie uważają, że takie samobójstwo jest poetyckie. Dlatego to robią. No bo weźmy takie podcięcie żył w wannie. Masakra. Nie wiadomo, co na siebie założyć.

– Nic nie zakładasz.

– A skąd wiesz?

– Po prostu wiem. – Jule żałowała, że poruszyła z Brooke ten temat.

– Nie chcę, żeby ludzie patrzyli na moją gołą dupę, kiedy umrę! – wrzasnęła Brooke w powietrze pod Golden Gate Bridge. – Ale nie chcę też ubierać się do kąpieli! To strasznie głupie!

Jule zignorowała ją.

– Tak czy inaczej, teraz budują barierkę, żeby ludzie nie mogli skakać – ciągnęła dalej. – Tutaj, na tym moście.

Przekroczyły całkiem rzekę i skręciły w stronę parku.

Wreszcie Brooke znowu się odezwała:

– Nie powinnam była o tym wspominać. Nie chcę ci podsuwać żadnych pomysłów.

– Nie myślę o tym.

– Nie zabijaj się.

– Nie zamierzam.

– Mówię to jako twoja przyjaciółka, okej? Coś jest z tobą nie tak.

– Jule nie odpowiedziała. – Wychowałam się z zupełnie normalnymi, stabilnymi emocjonalnie ludźmi – ciągnęła dalej Brooke. – Cały długi dzień zachowywaliśmy się normalnie. Tak normalnie, że miałam ochotę wydrapać sobie oczy. Więc jestem ekspertem normalności. A ty? Ty nie jesteś normalna. Powinnaś się zastanowić nad pójściem do lekarza, serio.

– Twoim zdaniem normalne jest posiadanie zajebiście wielkich pieniędzy.

– Wcale nie. Vivian Abromowitz ma pełne stypendium w Vassar i jest zupełnie normalna, jędza.

– Myślisz, że normalne jest cały czas dostawać to, czego się zechce – powiedziała Jule. – By wszystko przychodziło łatwo. Tak nie jest. Większość ludzi *nigdy* nie dostaje tego, czego chce. Wszyscy im zamykają drzwi przed nosami. Cały czas muszą walczyć o przetrwanie. Nie żyją w magicznym świecie dwuosobowych samochodów, idealnych zębów, podróży do Włoch i futer.

– Właśnie udowodniłaś, że mam rację – oznajmiła Brooke.

– Niby jak?

– Mówienie takich rzeczy nie jest normalne. Wróciłaś do życia Immie po latach bez żadnego kontaktu i minęło raptem kilka dni, a ty już wprowadzasz się do jej domu, pożyczasz jej rzeczy, pływasz w jej przeklętym basenie i pozwalasz płacić za fryzjera. Studiowałaś na zasranym Stanfordzie i straciłaś stypendium, biedactwo, ale to nie znaczy, że możesz się wypowiadać w imieniu zwykłego człowieka. Nikt nie zamyka przed tobą drzwi, Jule. A poza tym nikt teraz nie nosi futer, halo, przecież to nieetyczne.



Może czyjaś babcia, nie wiem, ale nikt normalny. No i słowa nie powiedziałam o twoich zębach. Dżizas. Zluzuj porty i ogarnij się, jeśli chcesz mieć prawdziwych przyjaciół, a nie tylko ludzi, którzy tolerują twoją obecność.

Żadna nie odezwała się więcej aż do końca podróży.

Zaparkowały i Jule wyciągnęła z bagażnika swój plecak. Wyjęła z tylnej kieszeni dzinsów rękawiczki i założyła je.

– Zostawmy telefony w samochodzie – powiedziała.

Brooke przyglądała jej się przez dłuższą chwilę.

– Dobra, jak chcesz. Włączamy tryb zewu natury – odparła bełkotliwie. Zamknęły komórki w bagażniku, a Jule zabrała kluczyki. Przeczytały informacje na tablicy stojącej na brzegu parkingu. Na mapie oznaczono różnymi kolorami trasy piesze.

– Pójdźmy na punkt widokowy – oznajmiła Jule, pokazując na niebieską trasę. – Byłam już tam.

– Jak chcesz – rzuciła Brooke.

Była to liczący ponad sześć kilometrów szlak. W parku było niemal pusto ze względu na pogodę i okres przedświąteczny, ale kilka rodzin właśnie schodziło na parking, chcąc wrócić do domu przed końcem dnia. Zmęczone dzieci jęczały i trzeba je było nosić na rękach. Kiedy Brooke i Jule ruszyły pod górę, szlak opustoszał.

Jule poczuła, że serce bije jej coraz szybciej. Prowadziła.

– Ty się podkochujesz w Imogen – oznajmiła Brooke, przerywając milczenie. – Nie myśl sobie, że to cię czyni wyjątkową. Wszyscy się podkochują w Imogen.

– To moja najlepsza przyjaciółka. To nie znaczy, że się w niej podkochuję – odparła Jule.

– Ona nie jest dla nikogo najlepszą przyjaciółką. To łamaczka serc.

– Nie bądź złośliwa. Po prostu gniewasz się, że nie napisała do ciebie.

– Ależ napisała. Nie w tym rzecz – odparła Brooke. – Opowiem ci coś. Kiedy zakumplowałyśmy się z Immie na pierwszym roku, cały czas siedziała w moim pokoju w akademiku: rano przynosiła mi latte przed zajęciami; wyciągała mnie na salę kinową wydziału filmoznawstwa; ciągle pożyczła ode mnie kolczyki; przynosiła

mi krakersy Goldfisha, bo wiedziała, że je uwielbiam.

Jule milczała.

Immie wyciągała ją do kina. Immie kupowała jej czekoladę. Immie przynosiła jej kawę do łóżka, kiedy mieszkały razem.

Brooke ciągnęła dalej:

– Wpadała do mnie w każdy wtorek i czwartek, bo miałyśmy rano zajęcia z włoskiego. Na początku przychodziła tak wcześnie, że jeszcze spałam. Musiała czekać, aż się ubiorę. Moja współlokatorka narzekała, więc zaczęłam ustawiać sobie budzik. Wstawałam wcześniej i czekałam na Immie przed drzwiami. A potem, pewnego dnia, nie przyszła. Chyba był początek listopada. I wiesz co? Potem już nigdy nie przychodziła. Nie przynosiła mi latte, nie wyciągała mnie na filmy. Przerzuciła się na Vivian Abromowitz. I wiesz co? Mogłam się sfochać jak licealistka, Jule. Mogłam smarkać i użalać się nad sobą, bo nie można mieć dwóch najlepszych przyjaciółek naraz, chlip, chlip. Ale nie zrobiłam tego. Miło było spotykać się z nimi obiema. I przyjaźniłyśmy się we trzy. I było spoko.

– Okej.

Jule nie podobała się ta opowieść. Nie podobało jej się również to, że rozumiała już, co tak poróżniło Vivian i Brooke – sama Imogen.

Brooke ciągnęła dalej.

– Chodzi mi o to, że Imogen złamała też serce Vivian. Później. I Isaaca Tuppermana. Kręciła z tyłoma różnymi facetami, umawiając się z Isaakiem, a on, oczywiście, robił się zazdrosny i mało pewny siebie. Potem Immie była strasznie zdziwiona, kiedy z nią zerwał, ale czego ona się spodziewała, skoro kręciła z innymi kolesiami? Chciała sprawdzić, czy ludzie stracą dystans i zaczną mieć na jej punkcie obsesję. I wiesz co? Właśnie to zrobiłaś i to samo zrobiło wielu ludzi w college'u. Imogen to uwielbia, bo dzięki temu czuje się zajebista i seksowna, ale potem już nie zawraca sobie tobą głowy. Wtedy należy odpuścić. Dasz Imogen znak, że jesteś tak samo silna jak ona, a może nawet silniejsza. I szanuje cię, a potem możecie ciągnąć dalej znajomość.

Jule maszerowała w ciszy. Poznała właśnie inną wersję historii Isaaka Tuppermana, Isaaka z Bronxu, Coatesa i Morrison, wierszy

zostawianych na rowerze Imogen, możliwej ciąży. Czyżby Immie wcale nie patrzyła na niego z zachwytem? Zadurzyła się w nim, a potem poczuła się rozczarowana – ale dopiero wtedy, gdy z nią zerwał. Wydawało się niemożliwe, by to ona jego wystawiła.

Potem nagle stało się to możliwe. Zrozumiała, że Imogen – która czuła się płytka i gorsza w obliczu intelektu i męskości Tuppermana – dodała sobie siły i władzy, zdradzając go.

Cały czas szły z Brooke przez las. Słońce zaczynało zachodzić.

Na szklaku nie było nikogo oprócz nich.

– Jeśli chcesz być jak Immie, bądź jak ona, nic mi do tego – rzuciła Brooke. Dotarły na ścieżkę nad wąwozem. Prowadziła do drewnianych schodów, którymi wchodziło się na punkt widokowy na dolinę i otaczające ją wzgórza. – Ale nie jesteś Imogen, jasne?

– Wiem, że nią nie jestem.

– Nie byłabym taka pewna.

– To wszystko nie twoja sprawa.

– A może jednak moja. Może uważam, że jesteś nienormalna i najlepsze, co mogłabyś zrobić, to dać Immie spokój i zgłosić się do psychiatry.

– Powiedz mi jedno. Dlaczego tutaj przyszliśmy? – zapytała Jule. Stała na schodach nad Brooke.

Poniżej roztaczał się wąwóz.

Słońce prawie zniknęło za horyzontem.

– Pytałam, dlaczego tu przyszliśmy – powiedziała Jule lekkim tonem, zdejmując plecak z ramienia i otwierając go, jakby chciała wyjąć butelkę wody.

– Przegadamy to wszystko, tak mówiłaś. Chcę, żebyś przestała mieszać w życiu Immie, żyć na jej koszt, namawiać ją, by ignorowała przyjaciół, i w ogóle.

– Zapytałam, dlaczego tu przyszliśmy – rzuciła Jule, pochylona nad plecakiem.

Brooke wzruszyła ramionami.

– Konkretnie tutaj? W parku? Ty nas tu przywiozłaś.

– Właśnie.

Jule wyciągnęła torbę, w której znajdowała się figurka lwa z Muzeum Sztuki Azjatyckiej. Zamachnęła się raz, mocno, celując w czoło Brooke, które pękło z obrzydliwym trzaskiem.

Figurka pozostała cała.

Głowa Brooke poleciała do tyłu. Dziewczyna zatoczyła się na drewnianym chodniku.

Jule skoczyła do przodu i uderzyła jeszcze raz. Tym razem z boku. Z głowy Brooke wytrysnęła krew i obryzgała twarz Jule.

Brooke opadła na barierkę, ściskając dłońmi drewniane szczebelki.

Jule puściła figurkę i rzuciła się na Brooke, celując niżej. Chwyciła ją za kolana. Brooke próbowała ją strącić i trafiła Jule w ramię, wymachując rękami, żeby znowu złapać się barierki. Wyrzuciła nogę mocniej i tym razem przetrąciła Jule ramię, wypychając kość ze stawu.

Auć, bolało.

Jule na chwilę zamroczyło i musiała puścić Brooke. Jej lewe ramię stało się bezużyteczne, więc zablokowała prawą rękę, umieściła ją pod przedramionami Brooke i podniosła do góry, tym samym uniemożliwiając jej dalsze trzymanie się barierki. Następnie zgięła się w pół i znowu uderzyła nisko. Chwyciła rozpaczliwie szukające oparcia nogi Brooke, wepchnęła zdrowe ramię pod jej ciało, a potem wstała, podnosząc dziewczynę i przerzucając ją przez barierkę.

Wszystko zamarło.

Jedwabiste włosy Brooke załopotwały w powietrzu.

Usłyszała tępy trzask, kiedy ciało uderzyło w wierzchołki drzew, później kolejny, gdy wylądowało na dnie wąwozu.

Jule wychyliła się za barierkę. Roślinność skutecznie zasłoniła Brooke.

Rozejrzała się. Na szlaku wciąż nie było żywej duszy.

Zwichnięte ramię bolało tak, że Jule nie mogła zebrać myśli.

Nie wzięła pod uwagę, że może doznać urazu. Jeśli nie będzie w stanie ruszać ramieniem, wszystko przepadło, bo Brooke nie żyje, jej krew rozprysła się dokoła, a Jule musi się przebrać. Natychmiast.

Wysiłkiem woli uspokoiła oddech. Skupiła rozbiegany wzrok.

Złapała się za lewy nadgarstek, podniosła ramię, odsuwając je jednocześnie od ciała. Raz, drugi – Boże, jak to bolało – ale za trzecim razem się udało i kość wróciła na swoje miejsce.

Ból zniknął.

Jule widziała kiedyś gościa, który tak zrobił, na zajęciach ze sztuk walki. Wypytała go o tę technikę.

No dobra, do roboty. Popatrzyła na sweter, był spryskany krwią. Zdjęła go. Podkoszulka również okazała się poplamiona. Ściągnęła również i ją, a następnie czystym rogiem wytarła ręce i twarz. Zdjęła rękawiczki. Wyciągnęła z plecaka chusteczki nawilżane i umyła się – klatka piersiowa, ramiona, szyja, ręce – trzęsąc się na mroźnym zimowym powietrzu. Wrzuciła zakrwawione ubrania oraz chusteczki do worka, zawiązała mocno i wszystko razem schowała do plecaka.

Założyła czystą koszulkę i sweter.

Na torbie, w której znajdowała się figurka, również były ślady krwi.

Ściągnęła ją i wywinęła na lewą stronę, żeby plamy znalazły się w środku. Włożyła z powrotem figurkę do plecaka, a zakrwawioną torbę wepchnęła do butelki po wodzie, takiej z szerokim otworem.

Użyła chusteczek, żeby zetrzeć ślady krwi z chodnika, a potem wszystko wepchnęła do butelki.

Rozejrzała się.

Nadal nikogo.

Ostrożnie dotknęła ramienia. Wszystko w porządku. Jeszcze cztery razy przemyła twarz, uszy i włosy chusteczkami, załując, że nie wzięła ze sobą lusterka. Wyjrzała za barierkę, na wawóz.

Nie widziała Brooke.

Wróciła szlakiem na parking. Czuła, że mogłaby tak maszerować wieczność i nie zmęczyć się. Nie zobaczyła nikogo aż do wyjścia, minęło ją czterech kolesi ubranych na sportowo, z czapkami

Mikołajów i latarkami w dłoniach. Ruszali ścieżką oznaczoną kolorem żółtym.

Zatrzymała się na chwilę przy samochodzie.

Powinien pozostać w tym miejscu. Gdyby gdziekolwiek nim pojechała, wyglądałoby to podejrzanie, gdy ludzie znajdą ciało Brooke w wąwozie.

Ostrożnie wsiadła do auta. Wyciągnęła chusteczki i zaczęła wycierać hamulec ręczny, ale zaraz przestała.

Nie, nie. To było złe posunięcie. Dlaczego nie przemyślała wszystkiego wcześniej? Brak odcisków palców w samochodzie będzie również podejrzany. Odciski Brooke powinny się tu znajdować. Zupełnie czysty hamulec będzie wyglądał dziwnie.

Myśl. Myśl. Na podłodze pod siedzeniem pasażera leżała butelka wódki. Jule chwyciła ją przez chusteczkę i odkręciła. Następnie oblała hamulec wódką, niby przypadkiem. Może brak odcisków zostanie uznany za uzasadniony. Nie miała pojęcia, czy technicy kryminalistyczni sprawdzają takie rzeczy. Właściwie to nic nie wiedziała o ich pracy.

Cholera.

Wysiadła z samochodu. Wysiłkiem woli zmusiła się do skupienia myśli. Jej odcisków nie można było znaleźć w żadnej bazie. Nie miała kryminalnej przeszłości. Policja może i domyśli się, że ktoś inny prowadził samochód, ale nie dowiedzą się, że to Jule.

Nie istniały żadne dowody na to, że niejaka Jule West Williams kiedykolwiek mieszkała w San Francisco albo odwiedziła to miasto.

Otworzyła bagażnik i wyciągnęła komórkę Brooke, podobnie jak swoją. Potem, wciąż się trzęsąc, zamknęła samochód i odeszła.

Noc była zimna. Jule maszerowała dziarsko, żeby się rozgrzać. Dwa kilometry od parku poczuła się spokojniejsza. Wrzuciła butelkę po wodzie do śmietnika stojącego przy drodze. Kawalek dalej wepchnęła głęboko do kosza również czarny worek z zakrwawionymi ubraniami.

Potem szła dalej.

Golden Gate Bridge na tle ciemnego nieba wyglądał, jakby stał w ogniu. Jule była na nim taka mała, ale i tak czuła się, jakby oświetlał ją reflektor. Wyrzuciła kluczyki i telefon Brooke do wody.

Jej życie było filmowe. Wyglądała cudownie w świetle ulicznej latarni. Miała zarumienione policzki po wysiłku. Pod ubraniami powoli pojawiały się zasinienia po walce, ale włosy miała idealne. No a poza tym strój miała wyjątkowo schlebający jej urodzie. Tak, to prawda, że miała skłonność do przemocy. Bywała wręcz brutalna. Jednak na tym polegało jej zadanie i nikt nie mógł odmówić jej wyjątkowych kwalifikacji, więc była w tym bardzo seksowna.

Księżyc przybrał kształt rogalika, wiał zimny wiatr. Jule wciągnęła głęboko powietrze, a wraz z nim cały splendor, ból i piękno życia bohaterki.

Kiedy znalazła się z powrotem w mieszkaniu, wyjęła z plecaka figurkę lwa i oblała ją wybielaczem. Następnie splukała ją wodą, wysuszyła i postawiła nad kominkiem.

Lew spodobałby się Imogen. Uwielbiała koty.



Jule kupiła bilet na samolot do Londynu, który odlatywał z Portland w stanie Oregon. Użyła do tego nazwiska Imogen. Następnie pojechała taksówką na dworzec autobusowy.

Na miejscu zdała sobie sprawę, że przegapiła autobus o dziewiątej wieczorem. Następny wyruszał dopiero następnego dnia o siódmej rano.

Kiedy usiadła w poczekalni, powoli zaczęła z niej schodzić adrenalina po wypadkach ostatnich godzin. Kupiła w automacie trzy paczki M&Ms-ów z masłem orzechowym i usiadła na torbach. Nagle poczuła ogromne zmęczenie i strach.

W poczekalni znajdowała się zaledwie garstka innych ludzi, wszyscy korzystali ze schronienia, jakie dawał im dworzec. Julessała drażetki, żeby starczyły na dłużej. Próbowwała czytać, ale nie potrafiła się skupić. Po dwudziestu pięciu minutach pijany mężczyzna, który spał na ławce, obudził się i zaczął głośno śpiewać:

*Niech Bóg pokój ześle wam,  
niech otrze wszelką łzę,  
bo Chrystus nasz Zbawiciel  
narodził dzisiaj się,  
by wyrwać nas z Szatana rąk,  
by zgładzić zło i śmierć.[\[1\]](#)*

Jule wiedziała, że jej nikt nie wyrwał z Szatana rąk. Zabiła

głupią papłą z brutalną premedytacją. Nie będzie żadnego zbawiciela, który mógłby uratować ją przed tym, co pchnęło ją do tego kroku. Nigdy nie miała swojego zbawiciela.

Tyle. Nie mogła zawrócić. Została sama na zimnej poczekalni dzień przed Wigilią, słuchając pijanego gościa i rogiem biletu wydrapując spod paznokci resztki czyjejś krwi. Inni ludzie, dobrzy ludzie, piekli pierniczki, jedli miętowe czekoladki i próbowali ładnie zapakować prezenty świąteczne. Kłócili się, dekorowali dom, sprząтали po ucztach, wstawieni grzanym winem, oglądając stare filmy ze szczęśliwym zakończeniem.

Jule była tutaj. Zasłużyła sobie na zimno, na samotność, na śmierdzących meneli, na tysiąc gorszych kar i tortur.

Wskazówki zegara wreszcie dotarły do dwunastki i oficjalnie zaczęła się Wigilia. Jule kupiła sobie gorącą czekoladę w automacie.

Napiła się i trochę rozgrzała. Przekonała samą siebie, że nie ma co rozpaczać. W końcu była przecież odważna, mądra i silna. Dokonała to, czego dokonała, z niesamowitą efektywnością. A nawet stylowo. Popełniła morderstwo za pomocą zasranej kociej figurki, w pięknym parku stanowym nad ogromnym, malowniczym wąwozem. Nie widział jej absolutnie nikt. Nie zostawiła nawet jednej plamki krwi.

Zabiła Brooke w samoobronie.

Ludzie muszą się bronić. To leży w naturze człowieka, a Jule latami trenowała, żeby być w tym mistrzynią. Wydarzenia z tego dnia udowodniły, że potrafiła więcej, niż sobie wyobrażała. Była wręcz fenomenalna – była walecznym mutantem, nadczłowiekiem. Pieprzony Wolverine nie opłakuje ludzi, których nadziei na swoje szpony. Cały czas zabijał w samoobronie albo dla lepszej sprawy. Tak samo robił Bourne, Bond i cała reszta. Bohaterowie nie marzą o pierniczkach, prezentach i czekoladkach. Dlatego Jule też nie będzie. Przecież i tak nigdy tego nie miała. Nie ma czego opłakiwać.

*Niech Bóg pokój ześle wam,*

*niech otrze wszelką łzę...*

Pijak znowu zaczął śpiewać.

– Zamknij się, bo zaraz wstanę i pożałujesz! – wrzasnęła na niego Jule.

Ucichło.

Przechyliła kubek, żeby wypić ostatnie krople gorącej czekolady. Nie będzie więcej myśleć o Szatanie. Nie będzie już miała wyrzutów sumienia. Będzie dumnie kroczyć ścieżką bohaterki.

Jule West Williams spędziła Wigilię Bożego Narodzenia w trwającej dziewiętnaście godzin podróży autobusem i zasnęła wczesnym rankiem następnego dnia w Portland w stanie Oregon, w hotelu przy lotnisku. O jedenastej rano dotarła na samo lotnisko, oddała bagaż i przygotowała się na nocny lot do Londynu, w klasie biznesowej. Zjadła burgera. Kupiła książki i popsikała się nieznanymi perfumami w sklepie bezcłowym.

[1] Tradycyjna angielska kolęda w tłumaczeniu Bartosza Kuriaty. Tytuł oryginalny: *God Rest Ye Merry, Gentlemen* (przyp. tłum.).

 POŁOWA GRUDNIA 2016  
 SAN FRANCISCO

Dzień przed wyjściem w góry Jule odebrała telefon od Brooke.  
– Gdzie jesteś? – warknęła Brooke, nie witając się. – Widziałas Immie?  
– Nie. – Jule dopiero co skończyła trening i usiadła na ławce przed siłownią Haight-Ashbury Fitness.  
– Wysłałam jej miliard SMS-ów, ale nie odpowiada – powiedziała Brooke. – Nie ma jej na Snapchacie ani na Insta. Jestem już na nią strasznie wkurzona, więc pomyślałam, że zadzwonię do ciebie i sprawdzę, co wiesz.  
– Immie nie odzywa się do nikogo – stwierdziła Jule.  
– Gdzie jesteś?  
Jule nie widziała powodu, by kłamać.  
– W San Francisco.  
– Jesteś tutaj?  
– Co? Jak to „tutaj”? – La Jolla, czyli miejsce, gdzie powinna być Brooke, znajdowała się jakieś osiem godzin drogi stąd.  
– Mam przyjaciół ze szkoły średniej, którzy poszli do college’u w San Francisco, więc wynajęłam pokój w hotelu i przyjechałam. Ale na miejscu okazało się, że wszyscy przez cały dzień mają pracę albo egzaminy. Miałam się rano spotkać z Chipem Lutonem, a ten zasraniec mnie wystawił. Nawet nie uprzedził mnie wcześniej, tylko napisał dopiero, jak już na niego czekałam w, bez kitu, korytarzu pełnym martwych węży.  
– Martwych węży?  
– Faj – jęknęła Brooke. – Jestem w Akademii Nauk. Zastrany Lupton powiedział, że chce obejrzeć wystawę herpetologii. A ja

chcę się dorwać do jego majtek, więc zgodziłam się. Czy Immie przyleciała z tobą do San Francisco?

– Nie.

– Kiedy jest ta przeklęta Chanuka? Immie wraca wtedy do domu?

– Teraz, ale Immie nie jedzie do domu. Chyba poleciała do Mumbaiu. Nie jestem pewna.

– Okej. To wpadnij, skoro jesteś w mieście.

– Na węże?

– No. Boże, strasznie mi się nudzi. Daleko jesteś?

– Mam...

– Ani mi się waź mieć jakieś plany. Będziemy pisać ciągle do Immie i zmusimy ją do powrotu. Jeśli tego nie zrobi, będziemy jej jeszcze wysyłać e-maile. Przyjdź do mnie na wystawę. Trzeba się umówić wcześniej. Wyślę ci numer.

Jule chciała zobaczyć absolutnie wszystko. Jeszcze nigdy nie była w Akademii Nauk. Poza tym chciała sprawdzić, co Brooke wie o życiu Imogen po wyjeździe z wyspy. Dlatego wskoczyła do taksówki.

Akademia Nauk to muzeum historii naturalnej pełne kości dinozaurów i wypchanych zwierząt.

– Umówiłam się na drugą – powiedziała Jule mężczyźnie w recepcji.

– Proszę o jakiś dokument.

Jule pokazała mu legitymację z Vassar i przepuścił ją.

– Mamy ponad trzysta okazów ze stu sześćdziesięciu sześciu krajów – powiedział. – Miłego dnia.

Kolekcja mieściła się w kilku pomieszczeniach. Panował tu klimat czegoś pomiędzy biblioteką a magazynem. Na półkach stały szklane naczynia ze zwierzętami w formalinie: węzami, jaszczurkami, ropuchami i wieloma innymi, których Jule nie potrafiła zidentyfikować. Wszystkie były pieczołowicie opisane.

Jule wiedziała, że Brooke na nią czeka, ale nie wysłała jej wiadomości, że już przyjechała. Zamiast tego szła powoli między regałami, starając się poruszać bardzo cicho.

Zapamiętywała nazwy większości oglądanych przez siebie okazów. *Xenopus laevis*, żaba szponiasta. *Crotalus cerastes*, grzechotnik rogaty. *Crotalus ruber*, grzechotnik kalifornijski. Zapisywała nazwy żmij, salamander, rzadkich żab i maleńkich węży, które występowały tylko na dalekich wyspach.

Żmije były zwinięte w kłębki i unosiły się w bladym płynie. Jule przystawiała palce do jadowitych paszcz, czując, jak przez jej skórę przemyka strach.

Skręciła za róg i znalazła Brooke siedzącą na podłodze w jednej z alejek. Gapiła się na intensywnie żółtą żabę na dolnej półce.

– Myślałam, że już nie dojedziesz – rzuciła.

- Zagapiłam się na węże – wyjaśniła Jule. – Są takie potężne.
  - Nie są potężne. Są martwe – oznajmiła Brooke. – Bez kitu, leżą zwinięte w słojach i nikt ich nie kocha. Boże, jakie by to było smutne, gdyby po śmierci nasi bliscy wpakowali nas w formalinę, wiesz, i trzymali w wielkim słoju, nie?
  - Mają w sobie truciznę – odparła Jule, wciąż myśląc o żmijach.
  - Niektóre potrafią zabić zwierzę trzydzieści razy większe od siebie. Nie uważasz, że to niesamowite uczucie mieć w sobie tak potężną broń?
  - Są takie cholernie brzydkie. Nie warto. Tak czy inaczej mam dość. Idziemy na kawę.
- W barze z przekąskami serwowano maleńkie kubeczki gorzkiej kawy i włoskie lody. Brooke powiedziała Jule, żeby zamówiła waniliowe, a potem poleły miseczki z lodami swoim espresso.
- To się jakoś nazywa – oznajmiła Brooke. – Nie słuchałam, kiedy poleciliśmy do Włoch. Poszliśmy do takiej małej kawiarni na jakimś placu. Matka próbowała ciągle opowiedzieć mi historię tego placu, a ojciec powtarzał tylko: „Ćwiczmy włoski!”. Ale mnie i siostrze strasznie się nudziło. Właściwie to przez całą wycieczkę nam się nudziło, ciągle przewracaliśmy oczami, ale wtedy, a to się zdarzało praktycznie za każdym razem, pojawiała się jedzenie i zapominałyśmy o bożym świecie. Byłaś we Włoszech? Przysięgam, że tam dają takie makarony, że nie masz nawet pojęcia. Powinni tego zakazać. – Podniosła miseczkę i wypiła resztę espresso. – Wracam z tobą do domu na obiad – oznajmiła.
- Nie poruszyły jeszcze tematu Imogen, więc Jule się zgodziła.

Kupiły kiełbasę, makaron i sos pomidorowy. Brooke w bagażniku samochodu miała butelkę wina. Kiedy wróciły do mieszkania, w czasie gdy koleżanka się rozglądała po wnętrzu, Jule wsadziła do szuflady stertę poczty, górą do dołu, i schowała portfel.

– Fajnie. – Brooke pomacała poduszki w kształcie jeży, podotykała słoiki kolorowych szklanych kuleczek i kryształów górskich. Przyjrzała się wzorzystym ścierkom, czerwonym szafkom w kuchni, ozdobnym figurkom i książkom, które należały do poprzednich lokatorów mieszkania. Następnie otworzyła jedną z szafek i wyjęła garnek, żeby napełnić go wodą i ugotować makaron. – Przydałaby ci się choinka – powiedziała. – Czekaś, czy ty jesteś Żydówką? Nie, nie jesteś, już pamiętam.

– Nie jestem ani Żydówką ani niczym innym.

– Każdy jest czymś.

– Nie.

– Nie bądź dziwaczką, Jule. Bez kitu, ja jestem Holenderką z Pennsylvanii po stronie mamy oraz katoliczką z Kuby po stronie ojca. To nie znaczy, że jestem chrześcijanką, ale muszę w każde święta jechać do domu i słuchać księdza w czasie pasterki. A ty?

– Ja nie obchodzę świąt. – Jule wolałaby, żeby Brooke przestała ją wypytywać. Nie miała odpowiedzi. Nie wierzyła w żadną mitologię poza genezą bohatera.

– To cholernie smutne – oznajmiła Brooke, otwierając butelkę wina. – Powiedz mi, gdzie się podziewała Immie.

– Przyleciałyśmy tutaj razem – odparła Jule. – Ale tylko na tydzień. Potem stwierdziła, że leci do Paryża, pożegnała się i później tylko napisała mi wiadomość, że Paryż wygląda jak Nowy Jork i zamiast tego wybiera się do Mumbaju. Albo do Kairu.

– Wiem, że nie wróciła do domu, bo jej mama znowu do mnie pisała – rzuciła Brooke. – No i wiem, że dała kosza Forrestowi.



Wysłała mi SMS-a, że gość piszczy i skomle jak przybłęda i pozbyła się go z ulgą, ale nie wyjaśniła mi całej sytuacji. Rozmawiała z tobą o sprzątaczu?

Właśnie ten temat chciała poruszyć Jule, jednak musiała do tego podejść ostrożnie.

– Trochę. A co powiedziała tobie?

– Zadzwoiła do mnie dzień po wyjeździe z wyspy i zaczęła mówić, że to wszystko przez nią i musi lecieć z tobą do Portoryko, żeby spuścić trochę pary.

– Nie poleciałyśmy do Portoryko – odparła Jule. – Przyleciałyśmy tutaj.

– Bez kitu nie cierpię tych ciągłych tajemnic – oznajmiła Brooke.

– Uwielbiam ją, ale to po prostu chodzący sekret. Wkurzające.

Wtedy Jule poczuła, że musi bronić Immie.

– Stara się być wierna swoim pragnieniom, zamiast cały czas zadowalać innych ludzi.

– No ja bym się nie pogniewała, jakby trochę bardziej postarała się ich zadowalać – stwierdziła Brooke. – Właściwie to mogłaby się zajebiście postarać.

Brooke podeszła do telewizora, jakby powiedziała już wszystko, co miała do powiedzenia na temat Imogen Sokoloff. Przez jakiś czas skakała po kanałach, aż natrafiła na stary film z Bette Davis, który dopiero co się zaczął.

– Obejrzyjmy – rzuciła, naląła sobie drugi kieliszek wina i wyłożyła makaron.

Zaczęły oglądać film. Był czarno-biały. Wszyscy mieli na sobie świetne ubrania i byli dla siebie potwornie niemili. Po godzinie ktoś zapukał do drzwi.

To była Maddie, właścicielka mieszkania.

– Muszę odkręcić wodę z kranu nad umywalką, a potem znowu zakręcić – wyjaśniła. – Mamy na dole hydraulika. Chce, żebym mu pomogła dojść, dlaczego ostatnio są takie problemy.

– Możesz wrócić później? – zapytała Jule.

– Facet jest u nas w tej chwili – odparła Maddie. – To zajmie tylko chwilkę. Nawet nie zauważysz mojej obecności.

Jule popatrzyła na Brooke. Dziewczyna trzymała nogi na niskiej ławie.

– Wejdz – powiedziała do Maddie.  
– Dziękuję, jesteś najlepsza. – Jule ruszyła za właścicielką do łazienki, gdzie kobieta odkręciła i za chwilę zakręciła kran. – Powinno wystarczyć – rzuciła, idąc do wyjścia. – A teraz pójde sprawdzić, czy woda w moim zlewie się cofnęła. Mam nadzieję, że już nie wrócę.  
– Dzięki – rzuciła Jule.  
– Nie, to ja dziękuję tobie, Imogen. Przepraszam, że zakłócam wieczór.  
Cholera.  
Cholera.  
Za Maddie zamknęły się drzwi.  
Brooke wyłączyła telewizor. Trzymała w ręku telefon.  
– Co ona powiedziała?  
– Już czas, żebyś wróciła do domu – odparła Jule. – Za dużo wypiałś. Wzywam ci taksówkę.

Jule podtrzymywała na bieżąco rozmowę, dopóki Brooke nie wsiadła do samochodu, ale gdy tylko taksówka odjechała spod budynku, odezwał się telefon Immie.

Brooke Lannon: Immie! gdzie jesteś?

BL: Jule mówi że w Mumbaju? Albo Kairze?

BL: To prawda?

BL: A tak BTW to Vivian była dla mnie straszna suka i nie mogę uwierzyć w nią i Isaaca. Znaczący pierdole!

BL: Chip Luton zmacał mnie wczoraj a dzisiaj mnie wystawił. Niech SPADA. Szkoda że cie tu nie ma, tyle że jest tak chujowo że na pewno byś szybko miała dosyć.

BL: A w ogóle to Jule przedstawiła się właścicielce mieszkania jako Imogen????!!!!

Jule wreszcie odpisała.

IS: Hej. Jestem.

BL: No hej!!!!

IS: Chip cię zmacał?

BL: Czyli dopiero macanko skłoniło cie do odpisania hahaha

BL: przyznaje, to ważna rzecz

Jule odczekała chwilę i napisała:

IS: Wyluzuj z Jule. Znam ją od zawsze.

IS: Wynajęłam jej mieszkanie, dopóki nie stanie na nogi. Podpisałam umowę, więc właścicielka myśli, że ona to ja. Jule jest spłukana.

BL: Nie przekonałaś mnie. Coś tu śmierdzi. Serio Jule pozwoliła właścicielce mówić do niej IMOGEN.

IS: Nie przejmuj się.

BL: No nie wiem. To może wpłynąć na twój rating karty a wiem, że cie to obchodzi. No i to było dziwne. Halo? Słyszałaś o kradzieży tożsamości? Serio takie coś istnieje to nie mit.

BL: No i gdzie jesteś? W Mumbaju?

Jule nie odpowiedziała. Żadne jej słowa nie miały znaczenia, jeśli Brooke była zdeterminowana narobić jej kłopotów.

 OSTATNI TYDZIEŃ WRZEŚNIA 2016  
 SAN FRANCISCO

Dwanaście tygodni przed wspólnym obiadem z Brooke, Jule poleciała z Portoryko do San Francisco i zameldowała się w Sir Francis Drake Hotel na Nob Hill. Miejsce było pełne czerwonego atłasu, żyrandoli, rzeźbionych sufitów i kwiecistego rokoko. Jule skorzystała z dokumentów i karty kredytowej Imogen. Recepcjonista niczego nie zakwestionował i zaczął do niej mówić pani Sokoloff.

Jule miała apartament na najwyższym piętrze. W środku znajdowały się obite skórą fotele i szafa wykończona złotem. Na jej widok dziewczynie od razu zrobiło się lepiej.

Wzięła długi prysznic, by zmyć z siebie pot z podróży oraz wspomnienia z Portoryko. Pocierała skórę myjką, dwa razy nakładała szampon na włosy. Ubrała się w piżamę, której nigdy wcześniej na sobie nie miała, i spała, dopóki ból promieniujący od karku w górę wreszcie nie znikł.

Jule spędziła tam cały tydzień. Wydawało jej się, że znajduje się w jaju. Błyszcząca, twarda skorupka hotelu chroniła ją, kiedy było trzeba.

Na koniec tygodnia przejrzała ogłoszenia, wysłała kilka e-maili i poszła obejrzeć mieszkanie. Maddie Chung oprowadziła ją po pokojach. Były umeblowane, lecz nie zwyczajnymi meblami, których można się spodziewać po wynajmowanym lokalu. Znajdowały się tam niezwykle rzeźby i śliczne kolekcje w szklanych słojach: guziki, kulki, kryształły górskie, które odbijały promienie słońca. W kuchni była drewniana podłoga i czerwone szafki, a w nich szklane naczynia i ciężkie żeliwne

garnki.

Przekazując Jule klucze, Maddie wyjaśniła, że poprzedni lokator spędził tutaj ponad dziesięć lat i w końcu zmarł, nie posiadając żadnych spadkobierców.

– Nie było nawet kogo zawiadomić. Nikt nie zgłosił się po jego rzeczy – powiedziała. – A miał taki wspaniały gust, tak o wszystko dbał. Dlatego pomyślałam, że wynajmę to mieszkanie umeblowane, tak jak się wynajmuje miejscówki na wakacje. Żeby ludzie mogli docenić wystrój. – Dotknęła słoja z kolorowymi szklanymi kulkami. – Żaden sklep z używanymi rzeczami tego nie chciał.

– Dlaczego tamten mężczyzna nie miał bliskich? – zapytała Jule.

– Nie wiem. Był mniej więcej w moim wieku, kiedy zmarł. Rak przełyku. Nie dotarłam do żadnych spadkobierców. Ani pieniędzy. Może zmienił nazwisko albo pokłócił się z rodziną. Tak się zdarza.

– Wzruszyła ramionami. Stały teraz przy drzwiach. – Wynajęłaś ekipę przeprowadzkową? Pytam, bo wołałabym być w domu, kiedy drzwi do budynku są cały dzień otwarte, ale powinnyśmy się łatwo dogadać.

Jule pokręciła głową.

– Mam tylko jedną walizkę.

Maddie popatrzyła na nią życzliwie, a potem uśmiechnęła się.

– Poczuj się jak w domu, Imogen. Mam nadzieję, że będziesz tutaj szczęśliwa.

Hej, Mamo i Tato,

Opuściłam Martha's Vineyard trochę ponad tydzień temu i jestem w podróży. Nie wiem, gdzie pojedę! Może do Mumbaju albo Paryża, albo Kairu.

Życie na wyspie było spokojne i trochę jakby na uboczu reszty świata. Wszystko poruszało się powoli. Naprawdę mi przykro, że się nie odzywałam. Muszę po prostu zastanowić się, kim jestem bez szkoły, bez rodziny i wszystkiego innego, co mnie definiuje. Rozumiecie?

Miałam chłopaka na Martha's Vineyard. Nazywał się Forrest. Ale teraz się rozstaliśmy i chcę zobaczyć więcej świata.

Proszę, nie martwcie się o mnie. Jestem ostrożna i dbam o siebie.

Zawsze byliście dla mnie wspaniałymi rodzicami. Myślę o was każdego dnia.

Ściskam, Imogen

Kiedy tylko skonfigurowała Internet w mieszkaniu w San Francisco, wysłała ten list z adresu poczty elektronicznej Imogen.

Napisała też do Forresta. Użyła ulubionych słów Immie, jej slangu, wszystkich jej zbywających „może” i „w pewnym sensie”.

Hej, Forrest

Trudno mi pisać tę wiadomość, ale nie mam innego wyjścia. Nie wracam. Czynnosc jest opłacony do końca września, więc o ile wyprowadzisz się przed pierwszym października, wszystko będzie okej.

Nie chcę Cię więcej widzieć. Odchodzę. Właściwie to już odeszłam, ha.

Zasługuję na kogoś, kto nie patrzy na mnie z góry. Przyznaj, że patrzysz. Bo jesteś mężczyzną, a ja kobietą. Bo jestem niższa od Ciebie. Bo jestem adoptowana i może nie lubisz tego mówić, ale cenisz więzy krwi. Myślisz, że jesteś lepszy ode mnie, bo rzuciłam college, a Ty nie. Uważasz też, że pisanie powieści jest ważniejsze niż wszystko, co robię albo chciałabym zrobić ze swoim życiem.

Prawda jest taka, Forrest, że to ja mam władzę. To był mój dom, mój samochód. To ja płaciłam rachunki. Jestem dorosłą kobietą, Forrest. A Ty jesteś tylko rozpuszczonym, zależnym od innych chłopczykiem.

Tak czy inaczej: nie ma mnie. Pomyślałam, że powinienes wiedzieć.

Imogen

Forrest odpisał. Było mu smutno i przykro. Zezłościł się. Zaczął błagać.

Jule nie odpowiedziała. Zamiast tego wysłała Brooke dwa emoji z kotkami i krótką wiadomość.

IS: Zerwałam z Forrestem. Może czuje się tak jak ten kotek.  
IS: Ten puchaty pomarańczowy to ja. Taka ulga.

## Brooke odpisała.

BL: Vivian odzywała się do ciebie?  
BL: Albo wogóle ktos z Vassar?  
BL: Immie?  
BL: Bo do mnie pisała Caitlin. Moon, nie Clark  
BL: Vivian się teraz umawia z Isaakiem  
BL: Ale nie uwierze w żadne newsy od Caitlin Moon  
BL: Więc może to kłamstwo  
BL: Az mi niedobrze  
BL: Mam nadzieję że się nie denerwujesz  
BL: Ja denerwuję się za ciebie  
BL: OMG La Jolla to totalna nuda la la la może byś odpisała? Odpisz ty jedzo

Później tego samego dnia przyszedł e-mail od samej Vivian, w którym przekonywała, że kocha Isaaka Tuppermana i ma nadzieję, że Imogen to zrozumie, bo serce nie służy.

W następnych dniach Jule skupiła się na tym, by żyć tak, jak żyłaby Imogen. Jednego ranka zapukała do drzwi Maddie Chung, trzymając w ręku kubek latte z pobliskiej kawiarni.

– Pomyślałam, że przyda ci się kawa.

Twarz Maddie się rozpromieniła. Jule została zaproszona do środka i poznała żonę właścicielki domu, elegancką kobietę o siwych włosach, która właśnie wychodziła, żeby „zarządzać korporacją”, jak to ujęła Maddie. Jule zapytała, czy mogłaby zobaczyć księgarnię, a wtedy właścicielka zawiozła ją na miejsce swoim volvo.

Sklep Maddie okazał się mały i zabałaganiony, ale przytulny. Sprzedawano w nim zarówno nowe, jak i używane książki. Jule kupiła dwie powieści wiktoriańskie, których twórców Imogen mogła nie znać: Gaskella i Hardy’ego. Maddie poleciła jej „Jądro ciemności” oraz „Doktora Jekylla i pana Hyde’a”, a oprócz tego książkę gościa o nazwisku Goffman, pod tytułem „Człowiek w teatrze życia codziennego”. Jule tę również kupiła.

W inne dni Jule chodziła na wystawy polecane przez Maddie. Myśląc o Imogen, zwalniała kroku i pozwalała sobie odpływać daleko myślami.

Immie nie uważałyby w żadnym muzeum. Nie próbowałyby

uczyć się historii sztuki czy zapamiętywać daty.

Nie, Immie przechadzałyby się leniwie między alejkami, pozwalając otaczającej ją przestrzeni dyktować nastrój. Zatrzymałyby się, by docenić piękno, by istnieć bez dążeń.

Tak wiele z Immie było teraz częścią Jule. To ją podnosiło na duchu.



 TRZECI TYDZIEŃ WRZEŚNIA 2016  
 WYSPA CULEBRA W PORTORYKO

Tydzień przed przeprowadzką do San Francisco, Jule piła alkohol na wyspie Culebra. Nigdy wcześniej nie była pijana.

Culebra jest archipelagiem niedaleko wybrzeża Portoryko. Po drogach głównej wyspy chodzą dzikie konie. Nad samą wodą stoi szereg drogich hotelów, jednak samo centrum miasta nie jest zbyt nastawione na turystykę. Wyspa jest znana amatorom snorkelingu, mieszka tutaj też niewielka społeczność amerykańskich ekspatów.

Była już dziesiąta wieczorem. Jule знаła ten bar. Z jednej strony otwierano go, by wpuszczać nocne powietrze. W kątach warkotały brudne białe wiatraki. W środku znalazło się mnóstwo Amerykanów, część z nich to turyści, lecz większość to członkowie społeczności ekspatów. Barman nie sprawdził dokumentów Jule. Na wyspie prawie nikt nie pytał o dowód.

Tego wieczoru Jule zamówiła kahlúę ze śmietanką. Facet, którego poznała wcześniej, podszedł do baru kilka stołków dalej. Był białym pięćdziesięcioletkiem w hawajskiej koszuli, z brodą i czołem spieczonym od słońca. Mówił z akcentem z Zachodniego Wybrzeża – Portland, jak dowiedziała się wcześniej Jule. Nie znała jego imienia. Towarzyszyła mu kobieta w podobnym wieku. Miała szare loki, rozrzucone w nieładzie. Jej różowy podkoszulek z dużym dekoltem trochę nie pasował do wzorzystej spódniczki i sandałów. Zaczęła jeść prele z miseczki stojącej na barze.

Jule dostała swojego drinka. Wypiła go do dna i poprosiła o kolejnego. Para kłóciła się.

– Tamta dziwka ze złotym sercem, to ona była dla mnie

największym problemem – powiedziała kobieta z południowym akcentem. Może Tennessee, może Alabama. Czyli znajome okolice.

– To tylko film – odparł mężczyzna.

– Idealna dziewczyna to kurewka, która obsługuje cię za darmo. Obrzydliwość.

– Nie wiedziałem, że tak będzie. Nie wiedziałem nawet, że ci to nie pasuje, dopóki nie przyszedliśmy tutaj. Manuel mówił, że to dobry film. Włączyliśmy go, tyle.

– On urąga połowie ludzkości, Kenny.

– Nie zmuszałem cię do oglądania. Poza tym traktował dziwki bez uprzedzeń. – Kenny zachichotał. – No wiesz, że nie powinniśmy myśleć o niej źle z powodu jej zawodu.

– Mówi się damy do towarzystwa – wtrącił barman, puszczając do nich oko. – Nie dziwki.

Jule dokończyła drinka i poprosiła o trzeciego.

– W tym filmie ciągle tylko coś wybuchało i pojawiał się gość w czerwonym wdzianku – rzucił Kenny. – Za dużo czasu spędzasz z tymi koleżankami z kółka literackiego. Strasznie drażliwa się zrobiłaś.

– Wypchaj się – powiedziała jego towarzyszką, ale żartobliwie. – Po prostu zazdrościsz.

Kenny zauważył, że Jule im się przygląda.

– Cześć – zawołał, podnosząc piwo.

Jule poczuła, że trzy drinki oblewają ją jak fala kleistego syropu. Uśmiechnęła się do kobiety.

– To twoja żona – powiedziała z trudem.

– Dziewczyna – odparła tamta.

Jule pokiwała głową.

Wieczór zaczął się rozmazywać. Kenny i jego dziewczyna mówili coś do niej. Jule śmiała się. Zasugerowali, że powinna coś zjeść.

Nie mogła odnaleźć swoich ust. Frytki były zbyt słone.

Kenny i jego dziewczyna nadal rozprawiali o filmach. Kobieta nie zносиła kolesia w czerwonym wdzianku.

Kim był ten koleś? Czy miał szopa za kumpla? Przyjaźnił się z drzewem. Nie, jednorożcem. Ten z kamienia był ciągle smutny. Nie potrafił zmienić swojej postaci, więc nikt go nie kochał. A potem był ten, który nie mówił nigdy, kim jest. Był stary, ale

miał niezłe ciało i metalowy szkielet. Zaraz, zaraz. Był też taki niebieski gość. I naga kobieta. Dwoje niebieskich ludzi. Nagle Jule znalazła się na podłodze baru.

Nie miała pojęcia, jak do tego doszło. Bolały ją ręce. Coś było mocno nie tak z jej rękami. W ustach czuła jakiś dziwny, słodki posmak. Za dużo kahlúy.

– Nocujesz w Del Mar, resorcie w górze ulicy? – zapytała dziewczyna Kenny’ego.

Jule pokiwała głową.

– Powinniśmy ją odprowadzić, Kenny – powiedziała tamta. Właśnie kucała obok Jule. – Ta ulica nie jest oświetlona. Jeszcze nam dzieciak wpadnie pod samochód.

A potem znaleźli się na zewnątrz. Kenny’ego nigdzie nie było. Kobieta trzymała Jule pod rękę. Prowadziła ją przez ciemną ulicę do miejsca, gdzie świeciły się lampy Del Mar.

– Muszę ci opowiedzieć historię – powiedziała głośno Jule. Czuła potrzebę mówienia do dziewczyny Kenny’ego, coś o jakichś rzeczach.

– Czyżby? – rzuciła kobieta. – Uważaj, gdzie stawiasz nogi. Jest ciemno.

– To historia o dziewczynie. Nie, historia o chłopcu. Dawno temu. Ten chłopak, on pchnął dziewczynę na ścianę. Znał tę dziewczynę. Ale nie mnie, taką inną.

– Aha.

Jule zdawała sobie sprawę, że nie opowiadała tej historii tak, jak powinna. Jednak nie chciała przestać.

– Bardzo brzydko potraktował tę dziewczynę w alejce za supermarketem, nocą. Wiesz? Rozumiesz, co mam na myśli?

– Chyba tak.

– Dziewczyna znała go z widzenia i poszła tam z nim, kiedy ją poprosił, bo miał ładną twarz. Głupia nie wiedziała, jak należycie odmówić. Pięściami na przykład. A może nie miało znaczenia, co powiedziała, bo on nie słuchał. Rzecz w tym, że ona nie miała mięśni. Umiejętności też. Tylko torebkę z mlekiem i pączkami.

– Jesteś z południa, kochanie? – zapytała kobieta. – Nie zauważyłam wcześniej. Ja jestem z Tennessee, a ty?

– Nie powiedziała o niczym dorosłym, ale wygadała się

koleżankom w toalecie. Tak się o tym dowiedziałam.

– Aha.

– Ten chłopak, ten sam chłopak, wracał kiedyś z kina. Dwa lata później. Miałam wtedy szesnaście lat, wiesz, byłam w formie. Zauważyłaś? Jestem w formie. Więc pewnego wieczora poszłam do kina i zobaczyłam go. Zobaczyłam go, wracając do domu. Nie powinnam była wracać sama, większość by tak powiedziała. Ale szłam. Tamten chłopak też nie powinien był wracać sam.

Nagle cała ta opowieść wydała jej się niesamowicie zabawna. Jule poczuła, że musi się zatrzymać i wybuchnąć śmiechem. Wbiła nogi w ziemię i czekała, aż nadejdzie śmiech. Nie doczekała się.

– Miałam w ręku niebieski napój z kruszonym lodem – ciągnęła dalej. – Taki w wielkim kubku, jaki się kupuje w kinie. I sandałki na wysokim obcasie. Było lato. Lubisz ładne buty?

– Mam haluksy. No, ruszajmy już.

Jule zaczęła znowu maszerować.

– Zdjęłam je. I zawołałam tego chłopaka po imieniu. Coś mu ściemniłam, że muszę wezwać taksówkę, tam na rogu, w ciemności. Powiedziałam, że komórka mi padła i czy może mi pomóc? Myślał, że jestem niegroźna. Miałam buta w jednej ręce i napój w drugiej. Drugi but leżał na ziemi. Chłopak podszedł. Chlusnęłam mu napojem w twarz, zamachnęłam się butem. Obcas trafił go prosto w skroń. – Jule czekała na jakiś komentarz. Ale kobieta milczała. Cały czas nie puszczała ramienia Jule. – Chciał mnie złapać w pasie, ale zadarłam nogę i trafiłam go kolaniem w szczękę. Potem znowu zamachnęłam się butem. Uderzyłam go w sam czubek głowy. Tam, gdzie jest miękko. – Najwyraźniej dokładne wskazanie miejsca było niezwykle ważne. – Biłam go tym butem raz po raz.

Jule zatrzymała się i zmusiła kobietę, by popatrzyła jej w twarz. Było bardzo ciemno. Zamiast szarych oczu kobiety widziała tylko życzliwe zmarszczki wokół.

– Leżał z otwartymi ustami – powiedziała. – Z nosa leciała mu krew. Wyglądał jak trup, psze pani<sup>[2]</sup>. Nie próbował się podnieść. Rozejrzałam się. Było późno. Nie świeciła się nawet lampa na ganku. Nie wiedziałam, czy chłopak żyje. Podniosłam

kubek i buty, a potem poszłam do domu. Wzięłam wszystkie ubrania, które miałam na sobie, i zapakowałam z resztą do torby na zakupy. Rano udawałam, że idę do szkoły.

Jule opuściła ręce wzdłuż boków. Nagle poczuła się zmęczona i pusta, kręciło się jej w głowie.

– Umarł? – zapytała dziewczyna Kenny’ego.

– Nie umarł, psze pani – powiedziała powoli Jule. – Wyszukałam go w Internecie. Sprawdzałam każdego dnia i jego nazwisko nigdzie się nie pojawiało, nie licząc lokalnej gazety, obok zdjęcia. Wygrał konkurs poetycki.

– Poważnie?

– Nigdy nie zgłosił się na policję. Tamtej nocy zrozumiałam, kim jestem. Zrozumiałam, do czego jestem zdolna, psze pani.

– Cieszę się, że nie umarł, kochanie. Myślę, że nie umiesz pić.

– Nigdy nie piję.

– Słuchaj. Sama też coś takiego przeżyłam, wiele lat temu – wyznała kobieta. – Coś takiego, jak ta dziewczyna, o której mówiłaś. Nie lubię o tym mówić, ale to prawda. Poradziłam sobie z tym, rozumiesz?

– Mhm, okej.

– Pomyślałam, że zechcesz o tym wiedzieć.

Jule popatrzyła na kobietę. Była piękna, a Kenny to szczęściarz.

– Znasz prawdziwe imię Kenny’ego? – zapytała Jule. – Jak się naprawdę nazywa?

– Zaprowadzę cię do pokoju. Chcę mieć pewność, że nic ci nie jest.

– To wtedy poczułam w sobie bohaterkę – powiedziała Jule.

Potem znalazła się w swoim pokoju i świat pograżył się w ciemności.

[2] Spolszczona wersja popularnego na południu „ma’am”, którego najważniejsze znaczenie w tym fragmencie jest takie, że Jule pod wpływem opowiadanej historii wraca coraz mocniej do swojego naturalnego akcentu z południa Stanów.

Jule obudziła się następnego ranka z odciskami. Na każdej dłoni miała cztery wypełnione ropą pęcherze, tuż pod palcami.

Leżała na łóżku i patrzyła na nie. Odszukała swój jadeitowy pierścionek na szafce nocnej. Nie chciał wejść. Miała zbyt spuchnięte palce.

Przebiła po kolei każdy pęcherz i pozwoliła, by płyn wsiąkł w miękką białą pościel. W ten sposób szybciej się zagoją.

*To nie jest film o dziewczynie, która zrywa z poniżającym ją chłopakiem – pomyślała. To nie jest film o dziewczynie, która uwalnia się od zaborczej matki. To nie jest film, w którym wielki biały heteroseksualny bohater zakochuje się w kobiecie i musi ją uratować albo zawiera sojusz z mniej od niego potężną kobietą w obcistym wdzianku.*

– Teraz ja znajduję się w centrum opowieści – powiedziała sama do siebie. – Nie muszę być śliczna, chuda, roznegliżowana. Nie muszę poprawiać sobie zębów.

*To ja jestem główną bohaterką.*

Gdy tylko się podniosła, dopadły ją mdłości. Pobieгла do łazienki, przycisnęła bolące dłonie do zimnych kafelków i zaczęły nią targać torsje, choć nie miała czym wymiotować.

Nic i nic. Trwało to chyba całe godziny, jej gardło kurczyło się i rozluźniało. Wytarła twarz ręcznikiem. Zrobił się mokry. Skuliła się, drżąc i wymiotując na sucho.

Wreszcie jej oddech się uspokoił.

Podniosła się, zaparzyła kawę i wypila ją. Potem otworzyła plecak Immie.

W środku znajdował się jej portfel. Miał milion kieszonek i srebrny zatrask. Skrywał karty kredytowe, paragony, kartę biblioteczną z Martha's Vineyard, legitymację z Vassar, kartę na posiłki w stołówce Vassar, kartę stałego klienta Starbucks, kartę ubezpieczenia zdrowotnego, a także kartę-klucz do pokoju

hotelowego. I sześćset dwanaście dolarów w gotówce.

Jule otworzyła dostarczoną poprzedniego dnia paczkę dla Immie. Znalazła w niej ubrania zamówione w Internecie. Cztery sukienki, dwie bluzki, parę dżinsów, jedwabny sweterek. Każda z tych rzeczy była tak kosztowna, że Jule odruchowo zakryła usta dłonią na widok faktury.

Pokój Immie znajdował się obok. Jule miała teraz do niego klucz. W środku było czysto. Na kontuarze w łazience leżała brudna kosmetyczka, a w niej paszport oraz zaskakująca liczba tubek i słoiczków, wszystko w bałaganie. Na wieszaku wisiał brzydki beżowy stanik. Na umywalce leżała golarka z kilkoma włosami.

Jule zabrała paszport Immie i spojrzała na fotografię obok odbicia swojej twarzy w lustrze. Różnica we wzroście to zaledwie trzy centymetry. Kolor oczu zapisano jako zielony. Włosy Immie były jaśniejsze. Jule ważyła zdecydowanie więcej, ale największy wpływ na to miały mięśnie, a te stawały się niewidoczne pod luźnymi ubraniami.

Wyciągnęła karty z Vassar i zaczęła je przeglądać. Zdjęcie z karty na stołówkę podkreślało długą szyję Immie i trzy dziurki w uchu. Zdjęcie na legitymacji było mniejsze i bardziej niewyraźne. Nie pokazywało ucha. Jule mogła je łatwo wykorzystać.

Pocięła kartę na stołówkę nożyczkami do paznokci, a maleńkie kawałeczki spłukała w toalecie.

Następnie wyskubała sobie brwi, by były cienkie jak u Immie. Tymi samymi nożyczkami, co wcześniej, skróciła sobie grzywkę. Znalazła kolekcję pierścionków vintage: ametystowego lisa, z samym zarysem, z wyrzeźbioną kaczką w drewnie, szafirowy z trzmielcem, srebrny ze słoniem, srebrny ze skaczącym królikiem, a także zielony jadeitowy z żabą. Nie pasowały na jej spuchnięte palce.

Kilka następnych dni spędziła na przeglądaniu plików w komputerze Immie. Korzystała z obu pokoi. Były klimatyzowane. Czasami otwierała drzwi na balkon, żeby obmyła ją fala gęstego gorąca. Jadła naleśniki z kawałkami czekolady i piła sok z mango.

Na rachunkach i lokatach Immie znajdowało łącznie osiem milionów dolarów. Jule zapamiętała numery i hasła. Także numery telefonów i adresy skrzynek mailowych.

Nauczyła się podrabiać pełen zawijasów podpis Imogen, który znalazła w paszporcie i na skrzydełkach jej książek. Skopiowała też próbkę charakteru pisma z notatnika Immie, gdzie były różne bazgroły i listy zakupów. Po stworzeniu podpisu elektronicznego znalazła nazwisko prawnika rodziny Sokoloff. Poinformowała go, że Immie będzie w następnym roku dużo podróżować po całym świecie. Chciała spisać testament. Pieniądze zostawi przyjaciółce, która nie posiadała ich zbyt wiele, była sierotą i straciła stypendium. Nazywała się Julietta West Williams. Pewne sumy przepisze też dla Ligi Zwierząt Północnego Wybrzeża oraz Krajowej Fundacji Nerek.

Prawnik potrzebował kilku dni, żeby podjąć odpowiednie działania, ale obiecał wszystko załatwić. Żaden problem. W końcu Imogen Sokoloff była osobą dorosłą.

Zbadała styl Imogen w jej e-mailach i na Instagramie: jej pożegnania, kompozycja paragrafów, często powtarzane zwroty. Zamknęła wszystkie konta Immie w serwisach społecznościowych. I tak od jakiegoś czasu stały odłogiem. Usunęła jak najwięcej tagów ze zdjęć, gdzie była oznaczona Immie. Ustawiła automatyczne spłacanie kart kredytowych z rachunków bankowych. Zresetowała hasła, korzystając z dostępu do poczty elektronicznej Immie.

Szukała w lokalnych gazetach wieści, lecz nic nie znalazła.



Poszła do sklepu i kupiła farbę do włosów, którą nałożyła ostrożnie za pomocą szczoteczki do zębów. Ćwiczyła uśmiechanie się bez pokazywania zębów. Gdzieś w okolicach karku złapał ją ból, którego nie mogła się pozbyć.

Wreszcie prawnik przysłał wzór testamentu. Jule wydrukowała go w hotelowym biurze. Włożyła dokumenty do walizki i uznała, że starczy już tego czekania. Kupiła bilet do San Francisco, na nazwisko Imogen. Wymeldowała się z hotelu w imieniu ich obu.

 DRUGI TYDZIEŃ WRZEŚNIA 2016  
 CULEBRA W PORTORYKO

Dwa i pół tygodnia przed swoim wylotem do San Francisco, Jule siedziała obok Imogen na tylnej kanapie taksówki, która była jeepem i podskakiwała na wybojach w drodze z lotniska na Culebrze. Immie zarezerwowała pokoje w hotelu.

– Przyjechałam tu kiedyś z rodziną Bitsy Cohan, kiedy miałyśmy po dwanaście lat – oznajmiła Immie, pokazując na otaczającą ich wyspę. – Bitsy miała druty w szczęce po wypadku na rowerze. Pamiętam, że cały dzień piła daiquiri. Nic nie jadła. Któregoś ranka popłynęłyśmy łódką na maleńką wyspę nazywaną Culebrita. Znajdowała się tam czarna skała wulkaniczna, jakiej nigdy wcześniej nie widziałam. No i urządziłyśmy sobie snorkeling, ale Bitsy przez szczękę miała problemy, więc strasznie marudziła.

– Też miałam raz zadrutowaną szczękę – powiedziała Jule. To była prawda, ale natychmiast pożałowała tych słów. Ta historia nie należała do zabawnych.

– Co się stało? Spadłaś z roweru któregoś z twoich chłopaków z Stanford? Czy może zły trener lekkoatletyki ci przyłożył?

– Pobiłam się z kimś w szatni – wyjaśniła Jule.

– Znowu? – Immie wydawała się nieco rozczarowana.

– No, byłyśmy jeszcze nagie – odparła Jule, żeby ją rozbawić.

– Chrzanisz.

– Po treningu na bieżni, w ostatniej klasie szkoły średniej. Regularna walka pod prysznicami, na golasa, trzy przeciwko jednej.

– Jak w więziennym pornosie.

– Nie tak seksowne. Złamały mi szczękę.

– Konie – powiedział kierowca, wyciągając rękę i faktycznie, były konie. Stado dzikich, uroczo kudłatych koni stało na środku drogi. Kierowca zatrąbił.

– Nie trąb na nie! – zawołała Imogen.

– Nie boją się – odparł kierowca. – Proszę popatrzeć. – Znowu zatrąbił i konie powoli odeszły na bok, zaledwie lekko zirytowane.

– Wolisz zwierzęta od ludzi – powiedziała Jule.

– Ludzie są wredni, co udowodniła twoja historia sprzed chwili. – Imogen wyciągnęła paczkę chusteczek z torebki i użyła jednej, żeby wytrzeć sobie czoło. – Kiedy widziałaś jakiegoś wrednego konia? Albo krowę? Nigdy.

Kierowca odezwał się z siedzenia z przodu.

– Węże są wredne.

– Wcale nie – zaprzeczyła kategorycznie Immie. – Węże tylko próbują przeżyć, jak my wszyscy.

– Nie te, które gryzą – powiedział. – Te są złośliwe.

– Węże gryzą, kiedy się boją – odparła Immie, wychylając się do przodu. – Gryzą, gdy muszą się bronić.

– Albo jeśli muszą coś zjeść – rzucił kierowca. – Pewnie codziennie kogoś gryzą. Nie cierpię węży.

– Dla myszy znacznie lepiej jest umrzeć od ugryzienia węża niż kiedy, na przykład, złapie ją kot. Koty bawią się swoimi ofiarami – odparła Immie. – Najpierw ją kuszą, pozwalają jej uciec, a potem łapią ją jeszcze raz.

– Czyli koty są wredne – odezwał się kierowca.

Jule się roześmiała.

Zatrzymali się przed hotelem. Immie zapłaciła za kurs amerykańskimi dolarami.

– Nadal będę bronić węży – stwierdziła. – Lubię je. Dzięki za przejazd.

Kierowca wyciągnął ich walizki z bagażnika i odjechał.

– Nie spodobałby ci się wąż, gdybyś jakiegoś spotkała – rzuciła Jule.

– A właśnie, że tak. Spodobałby mi się i przygarnęłabym go. Owinąłby mi się wokół szyi jak naszyjnik.

– Jadowity wąż?

– Pewnie. Jestem tutaj z tobą, prawda? – Imogen objęła Jule

ramieniem. – Będę cię karmić pysznymi myszami i innymi wężowymi przysmakami, a nawet pozwolę ci spocząć na moich ramionach. Od czasu do czasu, kiedy będzie to absolutnie konieczne, zadusisz moich wrogów zupełnie na golasa. Umowa stoi?

– Węże są zawsze nagie – zauważyła Jule.

– Ty jesteś wyjątkowym wężem. Przez większość czasu będziesz chodzić w ubraniach.

Immie weszła do hotelowego lobby, ciągnąc za sobą ich walizki.

Hotel był efektowny na turystyczną modłę, mocno turkusowy. Miał własną szklarnię i porozstawiane wszędzie kolorowe kwiaty. Jule i Imogen miały pokoje obok siebie. Znajdowały się tutaj dwa oddzielne baseny oraz plaża, która ciągnęła się długim białym łukiem i kończyła przystanią. W restauracji można było zamówić przeróżne ryby i tropikalne owoce.

Po rozpakowaniu spotkały się na obiedzie. Immie wyglądała świeżo i wydawała się wdzięczna, że może zjeść taki wspaniały posiłek. Nie okazywała ani śladu żalu czy wyrzutów sumienia. Po prostu była sobą.

Później poszły w dół ulicy do miejsca, które w Internecie nazywano barem dla ekspatów. Kontuar miał kształt koła, z barmanem na środku. Ludzie siedzieli na wiklinowych stołkach. Immie zamówiła kahlúę ze śmietanką, a Jule dietetyczną colę z syropem waniliowym. Inni goście byli rozmowni. Imogen zaczęła gadać ze starszym facetem w hawajskiej koszuli. Powiedział im, że mieszkał na Culebrze od dwudziestu dwóch lat.

– Prowadzę taki mały punkt sprzedaży marihuany. Kiedyś hodowałem ją w garderobie pod specjalnymi lampami. To było w Portland. Myślałem, że nikogo to nie będzie obchodzić. Ale przyłapali mnie i gdy tylko wypuścili mnie za kaucją, poleciałem do Miami. Stamtąd łodzią do Portoryko i potem promem tutaj. – Dał znak barmanowi, że chce kolejne piwo.

– Jesteś zbiegiem? – zapytała Immie.

Prychnął.

– Ujmę to w ten sposób: moim zdaniem to, co zrobiłem, nie było przestępstwem, więc nie zasłużyłem na konsekwencje, które mnie czekały. Przeniosłem się. Nie uciekam. Wszyscy tutaj mnie znają. Nie wiedzą tylko, jakie imię mam wpisane w paszporcie. To wszystko.

– A jak ono brzmi? – zapytała Jule.

– Nie powiem. – Roześmiał się. – Nikomu nie powiedziałem. Nikogo tutaj nie obchodzą takie rzeczy.

– Czym się zajmujesz na co dzień? – zapytała Jule.

– Jest dużo Amerykanów i bogatych Portorykańczyków, którzy mają tutaj domy letniskowe. Dbam o nie pod ich nieobecność. Płacą gotówką. Ochrona, wzywanie fachowców do napraw, tego rodzaju sprawy.

– A co z twoją rodziną? – dopytywała Immie.

– Nie ma o czym mówić. Mam tutaj przyjaciółkę. Mój brat wie, gdzie jestem. Nawet przyjechał raz czy dwa w odwiedziny.

Imogen zmarszczyła czoło.

– Chciałbyś wrócić?

Mężczyzna pokręcił głową.

– Nie myślę o tym. Jak się tu zostanie wystarczająco długo, nie ma do czego wracać.

Następne trzy dni spędzili nad ogromnym basenem otoczonym przez parasole i turkusowe leżaki. Jule chodziła za Imogen krok w krok. Czytały. Imogen oglądała filmiki o gotowaniu. Jule ćwiczyła na siłowni. Imogen umawiała się na zabiegi w spa. Pływały i spacerowały po plaży.

Imogen dużo piła. Kazała kelnerom przynosić jej drinki na brzeg basenu. Ale nie wydawała się smutna. Magiczne uczucie, jakie towarzyszyło ich ucieczce z Martha's Vineyard, trwało przez wiele dni. Jule była przekonana, że wyszły z tej próby zwycięsko. Właśnie takiego życia chciała Imogen, wolnego od ambicji i oczekiwań, bez nikogo, kogo trzeba by zadowalać i kogo można by rozczarować. Dni płynęły wolno i smakowały kokosem.

Wieczorem czwartego dnia siedziały z nogami w jacuzzi, podobnie jak w inne wieczory w domu Immie na wyspie.

– Może powinnam wrócić do Nowego Jorku – powiedziała zamyślona Imogen. – Zobaczyć się z rodzicami.

Jakiś czas wcześniej zjadły wspólnie obiad. Właśnie trzymała margaritę w plastikowym kubku z pokrywką i słomką.

– Nie, nie jedź – odparła Jule. – Zostań tutaj ze mną.

– Pamiętasz tego kolesia w barze? Mówił, że jak się za długo nie wraca, nie ma do czego wracać. – Imogen wstała, a potem ściągnęła koszulkę i szorty. Miała na sobie metaliczny jednoczęściowy strój kąpielowy ze złotym kółkiem na piersi i głębokim dekoltem. Powoli zanurzyła się w jacuzzi. – Nie chcę, żeby rodzice o mnie zapomnieli. Ale też nie cierpię do nich jeździć. Po prostu strasznie mnie przygnębiają. Opowiadałam ci o mojej ostatniej wizycie u nich? W czasie przerwy zimowej?

– Nie.

– Rzuciłam szkołę i cieszyłam się, że wreszcie się stamtąd wyrwałam. Oblałam zajęcia z politologii. Brooke i Vivian cały czas się kłóciły. Isaac ze mną zerwał. A kiedy wróciłam do domu, tata

był bardziej chory, niż się spodziewałam. Mama cały czas płakała. Mój głupi strach o ciążę, dramy z przyjaciółkami, problemy z chłopakiem i złe oceny, to wszystko było zbyt banalne, żeby w ogóle o tym wspominać. Mój tata skulił się w sobie, zbiornik z tlenem pomagał mu oddychać. Na stole w kuchni leżało pełno buteczek z pigułkami. Pewnego dnia ścisnął mnie za rękę i szepnął: „Przynies babkę[3]”.

– Co to ta babka?

– Nigdy nie jadłaś babki? To jak bułeczki cyjamonowe, ale sto razy lepsze.

– I przyniosłaś mu?

– Wysłałam i kupiłam sześć babek. Dawałam mu codziennie po jednej aż do końca przerwy zimowej. Dzięki temu czułam, że mu jakoś pomagam, chociaż tak naprawdę nie było jak pomóc... W dniu mojego wyjazdu, kiedy mama wiozła mnie do Vassar, obleciał mnie strach. Nie chciałam się zobaczyć z Vivian. Ani Brooke. Ani Isaakiem. College nagle wydał mi się bezsensowny, jakbym miała się tam uczyć bycia taką córką, jakiej życzyła sobie moja matka. Albo taką dziewczyną, jakiej życzył sobie Isaac. Ale na pewno nie bycia sobą. Gdy tylko odjechała, zadzwoniłam po taksówkę i ruszyłam na Martha's Vineyard.

– Dlaczego akurat tam?

– Żeby uciec. Jak byłam mała, pojechaliśmy tam na wakacje. Po kilku pierwszych dniach przestałam ładować komórkę. Nie chciałam odbierać żadnych telefonów. Wiem, że to brzmi egoistycznie, ale musiałam zrobić coś radykalnego. Przez to, że ojciec tak poważnie chorował, nie rozmawiałam z nikim o swoich problemach. Jedynym sposobem, żeby się jakoś odnaleźć, było spróbować żyć z dala od nich. Bez tych wszystkich ludzi, którzy czegoś ode mnie oczekiwali, którzy czuli się rozczarowani. A potem po prostu zostałam. Mieszkałam w hotelu przez miesiąc, kiedy zdałam sobie sprawę, że nie wrócę. Wysłałam moim rodzicom wiadomość, że nic mi nie jest, i wynajęłam dom.

– Jak zareagowali?

– Tysiącem e-maili i SMS-ów. „Proszę, wróć do domu, chociaż na kilka dni. Zapłacimy za samolot.” „Twój ojciec chce wiedzieć, dlaczego nie odbierasz jego telefonów”. Tego rodzaju rzeczy.



Z powodu dializ ojca nie mogli przylecieć na wyspę, za to dosłownie nękali mnie wiadomościami. – Immie westchnęła. – Zablokowałam ich numery. Przestałam o nich myśleć. Zadziałało jak magia, jakbym nacisnęła przycisk i wyłączyła te wszystkie myśli. I właśnie to mnie uratowało. Może jestem złym człowiekiem, ale to było takie miłe, Jule, nie czuć już wyrzutów sumienia.

– Nie uważam, żebyś była złym człowiekiem – odparła Jule. – Chciałaś zmienić życie. Musiałaś zrobić coś radykalnego, żeby stać się tą osobą, którą się stajesz.

– Właśnie. – Immie dotknęła mokrą dłońią kolana Jule. – A ty?

To było typowe dla Imogen. Najpierw dłuższą chwilę prowadziła monolog, by w pełni przetrwać jakąś kwestię, a później, zmęczona, zadać pytanie.

– Ja nie wracam. Nigdy – oznajmiła Jule.

– W domu jest aż tak źle? – dociekała Immie, przyglądając się twarzy koleżanki.

Jule przez krótką, radosną chwilę pomyślała, że ktoś mógłby ją pokochać, że ona mogłaby kogoś pokochać i zasługiwałyby na to. Immie zrozumiałaby wszystko, co powiedziałyby teraz Jule. Wszystko.

– Jesteśmy takie same – powiedziała. – Ja też nie chcę być taka, jaka byłam kiedyś. Chcę być taką wersją siebie, jaką jestem tutaj. Z tobą. – Zawarła w tej wypowiedzi tyle prawdy, na ile było ją stać.

Immie przysunęła się i pocałowała ją w policzek.

– Rodziny na całym świecie są popierdolone.

– Teraz my jesteśmy dla siebie rodziną. Ja jestem twoją, a ty możesz być moją – wypaplała Jule.

Czekała na odpowiedź, przyglądając się Immie.

Imogen powinna powiedzieć, że są dla siebie jak siostry.

Imogen powinna powiedzieć, że są przyjaciółkami na całe życie, że są rodziną.

Przecież rozmawiały ze sobą tak szczerze, Imogen miała obiecać, że nigdy nie opuści Jule tak, jak opuściła Forresta, jak opuściła matkę i ojca.

Zamiast tego Imogen tylko się lekko uśmiechnęła. A potem wyszła z jacuzzi i podeszła do basenu w tym swoim metalicznym stroju kąpielowym. Puściła oko do nastolatków, którzy wygłupiali

się w płytkiej części. Amerykańskich nastolatków.

– Hej, chłopcy. Czy któryś z was chciałby przynieść mi paczkę chipsów albo precli z baru? – zawołała. – Mam mokre stopy. Nie chcę zostawić po sobie kałuży.

Byli bardziej mokrzy od niej, ale jeden z nich zaraz wyskoczył z wody i zaczął się wycierać ręcznikiem. Był chudy i pryszczaty, za to miał ładne zęby i smukłe ciało, które wpasowywało się w gust Immie.

– Do usług – powiedział, kłaniając się głupio.

– Prawdziwy z ciebie rycerz.

– Widzicie? – zawołał chłopak do kolegów w basenie. – Jestem rycerzem.

Dlaczego musiała wszystkich oczarowywać? To tylko zgraja dzieciaków, niewiele mieli jej do zaoferowania. Immie robiła coś podobnego za każdym razem, kiedy atmosfera była dla niej zbyt ciężka. Odwracała się i oślepiła swym blaskiem nowych ludzi, a ci czuli się wyjątkowi, bo właśnie na nich zwróciła uwagę. Właśnie tak się stało, kiedy porzuciła swoich przyjaciół z Greenbriar dla tych nowych, z Dalton School. Powtórzyła to, zostawiając chorego ojca i przyjaciół z Dalton, żeby udać się do college'u, a także kiedy wyjechała na Martha's Vineyard. Zostawiła Forresta i wyspę dla Jule, jednak Jule najwyraźniej nie była dość nowa. Immie potrzebowała świeższego źródła podziwu.

Chłopak przyniósł kilka paczek chipsów. Imogen usiadła na leżaku i zaczęła jeść, zadając pytania.

Skąd przyjechali?

– Z Maine.

Ile mieli lat?

– Wystarczająco dużo! Ha, ha.

Ale poważnie, ile?

– Szesnaście.

Śmiech Imogen poniósł się po basenie.

– Dzieci!

Jule wstała i założyła buty. W tych chłopcach było coś dziwnego. Przyprawiali ją o dreszcze. Nie podobało jej się to, jak rywalizowali ze sobą w walce o uwagę Imogen, pluskając się w wodzie i prężąc mięśnie. Nie chciała rozmawiać z bandą pryszczatych

nastolatków. Niech Imogen karmi swoje ego, skoro musi.

[3] W oryginale również „babka”, dlatego Jule nie rozumie, o jaki wypiek chodzi.

Następnego ranka Jule chciała wynająć łódź i popłynąć na Culebritę – maleńką wysepkę z czarnymi wulkanicznymi skałami i dziką przyrodą z plażami. Immie mówiła o tym pierwszego dnia. Można tam popłynąć taksówką wodną, ale wtedy trzeba czekać na jej powrót. Lepiej popłynąć samemu, ponieważ wtedy można wracać wtedy, kiedy się chce. Konsjerż podał Jule numer telefonu faceta, który miał łódzie na wynajem.

Immie nie widziała powodu, żeby płynąć własnymi siłami, gdy ktoś mógłby ich tam zawieźć. W ogóle nie widziała powodu, żeby płynąć na Culebritę. Już tam kiedyś była. A tutaj miały przejrzystą wodę. I restaurację. I dwa podgrzewane baseny. I ludzi, z którymi można pogadać.

Tylko że Jule nie zniosłaby kolejnego dnia nad basenem z tymi nastolatkami, małymi szpanerami. Jule chciała płynąć na Culebritę, zobaczyć słynne czarne skały i iść do latarni morskiej.

Facet od łodzi powiedział im, że spotkają się na dokach, które znajdowały się na drugim końcu plaży. Cała sprawa została załatwiona dość nieformalnie. Jule i Immie poszły na miejsce, a dwóch młodych Portorykańczyków podpłynęło do brzegu w dwóch niewielkich łodziach. Immie zapłaciła gotówką. Jeden z mężczyzn pokazał jej, jak obsługiwać motor i jak włożyć wiosła w uchwyty, na wypadek gdyby musiały z nich skorzystać. Podali też numer telefonu, na który należało zadzwonić po powrocie.

Immie miała zły humor. Powiedziała, że kamizelki ratunkowe są popękane, a łódź przydałoby się odmalować. Mimo to wsiadła.

Podróż na drugą stronę zatoki zajęła im pół godziny. Słońce prażyło coraz mocniej. Woda była szokująco błękitna.

Na Culebrić Jule i Imogen wskoczyły do wody, żeby zepchnąć łódź na brzeg. Jule wybrała ścieżkę i ruszyły. Immie była milcząca.

- Którędy idziemy? – zapytała Jule przed rozwidleniem drogi.
- Gdzie chcesz.

Poszły w lewo. Wzgórze okazało się strome. Po piętnastu minutach Immie obtarła sobie stopę o wystający kamień. Podniosła nogę i oparła o pień drzewa, żeby się przyjrzeć ranie.

- Wszystko okej? – zapytała Jule.

Ze skaleczenia leciała krew, ale niezbyt mocno.

- Spoko, nic mi nie jest.
- Szkoda, że nie mamy plastrów. Powinnam była o nich pamiętać.
- Mówi się trudno.
- Przykro mi.
- Nie twoja wina.
- Przykro mi, że ci się to przytrafiło.
- Nieważne – rzuciła Imogen i ruszyła w dalszą drogę. Wspięły się na wzgórze i ujrzały czarne skały.

Okazały się inne, niż Jule się spodziewała. Piękniejsze. Niemal przerażające. Były ciemne i śliskie. Woda wpływała w nie i opływała je, tworząc zbiorniki, które na słońcu wydawały się ciepłe. Niektóre kamienie pokrywały miękkie, zielone algi.

Prócz Jule i Imogen nie było żywej duszy. Immie rozebrała się do stroju kąpielowego i bez słowa wślizgnęła się do największego zbiornika. Miała opaloną skórę i tego dnia założyła czarne, wiązane na szyi bikini. Nagle poczuła się grubo i męsko. Przez mięśnie, które z takim wysiłkiem sobie wypracowała, jej sylwetka wydawała się zwalista, a noszony przez nią całe lato jasnoniebieski strój wyglądał tandetnie.

- Ciepła woda? – zapytała.
- Całkiem ciepła – odparła Immie.

Pochylała się i ochlaprywała wodą swoje ramiona i kark. Jule irytowało jej dąsanie się. W końcu to nie jej wina, że Imogen skaleczyła sobie stopę. Ona tylko powiedziała, że chce wynająć łódź i popłynąć na Culebritę.

Immie była rozpieszczonym bachorem, który chce koniecznie postawić na swoim. To jedna z jej najgorszych cech. Nikt nigdy nie odmawiał Imogen Sokoloff.

- Pójdziemy do latarni morskiej? – zapytała Jule. Latarnia była

najwyższym punktem całej wyspy.

– Możemy.

Jule chciała, żeby Immie okazała choć trochę entuzjazmu. Tak się jednak nie stało.

– Z twoją stopą już okej?

– Zapewne.

– W ogóle chcesz iść do latarni?

– Mogę iść.

– Ale czy chcesz?

– Co mam ci powiedzieć, Jule? „Och, marzyłam o zobaczeniu latarni”? Na Martha’s Vineyard widziałam latarnię każdego zasranego dnia. Chcesz, żebym powiedziała, że wprost nie mogę się doczekać, kiedy będę mogła się tam wspiąć ze skaleczoną nogą i w takim upale? Tylko po to, by zobaczyć budynek, który wygląda jak milion budynczków, jakie widziałam już milion razy? Tego właśnie chcesz?

– Nie.

– Więc czego chcesz?

– Po prostu zapytałam.

– Chcę wrócić do hotelu.

– Ale dopiero co przypląnęłyśmy.

Imogen wyszła z wody i ubrała się.

– Możemy już wracać, proszę? Chcę zadzwonić do Forresta. A tutaj moja komórka nie łąpie zasięgu.

Jule wytarła stopy i założyła buty.

– Dlaczego chcesz zadzwonić do Forresta?

– Bo jest moim chłopakiem i za nim tęsknię – odparła Immie. – A co niby sobie wyobrażasz? Że z nim zerwałam?

– Nic sobie nie wyobrażałam.

– Nie zerwałam z nim. Przyleciałam na Culebrę, żeby odpocząć, to wszystko.

Jule włożyła na ramię ich wspólną torbę.

– Skoro chcesz wracać, wracajmy.

Jule czuła się, jakby ktoś wyssał z niej całą radość ostatnich dni. Wszystko wydawało się zwyczajne i zbyt gorące.

Wciągnęły łódkę dość daleko na plażę, więc kiedy wróciły, musiały pchać ją po piasku. Potem wskoczyły do środka i wyciągnęły wiosła, by za ich pomocą wprowadzić łódź na głębszą wodę, by tam zapuścić motor.

Immie prawie się nie odzywała.

Jule uruchomiła silnik i skierowała łódź w stronę Culebry, której wybrzeże dało się dostrzec w oddali.

Immie siedziała z przodu, jej profil wyróżniał się na tle morza. Jule popatrzyła na nią i poczuła przyływ uczuć. Immie była piękna, a w tym pięknie widziało się jej dobro. Była miła dla zwierząt. Należała do tego rodzaju przyjaciół, którzy przynoszą ci taką kawę, jaką uwielbiasz, którzy kupują ci kwiaty, dają książki i pieką muffiny. Nikt nie potrafił się tak dobrze bawić jak Immie. Przyciągała do siebie ludzi, wszyscy ją kochali. Miała swego rodzaju władzę – pieniądze, entuzjazm, niezależność – i emanowała nią silnie. I oto Jule znalazła się na morzu, tym przedziwnym turkusowym morzu, z tą niezwykłą, unikalną osobą.

Ich kłótnia nie miała najmniejszego znaczenia. Sprowokowało ją zmęczenie, nic więcej. Nawet najlepsi przyjaciele czasami się kłócili. Na tym polegało bycie szczerym wobec siebie nawzajem.

Jule wyłączyła silnik. Morze było takie spokojne. Nigdzie dokoła nie dało się dostrzec innej łodzi.

– Wszystko okej? – zapytała Imogen.

– Przepraszam, że uparłam się na wynajęcie tej głupiej łodzi.

– Nic nie szkodzi. Ale posłuchaj mnie. Wracam na Martha's Vineyard, żeby spotkać się jutro z Forrestem.

Jule zakręciło się w głowie.

– Jak to?

– Mówiłam ci już, że za nim tęsknię. Żałuję tego, jak się

pożegnaliśmy. Byłam zdenerwowana po tym, jak... – Urwała, nie chcąc ubierać tego w słowa. – Po tym, co się stało ze sprzątaczem. I o tym, jak to załatwił Forrest. Mimo to nie powinnam była uciekać. Zbyt często uciekam.

– Nie powinnaś wracać na wyspę tylko dlatego, że czujesz się winna. I to Forrestowi, ze wszystkich ludzi – powiedziała Jule.

– Kocham go.

– To dlaczego ciągle go okłamujesz? – palnęła Jule. – Dlaczego jesteś tutaj ze mną? Dlaczego ciągle myślisz o Isaaku Tuppermanie? Nie tak zachowuje się zakochana dziewczyna. Nie zostawia się faceta w środku nocy, myśląc, że ucieszy się, gdy wrócisz. Nie można kogoś tak zostawić.

– Jesteś zazdrosna o Forresta, rozumiem. Ale ja nie jestem jakąś lalką, którą możesz się bawić, z nikim się nie dzieląc – powiedziała Immie ostrym tonem. – Kiedyś myślałam, że lubisz mnie po prostu za to, jaka jestem. Nie za moje pieniądze ani nic innego. Myślałam, że jesteśmy do siebie podobne i rozumiesz mnie. Łatwo było mówić ci o różnych rzeczach. Ale coraz bardziej odnoszę wrażenie, że masz w głowie takie wyobrażenie o mnie, o *Imogen Sokoloff*... – wypowiedziała swoje imię i nazwisko, jakby chciała zapisać je kursywą – a to nie jestem ja. Wyobrażasz sobie kogoś, kogo lubisz. Ale to nie jestem ja. Chcesz tylko nosić moje ubrania, czytać moje książki i udawać, wydając moje pieniądze. To nie jest prawdziwa przyjaźń, Jule. To nie jest prawdziwa przyjaźń, kiedy ja płacę za wszystko i pożyczam ci wszystko, a tobie wciąż za mało. Chcesz poznać wszystkie moje sekrety, a potem wykorzystujesz je przeciwko mnie. Jest mi ciebie żal, naprawdę. Lubię cię, ale stałaś się, bez kitu, taką jakby imitacją mnie. Nawet nie wiesz, jak mi przykro to mówić, jednak...

– No co?

– Ty się nie trzymasz kupy. Ciągłe zmieniasz szczegóły historii, które nam opowiadasz, a do tego jakbyś wcale nie zdawała sobie z tego sprawy. Nie powinnam była cię prosić, żebyś została z nami w domu na Martha's Vineyard. Przez chwilę było nawet fajnie, ale teraz czuję się wykorzystana, a nawet, w pewnym sensie, okłamywana. Muszę się od ciebie uwolnić. Taka jest prawda.

Zawroty głowy stały się silniejsze.



Immie nie mogła mówić tego wszystkiego poważnie.

Jule od wielu tygodni robiła wszystko, czego chciała od niej Imogen. Zostawiała ją samą za każdym razem, kiedy chciała być sama. Szła z nią na zakupy za każdym razem, kiedy chciała iść na zakupy. Znosiła Brooke, znosiła Forresta. Wysłuchiwała ją z uwagą, gdy tylko zachodziła taka potrzeba. Opowiadała historie, gdy Immie chciała słuchać. Zaadaptowała się do otoczenia i nauczyła się wszystkich zasad zachowania w świecie Immie. Trzymała język za zębami. Przeczytała setki stron książek Dickensa.

– Nie chodzi o moje ubrania – powiedziała Imogen. – Nie chodzi o moje pieniądze. Chcesz, bym była tym kimś...

– Nie chcę, byś była kimkolwiek innym prócz siebie – przerwała jej Jule. – Naprawdę.

– Ależ chcesz – zaprotestowała Immie. – Chcesz, żebym poświęcała ci uwagę, kiedy nie mam na to najmniejszej ochoty. Chcesz, żebym była piękna i żeby wszystko przychodziło mi łatwo, chociaż czasami czuję się brzydka i nic mi się nie udaje. Posadziłaś mnie na firmamencie i chcesz, żebym zawsze gotowała coś pysznego, czytała wielką literaturę i była dla wszystkich przemiła, ale to nie jestem ja, a to mnie wykańcza. Nie chcę przebierać się dla ciebie i udawać kogoś, kim nie jestem.

– To nieprawda.

– Ten ciężar jest ogromny, Jule. Przygniata mnie. Popychasz mnie, bym była dla ciebie *kimś*, a ja wcale nie chcę.

– Jesteś moją najlepszą przyjaciółką.

To była prawda. Słowa te zabrzmiały głośno i żałośnie. Jule zawsze omijała ludzi. Nigdy nic dla niej nie znaczyli, nie wpływali na nią i za nikim by nie tęskniła. Jule skłamała tysiąc razy, by sprawić, żeby Immie ją pokochała. Zasługiwała na miłość za te wszystkie kłamstwa.

Immie pokręciła głową.

– Po tych kilku tygodniach w moim domu tego lata? Twoją najlepszą przyjaciółką? Niemożliwe. Powinnam była poprosić cię, byś wyjechała, po tamtym pierwszym weekendzie.

Jule wstała. Immie siedziała na samym brzegu łodzi.

– Co takiego zrobiłam, że mnie tak znienawidziłaś? – zapytała ją.

– Nie rozumiem.

– Nic nie zrobiłaś! Nie nienawidzę cię.

– Chcę wiedzieć, co zrobiłam nie tak.

– Posłuchaj. Zaprosiłam cię tutaj tylko po to, żebyś nic nie mówiła – wyjaśniła Imogen. – Zaprosiłam cię, żeby cię uciszyć. No i masz, powiedziałam to.

Milczały. To jedno zdanie zawisło między nimi: „Zaprosiłam cię, żeby cię uciszyć”.

– Nie mogę już dłużej kontynuować tej wycieczki – ciągnęła dalej Imogen. – Nie mogę znieść tego, że pożyczasz moje ubrania i patrzysz na mnie w ten sposób, jakbym nigdy nie była dość dobra. A poza tym przerażasz mnie i chciałabyś, żeby mi na tobie strasznie zależało. Nie zależy mi.

Jule nie myślała. Nie mogła skupić myśli.

Sięgnęła po wiosło leżące na dnie łodzi. Zamachnęła się, mocno.

Szerszy koniec uderzył Imogen w głowę. Ostrą krawędzią.

Dziewczyna upadła. Łódka zakołysała się gwałtownie. Jule postąpiła do przodu, a Immie odwróciła do niej twarz. Wydawała się zaskoczona, a Jule poczuła się w tej chwili zwycięsko: przeciwniczka nie doceniła jej.

Raz jeszcze uderzyła wiosłem w tę anielską twarz. Nos złamał się, pękły kości policzkowe. Jedna z gałek ocznych została wypchnięta i zaraz wytrysnęła. Jule wymierzyła trzeci cios i odgłos był niezwykle donośny i jakby ostateczny. Szczęka Imogen, a razem z nią cała roszczeniowość, całe piękno i poczucie własnej wartości, wszystko to zostało zmiażdżone przez siłę prawego ramienia Jule. To Jule była pieprzoną zwyciężczynią i przez chwilę napawało ją to cudownym uczuciem.

Immie zsunęła się ze swojego siedzenia do wody. Łódka zakołysała się i zaraz wyprostowała. Jule zachwiała się do tyłu, uderzając biodrem o twarde drewno.

Immie dwa razy uderzyła rękami w powierzchnię wody. Próbowwała zaczerpnąć powietrza. Krew zalewała jej oczy. Barwiła turkusową wodę na czerwono. Biała koszula unosiła się na falach.

Uczucie zwycięstwa zniknęło i Jule skoczyła do wody, by złapać Immie za ramię. Chciała usłyszeć odpowiedź.

Immie była jej winna odpowiedź.

Jeszcze nie skończyły, cholera jasna. Immie nie mogła jeszcze uciec.

– Co masz mi do powiedzenia? – wołała Jule, próbując wyciągnąć przyjaciółkę z wody. – Co mi teraz powiesz, co? – Krew spływała z twarzy Immie na jej ramiona. – Bo nie jestem twoim pieprzonym zwierzątkiem, nie jestem twoją pieprzoną przyjaciółką, słyszysz? Już nie! – krzyczała Jule. – Patrzysz na mnie z góry, ale to ja jestem silniejsza, ja jestem z nas silniejsza. Rozumiesz, Immie? Rozumiesz, do cholery?

Jule próbowała obrócić przyjaciółkę, utrzymać jej twarz w powietrzu, żeby mogła oddychać i słuchać, jednak rany były zbyt poważne. Twarz Imogen stała się pulpą, krew płynęła z ucha, z nosa, z pokiereszowanego policzka. Jej ciało trzęsło się i wierzgało. Skóra była śliska, bardzo śliska. Szarpała rękami, uderzyła Jule w twarz wierzchem dłoni.

– Co masz teraz do powiedzenia? – powiedziała jeszcze raz Jule błagalnym tonem. – Co chcesz mi powiedzieć, do cholery?

Ciało Imogen Sokoloff wierzgnęło jeszcze raz, a potem zamarło. Wokół nich zebrała się krew.

Jule wspięła się z powrotem do łodzi i czas stanął.

Musiała minąć godzina. Może dwie. A może tylko kilka minut.

Żadna jej walka nie skończyła się w ten sposób. Zawsze była akcja, heroizm, samoobrona, rywalizacja. Czasami zemsta. Teraz wydarzyło się coś zupełnie innego. W morzu pływało ciało. Fale obmywały drobne ucho, z trzema dziurkami. Guziki na mankiecie koszuli były zimnoniebieskie na tle białej tkaniny.

Jule kochała Imogen Sokoloff na tyle, na ile potrafiła kogokolwiek pokochać. Naprawdę.

Ale Immie nie chciała tej miłości.

Biedna Immie. Piękna, wyjątkowa Immie.

Jule ścisnęło w żołądku. Zrobiło się jej niedobrze, wychyliła się przez krawędź łodzi. Ścisnęła drewno, myśląc, że zaraz zwymiotuje, trzęsły się jej ramiona. Męczyły ją torsje, lecz nic nie zwróciła. Nic i nic. Trwało to minutę czy dwie, zanim zdała sobie sprawę, że płacze.

Policzki miała mokre od łez.

Nie chciała skrzywdzić Imogen.

Nie, chciała.

Nie, nie chciała.

Żałowała, że to zrobiła.

Chciałaby cofnąć czas. Chciałaby być innym człowiekiem w innym ciele, z innym życiem. Chciałaby, żeby Imogen odwzajemniła jej uczucie, a teraz płakała, bo to się nigdy nie stanie.

Wyciągnęła rękę i chwyciła mokrą, wiotką dłoń Immie. Ścisnęła ją, wychylając się mocno za krawędź łódki.

Wtedy rozległ się dźwięk nadlatującego samolotu.

Jule puściła dłoń przyjaciółki i zdusiła łzy. Odezwał się jej instynkt przetrwania.

Znajdowała się dość daleko od brzegu, dwadzieścia minut drogi

od Culebry i dziesięć do Culebrity. Jule włożyła rękę do wody. Od często uczęszczanego kanału między dwiema wyspami płynął prąd w kierunku otwartego oceanu. Pociągnęła ciało Immie w swoją stronę, aż znalazło się wystarczająco blisko, żeby mogła obwiązać ją pod pachami liną, jednak niezbyt mocno, by nie zostawić śladów. Sznur był szorstki i ranił dłonie Jule, a zawiązanie go okazało się trudne. Dopiero po kilku próbach udało jej się zrobić wystarczająco wytrzymały węzeł.

Uruchomiła silnik i popłynęła powoli w kierunku otwartego oceanu. Kiedy woda stała się ciemna, głęboka, a łódź znalazła się daleko od popularnej trasy między Culebrą i Culebritą, Jule odwiązała sznur i uwolniła ciało Imogen.

Tonęło bardzo, bardzo wolno.

Jule opłukała linę i wyszorowała szczotką znaną w małej skrzynce z narzędziami. Jej poranione dłonie lekko krwawiły, ale poza tym nie miała żadnych śladów. Zwinęła linę i odłożyła ją tam, gdzie leżała wcześniej. Następnie wyszorowała i opłukała wiosło.

Następnie ruszyła w drogę powrotną.

– Panno Sokoloff? – zawołał recepcjonista w lobby.

Jule zatrzymała się i popatrzyła na niego.

Wziął ją za Imogen. Nikt wcześniej nigdy nie pomylił jej z Imogen.


Nie były do siebie szczególnie podobne, ale oczywiście łączyło ich wiele cech: były dwiema niskimi, młodymi kobietami z krótkimi włosami i piegami na twarzy. Miały podobny akcent, ze Wschodniego Wybrzeża. Mogły udawać siebie nawzajem.

– Przyszła do pani paczka, panno Sokoloff – powiedział recepcjonista z uśmiechem. – Mam ją tutaj.

Jule również się uśmiechnęła.

– Jest pan słodszy niż miód – rzuciła. – Bardzo dziękuję.

 DRUGI TYDZIEŃ WRZEŚNIA 2016

 MENEMSHA, MARTHA'S VINEYARD W STANIE MASSACHUSETTS

Sześć dni przed tym, jak Jule wzięła tamtą paczkę, sprzątacznik nie pojawił się w domu Immie na Martha's Vineyard. Nazywał się Scott. Miał może dwadzieścia cztery lata, był starszy niż Immie, Jule, Brooke, a nawet Forrest, mimo to Imogen wciąż nazywała go po prostu sprzątacznikiem.

Scott został polecony przez właścicieli wynajmowanego mieszkania, żeby zajmował się sprzątnięciem domu i ogrodu. Należało dbać o basen i jacuzzi. Dom był bardzo przestronny i miał wiele okien, w pokoju dziennym i jadalni znajdowały się wysokie sufity. Do tego sześć świetlików, pięć sypialni. Taras z przodu i z tyłu. Krzewy różane i inne rośliny. Jednym słowem: bardzo dużo pracy.

Scott miał szeroką, kwadratową twarz i płaski nos. Był biały, z zaróżowionymi policzkami i ciemnymi, niesfornymi włosami. Miał wąskie biodra i pokaźnie zbudowane ramiona. Zazwyczaj chodził z bejsbolówką na głowie i bez koszulki.

Kiedy Jule po raz pierwszy spotkała Scotta, nie potrafiła do końca ocenić, co on właściwie robi w domu. Po prostu nagle pojawił się w kuchni i właśnie zmywał podłogę mopem. Nie odróżniał się zbyt wiele od tymczasowych ludzi zapraszanych przez Immie i Forresta, poza tym, że półnagi zajmował się sprzątnięciem.

- Cześć, jestem Jule – powiedziała, stojąc w progu.
- Scott – rzucił tamten, nie odkładając mopa.
- Idziesz na plażę? – zapytała.
- Ha, nie. Zostanę tutaj. Jestem sprzątacznikiem Imogen. – Mówił

z amerykańskim akcentem bez żadnych wyróżniających cech.

– Aha, rozumiem. – Jule zastanawiała się, czy Imogen rozmawiała ze sprzątaczem jak z każdą inną osobą, czy może Scott miał pozostać niewidzialny. Nie wiedziała, jaką w tym przypadku stosuje się zasadę zachowania. – Jestem koleżanką Immie ze szkoły średniej.

Nic więcej nie powiedział.

Jule obserwowała go przez chwilę.

– Chcesz się czegoś napić? – zapytała. – Mamy colę, normalną i dietetyczną.

– Powinienem pracować. Imogen nie lubi, kiedy się objam.

– Jest aż tak surowa?

– Wie, czego chce. Muszę to uszanować – powiedział. – No, a poza tym mi płaci.

– Ale chcesz tę colę?

Scott ukląkł i spryskał płynem do czyszczenia podłogę pod zmywarką, gdzie zbierał się brud. Następnie wytarł to miejsce szorstką gąbką. Jego umięśnione plecy błyszczały od potu.

– Nie płaci mi za to, że zabieram jej rzeczy z lodówki – odparł w końcu.

W późniejszych dniach stało się jasne, że chociaż Scott nie ma być zupełnie niewidzialny – jego uroda nie pozwalała całkowicie go ignorować – ale nikt nie mówił do niego więcej niż zwykłe „cześć”. Immie mówiła tylko „hej” na jego widok, chociaż mierzyła jego ciało wzrokiem. Scott szorował toalety, wynosił śmieci i porządkował bałagan pozostawiony w pokoju dziennym. Jule nigdy więcej nie proponowała mu coli.

Dzień, w którym Scott po raz pierwszy się nie pojawił, to piątek. W piątkowe poranki zazwyczaj sprzątał kuchnię i łazienki, a potem podlewał trawnik. Opuszczał dom przed jedenastą, więc nikt sobie wiele nie robił z jego nieobecności.

Następnego dnia jednak znowu go nie było. W soboty czyścił basen i zajmował się ogrodem. Immie zawsze zostawiała mu wtedy pieniądze za cały tydzień na blacie w kuchni. Te leżały w zwyczajowym miejscu, lecz Scott ich nie odebrał.

Jule zeszła na dół, przebrana na trening. Brooke siedziała

właśnie na kontuarze z miską winogron. Forrest i Immie jedli przy stole granolę z gęstą śmietaną i malinami. W zlewie leżało mnóstwo brudnych naczyń.

– Gdzie sprzątac? – zawołała Brooke do jadalni, gdy Jule nalewała sobie wody do szklanki.

– Jest na mnie obrażony – odparła Imogen.

– To ja jestem na niego obrażony – poprawił ją Forrest.

– Ja też jestem obrażona – stwierdziła Brooke. – Chcę, żeby umył mi winogrona, rozebrał się i wylizał całe moje ciało, od stóp do głów. Ale jeszcze się tego nie doczekałam. Nawet go tu nie ma. Nie wiem, co poszło nie tak.

– Bardzo śmieszne – rzucił Forrest.

– On ma wszystko, czego chciałabym u faceta – wyjaśniła Brooke. – Jest dobrze zbudowany, nie odzywa się i w przeciwieństwie do ciebie – wrzuciła winogrono do ust – zmywa naczynia.

– Przecież zmywam – oburzył się Forrest.

Immie wybuchnęła śmiechem.

– Bez kitu, zmywasz tylko talerz, na którym jadłeś.

Forrest zamrugał, zaskoczony, a potem wrócił do poprzedniego tematu.

– Zadzwońska do niego?

– Nie. Scott chce podwyżki, a ja nie zamierzam mu jej dać – odparła gładko Immie, podnosząc wzrok na Jule i patrząc jej w oczy. – Pracuje dobrze, ale wielokrotnie się już spóźnił. Nie cierpię, gdy wstaje rano, a w kuchni jest bałagan.

– Zwolniłaś go? – zapytał Forrest.

– Nie.

– Po tym, jak rozmawialiście o podwyżce, powiedział, że nadal będzie tu pracować?

– Tak mi się wydaje. Nie jestem pewna. – Immie wstała, żeby sprzątnąć miseczkę i kubek ze stołu.

– Jak możesz nie być pewna?

– Wydawało mi się, że będzie pracował. Ale chyba się pomyliłam – rzuciła Immie z kuchni.

– Zaraz do niego zadzwonię – oznajmił Forrest.

– Nie, nie zrobisz tego. – Immie wróciła do jadalni.



– Dlaczego nie? – Forrest sięgnął po jej telefon. – Potrzebujemy sprzątacza, a on się zna na robocie. Może doszło do jakiegoś nieporozumienia.

– Powiedziałaś, żebyś nie dzwonił – warknęła Immie. – To nie jest ani twój telefon, ani twój dom.

Forrest odłożył komórkę na stół. Znowu zamrugał.

– Staram się pomóc.

– Wcale nie pomagasz.

– A właśnie, że tak.

– Wszystko zostawiasz mnie – odparła Immie. – Ja zajmuję się kuchnią, jedzeniem, sprzątaczem, zakupami i Internetem. A teraz się wkurzasz, że nie załatwiłam czegoś tak, jakbyś sobie tego życzył?

– Imogen.

– Nie jestem twoją zasraną gosposią, Forrest. Wręcz przeciwnie.

Forrest podszedł do laptopa.

– Jak Scott miał na nazwisko? – zapytał. – Myślę, że powinniśmy wyszukać go w Internecie i sprawdzić, czy ktoś już narzekał na jego usługi i co z nim jest. Na pewno jest zarejestrowany w jakimś serwisie.

– Cartwright – odparła Immie, najwyraźniej chcąc zakończyć kłótnię. – Ale nie znajdziesz go. To miejscowy chłopak, który świadczy różne usługi za gotówkę. Nie będzie żadnej strony.

– No dobra, i tak sprawdzę... O, Boże.

– Co?

– Scott Cartwright z Oak Bluffs?

– Tak.

– On nie żyje.

Immie podbiegła do Forresta. Brooke zeskoczyła z kontuaru, a Jule wróciła z holu, gdzie się rozciągała. Wszyscy zebrali się wokół laptopa.

Forrest znalazł artykuł na stronie internetowej miejscowego periodyku, „Martha’s Vineyard Times”, gdzie opisano samobójstwo Scotta Cartwrighta. Powiesił się na sznurze przywiązany do belki w stodole sąsiada. Wykopał spod nóg sześciometrową drabinę.

- To moja wina – powiedziała Imogen.
- Nie, wcale nie – zaprotestował Forrest, wciąż patrząc w ekran.
- Chciał podwyżki i ciągle się spóźniał. Nie chciałaś dać mu pieniędzy. To nie ma nic wspólnego z jego samobójstwem.
- Musiał mieć depresję – stwierdziła Brooke.
- Tu napisali, że nie zostawił listu pożegnального – zauważył Forrest. – Ale mają pewność, że to było samobójstwo.
- Ja tak nie uważam – oznajmiła Immie.
- Daj spokój – rzekł Forrest. – Nikt nie zmusił go do wejścia na drabinę w stodole i powieszenia się.
- A ja myślę, że tak.
- Przesadzasz. Scott to był miły gość i szkoda, że nie żyje, ale nikt go nie zabił. Myśl racjonalnie.
- Nie mów mi, co mam myśleć – odparła lodowatym tonem Imogen.
- Nikt nie zabija sprzątacza i nie pozoruje tego na samobójstwo.
- Forrest odszedł od komputera. Związał długie włosy w kitkę gumką, którą nosił na przegubie.
- Nie mów do mnie jak do dziecka.
- Imogen, zdenerwowałaś się z powodu śmierci Scotta, co jest zrozumiałe, jednak...
- Tu nie chodzi o Scotta! – wrzasnęła Immie. – Tu chodzi o to, że każesz mi myśleć racjonalnie. Patrzysz na mnie z góry,

bo skończyłeś college. I dlatego, że jesteś mężczyzną. I dlatego, że jesteś jednym z Martinów z Greenwich i...

– Immie...

– Nie przerywaj mi – warknęła. – Mieszkasz w *moim* domu. Jesz *moje* jedzenie, jeździsz *moim* samochodem, a twój bałagan sprzątał ten biedny chłopak, którego *ja* zatrudniłam. Gdzieś w głębi duszy mnie za to nienawidzisz, Forrest. Nienawidzisz mnie, bo stać mnie na takie życie i sama podejmuję decyzje. Dlatego traktujesz mnie protekcjonalnie i odrzucasz moje pomysły.

– Czy możemy o tym porozmawiać na osobności? – zapytał Forrest.

– Po prostu wyjdź. Zostaw mnie na jakiś czas samą – odparła Immie. Wydawała się zmęczona.

Forrest stęknął i poszedł na górę. Brooke ruszyła jego śladem.

Z oczu Immie popłynęły łzy, gdy tylko tych dwoje wyszło. Podeszła do Jule i uścisnęła ją, przynosząc ze sobą zapach kawy i jaśminu. Stały tak przez dłuższą chwilę.

Immie i Forrest odjechali samochodem dwadzieścia minut później, twierdząc, że muszą porozmawiać. Brooke została w swoim pokoju.

Jule zrobiła trening, a potem resztę poranka spędziła sama. Na lunch zjadła dwa tosty z masłem czekoladowo-orzechowym i popiła je koktajlem z odżywki białkowej i soku pomarańczowego. Właśnie po sobie zmywała, kiedy Brooke zwlokła się na dół, ciągnąc ze sobą torbę podróżną.

– Wyjeżdżam – oznajmiła.

– W tej chwili?

– Nie lubię takich dram. Wracam do domu w La Jolla. Moi rodzice zaraz się na mnie rzucą z tekstami typu „Brooke, powinnaś dostać staż! Iść na wolontariat! Wrócić do szkoły!”, więc będę strasznie się wkurzać, ale wiesz co, w sumie to tęsknię za domem. – Obróciła się nagle i weszła do kuchni. Otworzyła drzwi spiżarni i wyjęła dwie paczki ciasteczek oraz opakowanie nachosów i wrzuciła do torebki. – Żarcie na promie jest do kitu – wyjaśniła. – Narka.

Imogen wróciła wieczorem. Wyszła do Jule na taras.

– Gdzie Forrest? – zapytała Jule.

– Poszedł na górę do swojego gabinetu. – Immie usiadła i zdjęła sandały. – W przyszły weekend jest pogrzeb Scotta.

– Brooke wyjechała.

– Wiem. Pisała do mnie.

– Zabrała ze sobą wszystkie ciasteczka.


– Jak to Brooke.

– Mówiła, że się nie przejmiesz.

– Nie zostawiłam ich na żadną okazję. – Imogen wstała i poszła zapalić światło basenu. Woda się rozświeciła. – Myślę, że powinniśmy wyjechać. Bez Forresta.

Tak.

- Czy to będzie aż tak łatwe? Mieć Immie tylko dla siebie?
- Powinniśmy wyjechać rano – ciągnęła dalej Imogen.
  - Okej. – Jule starała się zabrzmieć nonszalancko.
  - Załatwię nam samolot. Na pewno mnie rozumiesz. Muszę stąd wyjechać na chwilę, pobyć trochę w babskim towarzystwie.
  - Nie muszę być tutaj – odparła Jule, cała rozpromieniona. – Nigdzie nie muszę być.
  - Mam pewien pomysł – oznajmiła Imogen konspiracyjnym tonem. Wyciągnęła się na leżaku. – Jest taka wyspa, Culebra. Na terytorium Portoryko. – Immie chwyciła Jule za ramię. – I nie martw się o pieniądze. Bilety, hotel, zabiegi w spa: ja wszystko stawiam.
  - Jestem do twojej dyspozycji – rzekła Jule.

 PIERWSZY TYDZIEŃ WRZEŚNIA 2016  
 MENEMSHA, MARTHA'S VINEYARD W STANIE  
MASSACHUSETTS

Dwa dni przed śmiercią Scott czyścił właśnie basen, kiedy Jule wróciła ze swojego porannego biegu. Nie miał na sobie koszulki. Spodnie wisiały mu nisko na biodrach. Wyławiał liście z wody.

Przywitał się radosnym tonem z Jule, kiedy go mijiała. Immie i Forrest jeszcze nie wstali. Wynajęty przez Brooke samochód zniknął z podjazdu. Jule sięgnęła po ubrania, które wcześniej wyłożyła, i powiesiła je na wieszaku obok zewnętrznego prysznica. A potem weszła do środka.

Umyła się, ogoliła nogi i cały czas myślała o Scotcie. Był bardzo, bardzo przystojny. Zastanawiała się, jak trenuje najszerszy grzbietu i dlaczego odbiera pieniądze w gotówce. Jak to się stało, że zajmował się czyszczeniem toalet i koszeniem trawników? Wyglądał i mówił jak wielki biały bohater kina akcji, który właśnie wyszedł z ekranu. Mógłby pewnie zdobyć wszystko, co by zechciał, nawet się bardzo nie trudząc. Nic go nie ograniczało, a jednak skończył jako sprzątac.

Może to lubił. Ale może nie.

Kiedy zakręciła wodę, usłyszała, że Scott i Imogen rozmawiają na tarasie.

- Musisz mi pomóc – powiedział cicho.
- Nie, właściwie to nie muszę.
- Proszę.
- Nie mogę się w to mieszać.
- Nie będziesz w to w żaden sposób zamieszana, Imogen. Zwracam się z tym do ciebie, bo ci ufam.

Immie westchnęła.

– Zwróciłeś się z tym do mnie, bo mam dużo zer na koncie.

– Nie w tym rzecz. Łączy nas coś wyjątkowego.

– Co proszę?

– Te wszystkie popołudnia u mnie. O nic cię nie prosiłem.

Przychodziłaś, bo miałaś na to ochotę.

– Od tygodnia u ciebie nie byłam.

– Tęsknię za tobą.

– Nie spłacę twojego długu – oznajmiła stanowczo Imogen.

– Potrzebuję tylko pożyczki. Żeby jakoś przetrwać. Żeby ci goście się ode mnie odczepili.

– To zły pomysł – powiedziała Imogen. – Powinieneś iść do banku. Albo pożyczyć na kartę kredytową.

– Nie mam karty kredytowej. Ci kolesie nie żartują. Zostawili mi wiadomość w samochodzie i...

– Trzeba było nie bawić się w hazard – odparowała Immie. – Myślałam, że jesteś mądrzejszy.

– Nie możesz mi zapłacić z góry tyle, żebym mógł spłacić dług? Wtedy nie będziesz musiała mnie więcej oglądać. Odpracuję kasę i zniknę, obiecuję.

– Minutę temu gadałeś o tym, jak to łączy nas coś wyjątkowego. A teraz nagle zarzekasz się, że znikniesz?

– Jestem splukany – mówił błagalnym tonem Scott. – Mam w tej chwili pięć dolców w portfelu.

– A co z twoją rodziną?

– Ojciec zmył się dawno temu. Mama zachorowała na raka, kiedy miałem siedemnaście lat. Nie mam nikogo.

Immie milczała przez chwilę.

– Przykro mi. Nie wiedziałam o tym.

– Proszę, Immie. Moja muffinko.

– Nie zaczynaj. Forrest jest na górze.

– Jeśli mi pomożesz, mogę odejść bez słowa.

– Czy ty mi grozisz?

– Ja tylko proszę przyjaciółkę o pomoc przy spłacie długu, to wszystko. Dziesięć tysięcy dolarów to nic dla kogoś takiego jak ty.

– Dlaczego w ogóle wisisz komuś tyle pieniędzy? Co to były

za zakłady?

- Walki psów – mruknął niewyraźnie Scott.
  - No nie. – Immie była wyraźnie zszokowana.
  - Miałem dobrego psa.
  - Walki psów to krwawy sport. To przestępstwo.
  - Wiedziałem o takiej jednej suczce. Biedna przybłąda. I znam też gościa, który czasami ogarniał walki. Miał kilka pitbulli. To nie było, wiesz, zorganizowane.
  - Skoro były walki, były organizowane. Prawo tego zakazuje. To okrucieństwo.
  - Ta suka lubiła walczyć.
  - Nie mów tak. Po prostu nie mów. Gdyby ktoś ją adoptował i był dla niej dobry, miałyby...
  - Nie widziałas tego psa – powiedział Scott, rozdrażniony. – Tak czy inaczej, wystawiłem ją do walki i przegrała, okej? Przerwałem, zanim naprawdę ucierpiała, bo właściciel psa ma takie prawo, a ona... Walka okazała się czymś innym, niż się spodziewałem.
- Jule trwała w bezruchu, chroniona przez ścianę zewnętrznego prysznicza. Bała się choć drgnąć.
- To oznaczało, że przeze mnie pieniądze stracili wszyscy, którzy postawili na sukę – ciągnął dalej Scott. – Powiedzieli, że powinienem być pozwolić jej walczyć aż do śmierci. Ja upierałem się, że przecież miałem takie prawo jako właściciel. A oni do mnie, że nikt z tego prawa nie korzysta, bo wtedy wszyscy, którzy postawili na psa, zostają wyrolowani. – Teraz płakał. – I chcę odzyskać swoje pieniądze. Koleś, który zorganizował walkę, chce też odzyskać swoją inwestycję. Twierdzi, że ludzie narzekali, że zniszczyłem mu biznes, wystawiając psa, będąc... Boję się, Imogen. Nie wiem, jak to wszystko naprawić bez twojej pomocy.
  - Pozwól, że w kilku prostych słowach wytłumaczę ci twoją sytuację – powiedziała powoli Imogen. – Jesteś *moim sprzątaczem, moim czyszcicielem basenu, moim ogrodnikiem*. Pracujesz tutaj i robisz to sumiennie. Miło było się z tobą spotkać od czasu do czasu. Nie oznacza to jednak, że jestem w jakikolwiek sposób zobligowana do tego, by ci pomóc, skoro zrobiłeś coś nielegalnego i niemoralnego tej biednej, bezbronnej psinie.
- Jule zaczęła się pocić.



Ten ton, z jakim Imogen wymawiała te słowa – moim sprzątaczem, moim czyścicielem basenu, moim ogrodnikiem. Był lodowaty. Jule jeszcze nigdy nie słyszała, by Immie zwracała się do kogoś z taką pogardą.

– Czyli mi nie pomożesz? – zapytał jeszcze Scott.

– Ledwo się znamy.

– Daj spokój, bywały tygodnie, że przychodziłaś do mnie codziennie!

– Ale nie wiedziałam wtedy, że lubisz patrzeć, jak psy rozdzierają się nawzajem zębami w walce na śmierć i życie. Nie wiedziałam, że jesteś hazardzistą. Nie miałam pojęcia, że jesteś tak głupi i okrutny, bo jesteś dla mnie tylko gościem, który sprząta mi dom. Myślę, że powinieneś już iść. Mogę znaleźć kogoś innego do mycia podłogi.

Immie okłamywała Forresta. I Jule. Zmyślała, opowiadając o tym, co robiła popołudniami. Zmyślała, tłumacząc, dlaczego wraca do domu z mokrymi włosami, dlaczego jest zmęczona, skąd wzięła zakupy. Kłamała, mówiąc, że grała w tenisa z Brooke.

Brooke. Brooke musiała wiedzieć o Scotcie. Razem z Imogen często wracały z raketami i butelkami wody w rękach, rozprawiając o meczu, chociaż prawdopodobnie w ogóle nie grały.

Scott odszedł bez słowa. Chwilę później Immie uderzyła pięścią w drzwi prysznic.

– Widzę twoje stopy.

Jule wydała zduszony okrzyk.

– Dlaczego podsłuchujesz czyjeś rozmowy? – warknęła Immie.

Jule owinęła się ciasniej ręcznikiem i otworzyła drzwi.

– Właśnie się wycierałam, kiedy wyszliście na zewnątrz. Nie wiedziałam, co robić.

– Zawsze się gdzieś czaisz. Szpiegujesz. Nikt tego nie lubi.

– Rozumiem. A mogę się teraz ubrać?

Imogen odeszła.

Jule chciała ruszyć jej śladem i spoliczkować z całej siły jej fałszywą, piękną twarz.

Chciała poczuć, że ma siłę, że słuszność jest po jej stronie. Zamiast tego czuła się zdradzona i zawstydzona.

Jednak będzie musiała spalić ten gniew w inny sposób.

Chwyciła swój strój kąpielowy i gogle, które wisały w kabinie. Weszła do basenu i przepłynęła kilka długości.

Pierwszy kilometr. Drugi. Pływała tak długo, aż jej ręce zaczęły się trząść.

Wreszcie rzuciła się na ręcznik leżący na drewnianej podłodze tarasu. Odwróciła twarz do słońca i nie czuła już nic prócz zmęczenia.

Imogen wyszła z domu jakiś czas później. Niosła miseczkę ciepłych muffinek z kawałkami czekolady.

- Dopiero co upiekłam – powiedziała. – W ramach przeprosin.
- Nie masz za co przepraszać – odparła Jule, nie ruszając się.
- Byłam dla ciebie strasznie niemiła. I okłamywałam cię.
- Jakby mnie to obchodziło.
- Właśnie, że cię obchodzi.

Jule milczała.

– Wiem, że cię obchodzi, bułeczko. Nie powinno być między nami kłamstw. Rozumiesz mnie o wiele lepiej niż Forrest. Albo Brooke.

– To pewnie prawda. – Jule nie potrafiła się powstrzymać. Uśmiechnęła się.

– Masz prawo się wściekać. Źle zrobiłam. Wiem.

– To też pewnie prawda.

– Myślę, że to wszystko było po to, by odsunąć się od Forresta. Robię tak, kiedy mam dosyć jakiegoś faceta. Zdradzam go. Przepraszam, że ci nie powiedziałam. Naprawdę nie jestem z siebie dumna.

Imogen postawiła muffinki obok ramienia Jule. Położyła się na tarasie. Ich ciała leżały równolegle do siebie.

– Chciałabym poczuć się gdzieś jak w domu, ale chcę też uciec – ciągnęła dalej Immie. – Chcę być blisko ludzi, ale chcę też ich odepchnąć. Chcę kochać, ale wybieram facetów, których chyba nawet nie lubię. A może kocham ich i wszystko psuję, może robię to celowo. Nie wiem nawet, co jest prawdą. Czy to nie porąbane?

– Tylko trochę – odparła Jule ze śmiechem. – Ale nie jakoś bardzo. W skali od jednego do dziesięciu stawiam na siedem.

Przez chwilę leżały w milczeniu.

– Ale siedem w skali do dziesięciu to pewnie zupełna normalność – dodała Jule.

– Czy mogę kupić twoje wybaczenie muffinkami, ładnie proszę?

Jule wzięła ciastko i ugryzła.

– Scott jest śliczny – powiedziała, przełknąwszy kęs. – Miałaś zostawić takiego kolesia w spokoju i patrzeć, jak czyści basen? Nie ma mowy. Jestem pewna, że istnieje prawo, które nakazywało ci go uwieść.

Imogen jęknęła.

– Dlaczego musiał być taki seksowny? – Złapała Jule za rękę. – Byłam jędzą. Wybaczysz mi?

– Jak zawsze.

– Jesteś słodsza niż miód, mój ptysiu. Chodź ze mną do sklepu, teraz! – Powiedziała to tak, jakby pójście do sklepu miało być niesamowitą przygodą.

– Jestem zmęczona. Niech Brooke idzie.


– Ale ja nie chcę Brooke.

Jule wstała.

– Nie mów Forrestowi, że wychodzimy – rzuciła Immie.

– Nie powiem.

– Oczywiście, że nie powiesz. – Imogen posłała jej uśmiech. – Wiem, że mogę na ciebie liczyć. Nic mu nie powiesz, nic a nic.

 KONIEC CZERWCA 2016  
 MARTHA'S VINEYARD W STANIE MASSACHUSETTS

Dziesięć tygodni przed tym, jak Immie upiekła muffinki, Jule znalazła się na Moshup Beach bez ręcznika czy stroju kąpielowego. Słońce prażyło, było gorąco. Po długim marszu z parkingu dotarła wreszcie nad wodę. Górowały nad nią duże gliniane klify w kolorach czekolady, perły i rdzy. Popękana glina była miękka w dotyku.

Jule zdjęła buty i stanęła tak, że palce jej stóp zamoczyły się w wodzie. Jakies pięćdziesiąt metrów dalej siedziała Imogen z przyjaciółmi. Nie mieli leżaków, ale chłopak wypakował z torby bawełniany koc, ręczniki, czasopisma i małą przenośną lodówkę.

Rzucili ubrania na piasek, nasmarowali się kremem do opalania i napili się z puszek wyjętych z lodówki. Imogen położyła się na kocu, żeby poczytać. Chłopak zebrał kamienie i poukładał je w stos, żeby stworzyć szczegółową rzeźbę w piasku.

Jule ruszyła w ich stronę.

– Immie, to ty? – zawołała z kilku metrów.

Imogen nie odwróciła się, ale chłopak trącił ją w ramię.

– Ta dziewczyna chyba mówi do ciebie.

– Imogen Sokoloff, prawda? – zapytała Jule, stając tuż przed nimi. – To ja, Jule West Williams. Pamiętasz mnie?

Imogen usiadła i popatrzyła na nią, mrużąc oczy. Poszukała w torbie okularów przeciwsłonecznych i założyła je.

– Chodziłyśmy razem do szkoły – ciągnęła dalej Jule. – Do Greenbriar.

Jule pomyślała, że cudownie patrzy się na Imogen. Długa szyja, wysokie kości policzkowe. Skóra muśnięta słońcem. Niestety

miała chudziutkie, słabe ramiona.

– Naprawdę? – zapytała.

– Tylko przez część pierwszej klasy. Potem się przeniosłam – powiedziała Jule. – Ale pamiętam cię.

– Przepraszam, możesz powtórzyć swoje imię?

– Jule West Williams – powiedziała Jule, a kiedy Imogen zmarszczyła brwi, zaraz dodała: – Byłam klasę niżej od ciebie.

Immie uśmiechnęła się.

– W takim razie miło cię znowu poznać, Jule. To jest mój chłopak, Forrest.

Jule stała, czując się niezręcznie. Forrest właśnie wiązał swoje długie włosy w koczek. Obok niego leżał egzemplarz „New Yorkera”.

– Chcesz się czegoś napić? – zapytał z zaskakującą serdecznością.

– Dzięki. – Jule uklękła na krawędzi koca i przyjęła puszkę dietetycznej coli.

– Wyglądasz, jakbyś się gdzieś wybierała – stwierdziła Imogen. – Z tą torbą i butami w rękach.

– Och, ja tylko...

– Nie masz rzeczy na plażę?

Jule pomyślała o najkorzystniejszej rzeczy, jaką mogłaby teraz powiedzieć, i okazała się prawdą.

– Przyszłam tutaj pod wpływem impulsu. Czasami tak robię. Nie planowałam wyjścia na plażę.

– Mam w torbie zapasowy strój kąpielowy – odparła Imogen z nagłym ciepłem. – Chcesz popływać z nami? Jest mi tak zarąbiście gorąco, że jeśli zaraz nie wejdę do wody, padnę tutaj z przegrzania i Forrest będzie musiał mnie nieść całą tę długą drogę do domu. – Zmierzyła wzrokiem chude ciało Forresta. – Nie wiem, czy da sobie radę. To chcesz popływać?

Jule uniosła brwi.

– Bardzo chętnie.

Imogen wyciągnęła z torby bikini i podała je Jule. Strój był biały i prosty.

– Wsuń pod spódnicę i spotkamy się w wodzie.

Razem z Forrestem pobiegli do morza, śmiejąc się w głos.

Jule po raz pierwszy założyła na siebie ubranie Imogen.

W stroju Immie wskoczyła w fale i wypłynęła niezwykle szczęśliwa. Woda błyszczała odbitymi promieniami słońca i Jule czuła, że w taki dzień nie można robić nic innego jak być wdzięcznym za szansę kąpania się w słonej wodzie i wyglądania na horyzont. Forrest i Immie nie mówili zbyt wiele, bawiąc się, krzycząc i śmiejąc. Kiedy poczuli zmęczenie, stanęli na palcach w miejscu, gdzie łamały się fale, podskakując lekko i ciesząc się tym, że unosili się i opadali w wodzie.

– O, teraz idzie duża.

– Nie, zobacz, następna jest większa. Widzisz?

– O cholera, prawie umarłem, ale było super.

Kiedy zaczęli się trząść i posinieli, wrócili na koc Imogen, a Jule znalazła się na samym środku. Forrest leżał po jednej strony, owinięty w ręcznik o żeglarskim wzorze, a Imogen z drugiej, z twarzą wystawioną na słońce i wciąż pokryta kroplami wody.

– Dokąd się przeniosłaś z Greenbriar? – zapytała Imogen.

– Po tym, jak mnie wyrzucili – powiedziała Jule – razem z ciotką wyjechałyśmy z Nowego Jorku.

– Nie gadaj, że cię wyrzucili – rzuciła radośnie Imogen. Forrest odłożył czasopismo.

– Och, oczywiście, że wyrzucili. – Teraz zainteresowała ich oboje.

– Za prostytutkę – wyjaśniła.

Oczy Imogen zmatowiały.

– Żartowałam.

Imogen zaczęła się śmiać, cicho i powoli, zakrywając dłonią usta.

– Tina jakaś tam ciągle mi dokuczała i groziła w szatni – tłumaczyła Jule. – Wreszcie walnęłam jej głową w ceglany mur. Musieli ją zszywać.

– To była ta z kręconymi włosami? Ta wysoka? – zapytała Imogen.

– Nie. Ta niższa, która ciągle za nią łąziła.

– Nie pamiętam jej.

– Może to lepiej.

– I uderzyłaś jej głową o ścianę?

– Jestem zadymiarą. Można to nazwać talentem.

– Zadymiarą? – zdziwił się Forrest.

– Jestem waleczna – wyjaśniła Jule. – Nie robię tego dla zabawy, ale... No wiesz. W samoobronie. Zwalczam zło. Bronię Gotham City.

– Nie wierzę, że nigdy nie słyszałam o tej sprawie. Wysłałaś dziewczynę do szpitala.

– Trzymali to w tajemnicy. Tina nie chciała o tym mówić ze względu na to, co zrobiła mi *zanim* jej przeszkodziłam, wiesz? No i to był czarny pijar dla Greenbriar. Bijące się dziewczyny. To było tuż przed koncertem zimowym. Kiedy przyszli wszyscy rodzice. Pozwolili mi zaśpiewać, a potem mnie wyrzucili. Pamiętasz? Caraway śpiewała solówkę.

– O tak, pamiętam. Peyton Caraway.

– Śpiewałyśmy piosenkę Gershwina.

– I „Rudolpha” – powiedziała Imogen. – Byłyśmy już za stare, żeby śpiewać „Rudolpha”. Absurd.

– Miałaś na sobie niebieską aksamitną sukienkę ze strzałkami z przodu.

Imogen zakryła dłonią oczy.

– Nie wierzę, że pamiętasz tę sukienkę! Matka zawsze każe mi zakładać takie rzeczy w czasie świąt, a przecież nawet nie obchodzimy Bożego Narodzenia. Jakby przebierała mnie za amerykańską laleczkę.

Forrest trącił Jule w ramię.

– Czyli zaczynasz na jesieni college, prawda?

– Właściwie to skończyłam szkołę średnią wcześniej. Więc już mam rok za sobą.

– Gdzie?

– W Stanford.

– Znasz Ellie Thornberry? – zapytała Imogen. – Ona też się tam uczy.

– Nie wydaje mi się.

– A Walkera D’Angelo? – zapytał Forrest. – Właśnie kończy historię sztuki.

– Forrest ma już college za sobą – powiedziała Imogen. – Ale dla mnie to było prawdziwe piekło, więc już dałam sobie spokój.

– Tak naprawdę nie próbowałaś – rzucił Forrest.

– Jakbym słyszała ojca.



- Och, biedactwo.
- Immie założyła okulary.
- Forrest pisze powieść.
- Jaką? – zapytała Jule.
- Trochę Samuela Becketta, trochę Huntera S. Thompsona.
- Jestem też wielkim fanem Pynchona, więc na pewno mnie zainspirował.
- Powodzenia, przyda ci się – powiedziała Jule.
- No, proszę, faktycznie jest zadziorna – stwierdził Forrest. – Chyba ją lubię, wiesz?
- On lubi wredne laski – wyjaśniła Imogen. – To jedna z jego niewielu uroczych cech.
- A my go lubimy? – zapytała ją Jule.
- Tolerujemy go, bo jest przystojny – odparła Immie.

Uznali, że są głodni, więc poszli na Aquinah, gdzie znajdowało się kilka budek z przekąskami. Forrest zamówił trzy porcje frytek.

Immie uśmiechnęła się szeroko do obsługującego ich mężczyzny i powiedziała:

– Będzie się pan ze mnie śmiał, ale potrzebuję aż czterech plasterków cytryny do mojego Snapple. Mam świra na punkcie cytryny. Mogłby być pan tak miły?

– Cytryny? – zapytał.

– Cztery plasterki – powtórzyła. Oparła ręce na kontuarze i pochyliła się do przodu, przystawiając bliżej twarz.

– Oczywiście – odparł.

– Śmieje się pan z mojej cytryny.

– Wcale się nie śmieję.

– Śmieje się pan w duchu.

– Nie. – Zdażył już pokroić cytrynę i teraz podał ją Immie w czerwono-białym papierowym kubeczku.

– W takim razie dziękuję za poważne potraktowanie mojej cytryny – powiedziała Imogen. Sięgnęła po jeden z plasterków i włożyła do ust, a potem ugryzła, żeby wycisnąć sok. Nie wyjmując cytryny, dodała: – Dla cytryn szacunek jest bardzo ważny. Dzięki temu czują się wartościowe.

Usiedli przy stole piknikowym. Z jednej strony było widać parking, z drugiej morze. Ludzie puszczali latawce na parkingu. Dzień był bardzo wietrzny. Stół okazał się już wysłużony i nierówny. Imogen zjadła jedną czy dwie frytki, a potem wyciągnęła z torebki banana i zjadła go łyżeczką.

– Jesteś na wyspie sama? – zapytała, zwracając się do Jule.

Forrest rozłożył „New Yorkera”. Odwrócił się nieco w drugą stronę.

Jule pokiwała głową.

– Tak. Rzuciłam Stanford. – Opowiedziała historię o zboczonem

trenerze i utracie stypendium. – Nie chcę wracać do domu. Nie dogaduję się z ciotką.

Immie pochyliła się do przodu.

– To z nią mieszkasz?

– Nie, mam już dość rodziny.

Forrest zaśmiał się pod nosem.

– Imogen też.

– Ależ oczywiście, że nie.

– Ależ oczywiście, że tak.

Jule popatrzyła Imogen w oczy.

– W takim razie to nas łączy.

– Najwyraźniej. – Immie wyrzuciła skórkę od banana do śmieci. – Słuchaj, chodź z nami do domu. Możemy popływać w basenie, zjemy razem obiad. Przyjdzie paru letników, nowi znajomi, którzy przyjechali na wyspę tylko na kilka tygodni. Będziemy jeść steki z grilla. To niedaleko, w Menemsha. Nie uwierzysz, jaki mamy olbrzymi dom.

Odpowiedź brzmiała „tak”, ale Jule zawahała się.

Imogen usiadła bliżej niej i ustawiły równo stopy.

– Chodź, będzie fajnie – zachęcała. – Od dawna nie miałam prawdziwej babskiej rozmowy.

Dom w Menemsha miał sufity tak wysokie i okna tak szerokie, że każda codzienna czynność wydawała się mieć dodatkową przestrzeń i światło. Drinki miały więcej bąbelków i były zimniejsze niż jakiegokolwiek inne.

Jule, Forrest i Immie pomoczyli się w basenie, a potem umyli się w prysznicu na świeżym powietrzu. Letnicy przyszli na obiad, ale Jule już widziała, że jest traktowana inaczej, ponieważ Imogen zawołała ją, by popatrzyła na steki, a do tego siadała u jej stóp na tarasie. Kiedy inni znajomi wsiadali do samochodu, Jule usłyszała, że może zostać na noc i spać w jednym z pokoi dla gości. Tamci zaproponowali, że podwiozą ją do hotelu, po ciemnych już wtedy drogach.

Odmówiła.

Immie zaprowadziła Jule do pokoju na piętrze. W środku znajdowało się ogromne łóżko, w oknach wisiały powłóczyste zasłony, a w kącie – co dziwne – stał zabytkowy koń na biegunach i duże drewniane biurko z kolekcją starych wiatrowskazów. Jule spała głębokim snem, jaki nadchodzi po długim dniu na słońcu.

Następnego dnia Forrest z nadąsaną miną zawiózł ją do hotelu, żeby zabrała swoje rzeczy. Kiedy Jule wróciła do domu z walizką, zobaczyła, że Immie wstawiła jej do pokoju cztery wazony pełne kwiatów. Cztery. Zostawiła też książki na szafce nocnej: „Targowisko próżności” Thackeraya i „Wielkie nadzieje” Dickensa, a do tego przewodnik po Martha’s Vineyard.

W ten sposób zaczął się okres, w którym dni nie różniły się zbyt od siebie. Znajomi Immie, tymczasowi przyjaciele poznawani na plaży albo pchlim targu, zmieniali się co tydzień. Pływali w basenie, pomagali przy gotowaniu, śmiali się histerycznie, łapiąc się za brzuchy. Wszyscy byli młodzi: przystojni, zniewieściali chłopcy i piękne, hałaśliwe dziewczęta.

Większość z nich to zabawni, gadatliwi słabeusze, którzy studiowali sztukę, kończyli college i lubili pić alkohol. Różniło ich pochodzenie i orientacja seksualna. Imogen była typowym dzieckiem Nowego Jorku: tolerancyjna tak, jak Jule widziała tylko w telewizji, najwyraźniej całkowicie przekonana o własnej atrakcyjności jako przyjaciółka i gospodyni.

Jule potrzebowała dnia czy dwóch, żeby się przyzwyczaić, ale w końcu poczuła się komfortowo. Oczarowywała letników opowieściami o Greenbriar, Stanfordzie, a także, w mniejszym stopniu, Chicago. Spierała się z nimi radośnie, kiedy chcieli się spierać. Flirtowała z nimi, zapominała ich imion i dawała im znać, że zapomniała ich imiona, ponieważ to zapominanie sprawiało, że podziwiali ją jeszcze bardziej. Z początku wysyłała Patti Sokoloff zdjęcia i pisała wylewne, pełne nadziei e-maile, ale nie minęło wiele czasu i zaczęła ignorować ją tak samo jak Imogen.

Immie sprawiała, że Jule czuła się chciana. Wynikająca z tego radość wypełniała jej dni.

Pewnego dnia, mniej więcej po dwóch tygodniach, Jule po raz pierwszy została w domu sama. Forrest i Immie poszli na randkę, bo Immie chciała sprawdzić nową restaurację.

Jule zjadła resztki z obiadu przed telewizorem, a potem poszła na górę. Stała przed drzwiami do pokoju Immie, zaglądając do środka.

Łóżko zostało pościelone. Na stoliku znajdowały się książki, słoik kremu do rąk, etui na okulary Forresta i pusta ładowarka do telefonu. Jule weszła do środka i otworzyła flakonik perfum, spryskała się trochę i potarła nadgarstki.

W szafie wisiała sukienka, w której często chodziła Imogen. Była to ciemnozielona sukienka maxi z cienkiej bawełny i głębokim dekoltem w serek, który uniemożliwiał noszenie stanika. Immie miała płaski biust, więc nie miało to większego znaczenia.

Bez zastanowienia zdjęła spodenki do biegania i wyblakły, zniszczony T-shirt ze Stanford. A potem biustonosz.

Założyła sukienkę Immie przez głowę. Znalazła sandały. Kolekcja pierścionków Immie, wszystkie osiem w zwierzęcych kształtach, leżała na toalecie.

Przy jednej ze ścian stało wysokie lustro w szerokiej, srebrnej ramie. Jule odwróciła się i popatrzyła na swoje odbicie. Włosy miała zebrane w kucyk, lecz poza tym w przytłumionym świetle pokoju wyglądała jak Imogen. Prawie.

Czyli tak to jest. Tak to jest siedzieć na łóżku Imogen. Nosić jej zapach i jej pierścionki.

Immie leżała w tej pościeli w nocy, obok Forresta, ale on nie był niezastąpiony. Immie nakładała ten krem na dłonie, zostawiała w książce tę zakładkę. Rankiem otwierała oczy i widziała te niebiesko-zielone zasłony i ten obraz morza. Właśnie tak się czuła, wiedząc, że ten ogromny dom należał do niej, że nie musi się martwić o pieniądze i przetrwanie, że Gil i Patti ją kochają.

Tak to jest tak łatwo wyglądać tak pięknie.

– Co ty wyprawiasz?

Immie stanęła w progu. Miała na sobie dzinsowe szorty i bluzę z kapturem swojego chłopaka. Na jej ustach błyszczała czerwona szminka, której zazwyczaj nie nosiła. W oczach Jule nie przypominała Imogen.

Jule zalała fala wstydu, mimo to uśmiechnęła się.

– Pomyślałam, że nie będziesz miała nic przeciwko – powiedziała.

– Potrzebowałam sukienki. Zadzwoił taki jeden koleś, dosłownie w ostatniej chwili.

– Jaki koleś?

– Ten z Oak Bluffs, z którym gadałam na karuzeli.

– Kiedy to było?

– Właśnie do mnie napisał, że chce się ze mną spotkać w ogrodzie z rzeźbami za pół godziny.

– Nieważne – rzuciła Immie. – Czy mogłabyś zdjąć moje ubrania?

Jule zrobiła się cała czerwona.

– Myślałam, że nie będziesz miała nic przeciwko.

– Przebierzesz się w końcu?

Jule ściągnęła górę sukienki i sięgnęła po leżący na podłodze biustonosz.

– Czy ja dobrze widzę, że założyłaś też moje pierścionki?

– Tak. – Nie było sensu zaprzeczać.

– Dlaczego ubrałaś się w moje ciuchy?

Jule zdjęła do końca sukienkę i powiesiła ją z powrotem w szafie. Założyła resztę swoich ubrań i odłożyła pierścionki na toaletkę.

– Nie wydaje mi się, żeby jakiś facet czekał na ciebie w ogrodzie – oznajmiła Immie.

– Myśl, co chcesz.

– Co się dzieje?

– Przepraszam, że pożyczyłam twoje rzeczy, i nie zrobię tego więcej. Okej?

– Okej. – Imogen patrzyła, jak Jule stawia sandały do szafy i wiąże sznurówki swoich adidasów. – Mam pytanie – powiedziała, kiedy Jule chciała ją wyminąć i wyjść na korytarz.

Jule wciąż miała rumieńce. Nie chciała rozmawiać.

– Nie odchodź – rzuciła za nią Immie. – Odpowiedz mi na jedno pytanie, dobra?

– Jakie?

– Czy ty jesteś spłukana?

Tak. Nie. Tak. Jule nie cierpiała tego, jaka się poczuła bezbronna przez to pytanie.

– Kompletnie – przyznała w końcu. – Jestem kompletnie spłukana.

Immie zakryła usta dłonią.

– Nie miałam pojęcia.

I tak oto Jule odzyskała przewagę.

– Nic nie szkodzi – powiedziała. – Mogę sobie poszukać pracy. To znaczy, powinnam się bardziej postarać.

– A ja powinnam była wcześniej to zauważyć. – Immie usiadła na łóżku. – Wiedziałam, że nie wracasz na Sanford, wspominałaś też o kłótni z ciotką, powinnam była dodać dwa do dwóch. Przecież ciągle chodziłaś w tych samych ciuchach. Nigdy nie robiłaś zakupów. Pozwalałaś za wszystko płacić.

Och. Czyli Jule powinna robić zakupy. Aż do teraz nie zwróciła uwagi na tę zasadę. Jednak wystarczyło, by powiedziała Imogen trzy słowa:

– Nic nie szkodzi.

– A właśnie, że szkodzi, Jule. Naprawdę bardzo cię przepraszam.

– Immie przez chwilę milczała, a potem rzekła: – Myślę, że niesłusznie uznałam pewne rzeczy za oczywiste. I nie dopytałam. Mam chyba zbyt wąskie spojrzenie na życie.

Jule wzruszyła ramionami.

– Masz po prostu szczęście.

– Isaac zawsze mi powtarzał, że brakuje mi perspektywy. Tak czy inaczej, pożycz sobie, co chcesz.

– Teraz mi głupio.

– Niesłusznie. – Immie otworzyła przed nią szafę. Było w niej pełno ubrań. – Mam więcej, niż potrzebuję. – Podeszła znowu do Jule. – Pozwól, że poprawię ci włosy. Kilka wsuwek ci się poluzowało.

Jule miała długie włosy. Zazwyczaj nosiła je zebrane z tyłu.



Teraz pochyliła głowę do przodu, a Immie umieściła wsuwki na właściwych miejscach.

– Powinnaś je ściąć na krótko – powiedziała. – Pasowałoby ci. Może inaczej niż u mnie. Z trochę dłuższą grzywką i bardziej miękko przy uszach.

– Nie.

– Zabiorę cię jutro do mojego fryzjera, jeśli chcesz – nalegała Immie. – Ja stawiam.

Jule pokręciła głową.

– Pozwól, że zrobię coś dla ciebie. Zasłużyłaś.

Następnego dnia w Oak Bluff Jule czuła się lekko bez ciężaru włosów. Miło było oddać się w ręce Immie. Po wizycie u fryzjera pożyczyła jej swój błyszczący. Zabrała ją na lunch w restauracji z widokiem na przystań. Po posiłku weszły do sklepu z biżuterią vintage.

– Chcę zobaczyć najbardziej niezwykły pierścionek, jaki państwo mają na stanie – oznajmiła Immie.

Sprzedawca zajął się poszukiwaniami i zaraz zaprezentował sześć pierścionków na wyłożonej aksamitem tacce. Imogen z nabożeństwem dotknęła ich palcami. Wybrała jodeitowy w kształcie węża, zapłaciła, a potem podała Jule niebieskie pudełeczko.

– Ten jest dla ciebie.

Jule od razu wyciągnęła pierścień ze środka i wsunęła na palec serdeczny prawej dłoni.

– Jestem zbyt młoda, żeby wziąć ślub – powiedziała. – Żebyś sobie nie wyobrażała zbyt wiele.

Immie roześmiała się.

– Kocham cię – oznajmiła swobodnym tonem.

Po raz pierwszy Jule usłyszała z jej ust słowo „kocham”.

Następnego dnia Jule pożyczyła samochód, żeby przywieźć gaz do grilla, który kupili w sklepie po drugiej stronie wyspy. Zrobiła też zakupy spożywcze. Kiedy wróciła, znalazła Imogen i Forresta obściskujących się nago w basenie.

Jule stanęła po drugiej stronie szklanych drzwi i patrzyła.

Wyglądali naprawdę absurdalnie, ocierając się o siebie i podskakując. Długie włosy Forresta były mokre i opadły mu na ramiona. Okulary zostawił na brzegu basenu, a bez nich jego twarz była pusta i mało wyrazista.

Jule wydawało się to niemożliwe. Była pewna, że Imogen nie może naprawdę kochać albo pragnąć Forresta. Stanowił tylko ideę chłopaka, taki wypełniacz. Chociaż nie zdawał sobie z tego sprawy, był tylko tymczasowym człowiekiem, takim samym jak dzieciaki z college'u i studenci sztuki, którzy przychodzili na obiad i znikali bez śladu. Forrest nie słuchał zwierzeń Immie. Nie był ukochanym. Jule nigdy by się nie spodziewała, by Imogen mogła przyciągnąć go do siebie i całować z takim zapalem i taką żądzą, jak teraz. Nie wierzyła, że Imogen mogłaby znaleźć się przy nim tak naga, tak bezbronna.

Wtedy Forrest ją zauważył.

Jule skoczyła do tyłu, spodziewając się, że chłopak krzyknie albo będzie zawstydzony, ale on tylko powiedział do Immie:

– Twoja przyjaciółeczka wróciła. – Jakby mówił o dziecku.

Imogen odwróciła głowę i rzuciła:

– Pa, pa, Jule. Zobaczymy się później.

Jule obróciła się na pięcie i pobiegła na górę.

Zeszła na dół kilka godzin później. Usłyszała podcast grany w kuchni, który Imogen włączała zawsze do gotowania, i znalazła tam gospodynię krojącą właśnie cukinię na grilla.

– Potrzebujesz pomocy? – zapytała Jule.

Czuła się niesamowicie niezręcznie. Fakt, że była świadkiem tamtej sceny, stanowił dla niej torturę. Mógł wszystko zniszczyć.

– Przepraszam za ten pokaz porno – powiedziała Imogen swobodnym tonem. – Pokroisz cebulę?

Jule wzięła warzywo z miski.

– Zaraz po tym, jak kupiła mieszkanie w Londynie – ciągnęła dalej Imogen. – Odwiedziły mnie dwie koleżanki z kursu, które były parą. Dopiero co się przyznały do swojej orientacji, bo po raz pierwszy znalazły się daleko od swoich rodzin, a zatrzymały się u mnie na cały sierpień. Któregoś dnia przyłapałam je na podłodze w kuchni, ale serio, były zupełnie gołe i głośno stękały. Chyba trafiłam na moment kulminacyjny, jeśli wiesz, co mam na myśli. Pomyślałam wtedy: „Dobry Boże, jak mamy teraz spojrzeć sobie w oczy? Jak mamy wyjść razem do pubu i zjeść rybę z frytkami?”. Wydawało mi się to zupełnie niemożliwe i miałam poczucie, że może straciłam dwie niesamowite przyjaciółki tylko dlatego, że weszłam do kuchni w złym momencie. Ale jedna z nich rzuciła tylko: „Sorki za ten pokaz porno” i wszystkie wybuchnęłyśmy śmiechem. I nie było żadnego problemu. Dlatego pomyślałam, że jeśli mi się to kiedyś przydarzy, powiem to samo.

– Masz mieszkanie w Londynie? – Jule patrzyła na cebulę, którą właśnie obierała.

– To była inwestycja – wyjaśniła Immie. – Dość spontaniczna. Byłam w Anglii na kursie letnim. Doradca finansowy zasugerował, że powinnam zainwestować w nieruchomości, a mi bardzo się spodobało tamto miasto. Mieszkanie było chyba pierwszym, które oglądałam, zupełnie bez zastanowienia kupiłam nieruchomość w obcym kraju, ale nie żałuję. Znajduje się w przepięknej okolicy, Saint John’s Wood. – Immie wymówiła to jak *syn džans tud*. – Doskonale się tam bawiłam, urządzając lokum z przyjaciółmi. Potem łaziliśmy po mieście, jak prawdziwi turyści. Tower, zmiana warty, muzeum figur woskowych. Żywiliśmy się herbatnikami. To było jeszcze zanim nauczyłam się gotować. Mogę ci udostępnić to mieszkanie, gdy tylko zechcesz. Teraz w ogóle z niego nie korzystam.

– Powinnyśmy pojechać tam razem – powiedziała Jule.

– Och, na pewno by ci się spodobało. Klucze są tutaj. Możemy

lecieć nawet jutro – odparła Immie, klepiąc torebkę leżącą na blacie. – I może powinniśmy. Wyobrażasz sobie? Tylko ja i ty w Londynie?

Immie uwielbiała ludzi z pasją. Chciała, by kochali tę samą muzykę, podarowane im kwiaty, podziwiane przez nią książki. Chciała, żeby podobał im się zapach przyprawy albo smak nowego gatunku soli. Nie przeszkadzała jej różnica zdań, jednak nie znosiła ludzi apatycznych i niezdecydowanych.

Jule przeczytała dwie książki o sierotach, które Immie zostawiła na jej szafce nocnej, i wszystko inne, co przynosiła do domu. Zapamiętywała etykiety win, serów, fragmenty powieści, przepisy. Była przemiła dla Forresta. Była zadziorna, lecz gotowa go udobruchać, była kobietą feministką, rozgniewana lecz przyjacielska, wygadana lecz nie upierająca się przy swoim.

Zdała sobie sprawę, że stworzyła nową siebie, żeby zadowolić Imogen – tak naprawdę przypominało to bieganie. Zwyczajnie trzeba przeć do przodu, kilometr za kilometrem. W końcu zyskuje odpowiednią wytrzymałość. Pewnego dnia stwierdza się, że bieganie jest cudowne.

Kiedy minęło pięć tygodni odkąd Jule pojawiła się na Vineyard, dom Immie nagle odwiedziła Brooke Lannon. To Jule otworzyła jej drzwi.

Brooke weszła do środka i rzuciła bagaże na kanapę. Jej niebieska flanelowa koszula była stara i wyświechtana, a jedwabiste blond włosy spięte na czubku głowy w koczku.

– Immie, ty ciągle istniejesz, ty jędo – powiedziała, kiedy gospodyni weszła do pokoju dziennego. – Całe Vassar myśli, że nie żyjesz. Nikt mi nie chciał uwierzyć, kiedy powiedziałam, że pisałaś do mnie w zeszłym tygodniu. – Odwróciła się w stronę Forresta. – To ten koleś? Ten, którego...? – Postawiła w powietrzu znak zapytania.

– To jest *Forrest* – odparła z naciskiem Immie.

– Forrest! – rzuciła Brooke, wyciągając do niego rękę. – Dobra, przytulmy się.

Forrest przywitał się z nią niezręcznie.

- Miło cię poznać.
- Mnie zawsze miło poznać – odparła Brooke, a potem pokazała na Jule. – A to kto?
- Nie bądź niemiła – zwróciła jej uwagę Immie.
- Ależ ja jestem przemiła. Kim jesteś? – zapytała Jule.

Jule posłała jej wymuszony uśmiech i przedstawiła się. Nie miała pojęcia o przyjeździe Brooke. Z kolei Brooke najwyraźniej nie miała pojęcia o istnieniu Jule.

- Imogen mówiła, że jesteś jej ulubioną koleżanką Vassar.
- Wszyscy w Vassar mnie uwielbiają. Dlatego musiałam stamtąd odejść. Tam są tylko dwa tysiące ludzi. Potrzebuję większej publiczności.

Zaniosła swoje torby na górę i zadomowiła się w drugim co do wielkości pokoju gościnnym.



KONIEC CZERWCA 2016



MARTHA'S VINEYARD W STANIE MASSACHUSETTS

Pięć tygodni przed przyjazdem Brooke, siódmego dnia swojego pobytu na Martha's Vineyard, Jule zaszalała i wybrała się na przejażdżkę autobusem turystycznym wokół wyspy. Większość pasażerów należała do tego typu ludzi, którzy chcą skreślić kolejne pozycje z listy zaczerpniętej ze strony podróźniczej. Byli w małych, rodzinnych grupach albo parami. Głośno rozmawiali.

Popołudniem znaleźli się przed latarnią Aquinnah, na obszarze, który według przewodnika najpierw zamieszkiwało plemię Wampanoag, a później, w siedemnastym wieku, również brytyjscy koloniści. Przewodnik zaczął opowiadać o polowaniu na wieloryby, podczas gdy wszyscy powoli wytaczali się z autobusu, by popatrzeć na latarnię. Z punktu widokowego dało się też zobaczyć kolorowe gliniane klify plaży Moshup, ale od wody dzielił ich prawie kilometr spaceru w upale.

Jule oddaliła się od punktu widokowego w stronę grupki małych sklepików, gdzie sprzedawano pamiątki, rękodzieło Wampanoag i przekąski. Odwiedzała po kolei każdy niski budynek, leniwie oglądając naszyjniki i kartki pocztowe.

Może powinna na zawsze zostać na Martha's Vineyard. Mogła sobie znaleźć pracę w sklepie albo na siłowni, spędzać dni nad morzem, znaleźć jakieś mieszkanie. Mogłaby zaprzestać prób zrobienia czegoś z sobą, darować sobie wszelkie ambicje. Mogłaby po prostu zaakceptować i docenić to, co jej w tej chwili oferowało życie. Nikt by się nie wtrącał. Wcale nie musi szukać Imogen Sokoloff, jeśli nie chce.

Wychodząc z jednego ze sklepów, Jule zobaczyła przed

budynkiem obok młodego mężczyznę. Niósł dużą płócienną torbę na zakupy. Był mniej więcej w wieku Jule. Nie, trochę starszy. Szczupły, z wąską talią, raczej niezbyt muskularny, ale poruszał się z gracją, do tego miał lekko zakrzywiony nos i ładne rysy twarzy. Brązowe włosy zebrał w koczek. Ubrał się w czarne bawełniane spodnie, które miały tak długie nogawki, że aż się wystrzępiły, a do tego klapki i koszulkę z napisem „Targ rybny Larsena”.

– Nie wiem, dlaczego chcesz tam wchodzić – zawołał do swojego towarzysza lub towarzyszki we wnętrzu sklepu. – Nie ma sensu kupować rzeczy, które do niczego się nie przydają.

Odpowiedź nie nadeszła.

– Immie! Chodźmy na plażę – zawołał.

I oto ona.

Imogen Sokoloff. Włosy miała obcięte na krótko i jaśniejsze niż na zdjęciach, jednak Jule nie mogłaby jej z nikim pomylić. Dziewczyna wyglądała dokładnie jak Imogen.

Wyszła ze sklepu, jakby nigdy nic, jakby Jule nie czekała na nią i nie szukała jej od wielu dni. Wyglądała ślicznie, ale nie tylko – emanowała pełnym spokojem. Jakby to piękno przychodziło jej bez najmniejszego wysiłku.

Jule w pewnym sensie spodziewała się, że Imogen ją rozpozna, jednak to się oczywiście nie stało.

– Jesteś dzisiaj taki marudny – powiedziała do chłopaka. – To nudne.

– Nawet nic nie kupiłaś – odparł tamten. – Chcę iść na plażę.

– Plaża nigdzie nie ucieknie – rzuciła Imogen, grzebiąc w torebce. – A w ogóle to właśnie, że kupiłam.

Chłopak westchnął.

– Co takiego kupiłaś?

– To dla ciebie.

Wyciągnęła papierową paczuszkę i podała mu. Zdjął wstążkę i wyciągnął ze środka plecioną bransoletkę.

Jule myślała, że chłopak będzie zirytowany, ale on uśmiechnął się szeroko. Założył bransoletkę i przycisnął twarz do szyi Imogen.

– Dziękuję, jest idealna.

– To pierdółka, a ty nie lubisz pierdółek.



- Ale lubię prezenty.
- Wiem.
- Chodź, woda powinna być ciepła.

Ruszyli przez parking na ścieżkę prowadzącą na plażę.

Jule odwróciła się w drugą stronę. Przewodnik machał do turystów, pokazując im, że czas wrócić do autobusu. Mieli odjechać za pięć minut.

Nie miała innego sposobu na powrót do hotelu. Bateria w telefonie prawie jej się rozładowała i Jule nie wiedziała, czy będzie mogła wezwać taksówkę w tej części wyspy.

Nieważne. Znalazła Imogen Sokoloff.

Pozwoliła, by autobus odjechał bez niej.

 TRZECI TYDZIEŃ CZERWCA 2016  
 MARTHA'S VINEYARD

Tydzień wcześniej ochroniarz zatrzymał Jule w czasie odprawy na lotnisku.

– Jeśli chce pani zabrać walizkę jako bagaż podręczny, musi pani włożyć kosmetyki do przezroczystej torebki – poinformował ją. Miał kluchowatą szyję i granatowy uniform. – Nie widziała pani oznaczenia? Wszystko musi mieć maksymalnie sto mililitrów.

Strażnik przeglądał właśnie zawartość walizki Jule. Na rękach miał niebieskie lateksowe rękawiczki. Zabrał jej szampon, odżywkę, krem do opalania i balsam do ciała. Wszystko wyrzucił do śmieci.

– Wyślę to jeszcze raz – powiedział, zapinając walizkę. – Powinno być dobrze. Proszę poczekać.

Czekała. Chciała wyglądać jak ktoś, kto wie, jak pakować płyny w podróż lotniczą, ale zwyczajnie zapomniała, niestety jej uszy zrobiły się czerwone. Była zła, że tyle kosmetyków się zmarnowało. Czuała się głupia i niedoświadczona.

W samolocie było ciasno, plastikowe siedzenia lata świetności miały dawno za sobą, jednak Jule i tak cieszyła się lotem. Niebo było bezchmurne, więc z radością wyglądała przez okno na brązowo-zieloną linię wybrzeża.

Jej hotel znajdował się naprzeciwko przystani Oak Bluffs. Był to wiktoriański budynek z białym wykończeniem. Jule zostawiła walizkę w pokoju i przeszła się kilka przecznic do Circuit Avenue. Miasto okazało się pełne turystów i letników. Jule znalazła kilka sklepów z ładnymi ubraniami. Potrzebowała nowych ciuchów; miała ze sobą karty podarunkowe Visa i wiedziała, że nowe stroje

będą na niej dobrze wyglądać, lecz mimo to wahała się.

Obserwowała mijające ją kobiety. Nosiły dżinsy albo krótkie bawełniane spódniczki i sandały. Wszystko w wyblakłych kolorach i granacie. Ich torebki były z materiału, nie skóry. Usta malowały szminkami nude albo różowymi, nigdy czerwonymi. U niektórych widziała białe spodnie i espadryle. Staniki nie wystawały spod koszulek. W uszach nosiły tylko drobne kolczyki.

Jule wyciągnęła swoje koła i schowała do torebki. Wróciła do sklepów, gdzie kupiła parę dżinsów o luźnym kroju, trzy bawełniane bokserki, długi powłóczysty kardigan, espadryle i białą letnią sukienkę. Potem wzięła też płócienną torbę z szarymi kwiatami. Zapłaciła kartą i wybrała gotówkę.

Stojąc na rogu ulicy, Jule przełożyła swoje dokumenty, pieniądze, kosmetyki i telefon do nowej torebki. Zadzwoiła do operatora komórkowego i załatwiła automatyczną spłatę rachunku kartą. Wybrała numer swojej współlokatorki, Lily, i nagrała jej wiadomość z przeprosinami.

Po powrocie z hotelu poszła na trening, umyła się i założyła białą sukienkę. Ułożyła włosy w fale. Musiała znaleźć Imogen, ale to mogło poczekać do następnego dnia.

Poszła do baru z ostrygami z widokiem na przystań i zamówiła kanapkę z homarem. Kiedy ją dostała, okazała się czymś innym, niż się spodziewała. To były tylko kawałki homara oblane majonezem i włożone do bułki do hot dogów. Wyobrażała sobie coś bardziej eleganckiego.

Poprosiła o talerz frytek i zjadła je zamiast homara.

Dziwnie było chodzić przez miasto bez żadnego celu. Jule zawędrowała na karuzelę. Znajdowała się wewnątrz starego budynku pachnącego popcornem. Na tablicy chwalono się, że Latające Konie to „najstarsza karuzela Ameryki”.

Kupiła bilet. W środku nie było tłumów, tylko kilka dzieciaków ze starszym rodzeństwem. Rodzice stali w poczekalni, z nosami w telefonach. Z głośników leciała staromodna muzyka. Jule wybrała konia z brzegu.

Kiedy karuzela ruszyła, Jule zauważyła siedzącego obok niej chłopaka. Był żylasty, z mocno zarysowanymi mięśniami naramiennymi i najszerszym grzbietu. Pewnie uprawiał wspinaczkę, zdecydowanie nie należał do gości ćwiczących z ciężarami. Pochodzenie mieszane, biało-azjatyckie. Miał gęste czarne włosy, trochę za długie. Wyglądał, jakby dużo czasu spędził na słońcu.

– Czuję się teraz jak frajer – powiedział do niej. – To był głupi pomysł. – Mówił z generalnym amerykańskim akcentem.

Jule dopasowała się do niego.

– Dlaczego?

– Niedobrze mi. Od razu mi się zebrało, jak tylko ruszyliśmy. Fuj. A poza tym jestem jedyną osobą na tej karuzeli, która ma więcej niż dziesięć lat.

– Oprócz mnie.  
– Oprócz ciebie. Jechałem na tej karuzeli, kiedy byłem dzieciakiem. Moja rodzina przyjeżdżała tutaj na wakacje. Dzisiaj czekałem prom i miałem godzinę wolnego, więc pomyślałem, co mi szkodzi? Będzie jak za starych czasów. – Podrapał się po czole. – A ty co tu robisz? Masz gdzieś młodszego braciszka albo siostrzyczkę?

Jule pokręciła głową.

– Lubię karuzele.

Wyciągnął do niej rękę.

– Paolo Santos, a ty?

Ścisnęła jego dłoń, niezręcznie, ponieważ ich konie się ruszały.

Ten chłopak opuszczał wyspę. Jule porozmawia z nim minutę albo dwie, a potem nigdy więcej się nie zobaczą. To nie miało zbyt wiele sensu, kierowała się impulsem, ale... skłamała.

– Imogen Sokoloff.

Imię zabrzmiało dobrze w jej ustach. Będzie jej miło przez chwilę czuć się jak Imogen.

– Och, ty jesteś Imogen Sokoloff? – Paolo odchylił głowę do tyłu i roześmiał się, podnosząc brwi. – Mogłem się domyślić. Słyszałem, że jesteś na Vineyard.

– Wiedziałeś, że tu jestem?

– Powiniennem wyjaśnić. Podałem ci fałszywe nazwisko. Bardzo mi przykro, pewnie uznasz mnie za wariata. Tylko nazwisko jest fałszywe. Naprawdę nazywam się Paolo. Jednak nie Santos.

– Och.

– Przepraszam. – Znowu podrapał się po czole. – Wiem, jakie to dziwne, ale myślałem, że będziemy rozmawiać tylko przez kilka minut. Czasami w podróży lubię udawać, że jestem kimś innym.

– To nic złego.

– Nazywam się Paolo Vallarta-Bellstone. Mój ojciec, Stuart, chodził do tej samej szkoły, co twój ojciec. Jestem pewien, że się poznaliście.

Jule podniosła brwi. Słyszała o Stuarcie Bellstonie. Był grubą rybą finansjery, która właśnie została wysłana do więzienia za coś, co dziennikarze nazywają „wielkim skandalem na giełdzie”. Jego zdjęcie pojawiało się we wszystkich wiadomościach dwa miesiące

wcześniej, kiedy skończył się proces.

– Wiele razy grałem w golfa z twoim ojcem i moim – ciągnął dalej Paolo. – Zanim Gil zachorował. Zawsze mówił o tobie. Chodziłaś do Greenbriar, a potem zaczęłaś... w Vassar, prawda?

– Tak, ale odpadłam po pierwszym semestrze – odparła Jule.

– Jak to?

– To długa i nudna historia.

– No powiedz. Odwrócisz moją uwagę od mdłości i nie zwymiotuję na ciebie. Oboje skorzystamy.

– Tata stwierdziłby, że wpadłam w złe towarzystwo i nie wykorzystałam swojego potencjału.

Paolo roześmiał się.

– To w jego stylu. A co ty byś powiedziała?

– Ja bym powiedziała... że chciałam innego życia niż to, które powinnam wieść – odparła powoli Jule. – Przyjazd tutaj jest sposobem, żeby to osiągnąć.

Karuzela zwolniła i zatrzymała się. Zsiedli z koni i wyszli. Paolo zabrał duży plecak z kąta, w którym go schował.

– Masz ochotę na lody? Znam najlepszą lodziarnię na wyspie.

Udali się wspólnie do niewielkiego lokalu. Kłócili się przez chwilę, czy lepszy jest karmel czy krówka, a potem uznali, że najlepiej wziąć jedno i drugie.

– To takie dziwne, że tu jesteś. Czuję się, jakbyśmy już milion razy omal się nie spotkali.

– Skąd wiedziałeś, że będę na Martha's Vineyard?

Paolo włożył sobie do ust solidną porcję lodów.

– Zrobiłaś się trochę sławna, Imogen. Po tym, jak odeszłaś ze szkoły i zniknęłaś, a potem zmaterializowałaś się tutaj. A tak naprawdę, twój tata prosił, żebym do ciebie zadzwonił, kiedy będę na wyspie.

– Żartujesz?

– Wcale nie. Napisał mi e-maila. Widzisz? Dzwoniłem pod twój numer sześć dni temu. – Wyciągnął iPhone'a i pokazał jej rejestr połączeń.

– To trochę chore.

– Nie, wcale nie. Gil po prostu chce wiedzieć, czy jesteś cała. Powiedział, że nie odbierałaś telefonu, rzuciłaś szkołę i pojechałaś

na Vineyard. Poprosił, bym dał mu znać, gdybym cię zobaczył. Chciał, żebym przekazał ci, że będzie miał operację.

– Wiem o operacji. Dopiero co byłam z nim w mieście.

– Czyli cały mój trud na nic – rzucił Paolo, wzruszając ramionami. – Nie pierwszy raz.

Poszli z powrotem na przystań i popatrzyli na łodzie. Paolo opowiadał o swoich podróżach, które miały być ucieczką przed zszarganą reputacją ojca i rozpadem rodziny. Skończył w maju college i zastanawiał się nad studiowaniem medycyny, ale chciał najpierw poznać świat. Zamierzał teraz spędzić jedną noc w Bostonie, a potem wsiąść do samolotu do Madrytu. Razem z przyjacielem mieli przez rok jeździć po świecie – najpierw do Europy, potem Azji, a na końcu Filipin.

Właśnie wpuszczano ludzi na jego prom. Paolo szybko pocałował Jule w usta. Był delikatny i pewny siebie, ale nie natarczywy. Jego usta trochę kleiły się od sosu karmelowego.

Ten pocałunek ją zaskoczył. Nie chciała, żeby ją dotykał. Nie chciała, żeby ktokolwiek ją dotykał. Jednak kiedy pełne, miękkie usta Paolo musnęły usta Jule, spodobało jej się.

Położyła mu dłoń na karku, przyciągnęła go do siebie i pocałowała go jeszcze raz. To przystojny chłopak – pomyślała. Nie próbował jej zdominować i nie śmierdział potem. Nie obmacywał jej i nie brał niczego siłą. Nie patrzył na nią z góry. Nie zasypywał komplementami i nie szpanował złotem. Jego pocałunek był tak delikatny, że musiała się przysunąć, by dobrze go poczuć.

Żałowała, że nie przedstawiła się prawdziwym imieniem.

– Mogę do ciebie zadzwonić? – zapytał. – Jeszcze raz? Nie ze względu na twojego ojca, tym razem.

Nie, nie.

Paolo nie mógł dzwonić na numer Imogen. Jeśli to zrobi, zda sobie sprawę, że to inna Imogen niż ta, którą poznał.

– Lepiej nie – powiedziała Jule.

– Dlaczego? Będę w Madrycie, ale nieważne, gdzie będę, moglibyśmy porozmawiać od czasu do czasu. O krówkach i karmelkach na przykład. Albo o twoim nowym życiu.

– Jestem z kimś związana – odparła, żeby go uciszyć.  
Paolo posmutniał.

– Ach, tak. Oczywiście, że tak. Cóż, tak czy inaczej masz teraz mój numer. Zostawiłem ci jakiś czas temu wiadomość. To ten, co się zaczyna na sześć cztery sześć. Daj mi znać, gdybyś się odzwiązkowiła. Dobra?

– Nie zadzwonię do ciebie – oznajmiła Jule. – Ale dziękuję za lody.

Przez krótką chwilę wydawał się zraniony. Zaraz się jednak uśmiechnął.

– Do zobaczenia, Imogen.

Zarzucił plecak na ramiona i odszedł.

Jule patrzyła, jak prom odpływa od przystani. Potem zdjęła espadryle i zaczęła iść po piasku. Stała stopami w wodzie. Czowała, że Imogen Sokoloff właśnie tak by zrobiła, smakowałaby ten drobny smutek i piękno widoku, trzymając dół pięknej sukienki nad kolanami.



 DRUGI TYDZIEŃ CZERWCA 2016  
 NOWY JORK

Tydzień przed wyjazdem na Martha's Vineyard, Jule stała z Patti Sokoloff na balkonie. Słońce już zaszło. Przed nimi rozciągał się Central Park, ciemny prostokąt otoczony przez miejskie lampy.

– Czuję się jak Spider-Man – wyrwało się Jule. – On też spogląda nocą na miasto.

Patti pokiwała głową. Jej włosy spływały na ramiona dużymi, profesjonalnie wykonanymi falami, miała na sobie długi kardigan, kremową sukienkę i śliczne sandałki na płaskim obcasie. Jej stopy wyglądały staro, a na piętach i palcach przykleiła sobie plasterki.

– Immie umawiała się z takim chłopcem. Przyszedł tutaj na przyjęcie i powiedział mi to samo. No, nie do końca, bo wspomniał Batmana. Ale miał ten sam pomysł.

– Wcale nie są tacy sami.

– Dobra, ale obaj są sierotami – odparła Patti. – Batman bardzo wczesnie stracił rodziców. Podobnie Spider-Man. Mieszka ze swoją ciocią.

– Czyta pani komiksy?

– A w życiu. Ale z sześć razy sprawdzałam esej Immie na college. Dowodziła, że Spider-Man i Batman są spadkobiercami wszystkich sierot z jej ulubionych wiktoriańskich powieści. Immie czyta je z prawdziwą pasją, wiedziałaś o tym? Niektórzy ludzie przedstawiają siebie jako sportowców, wojowników o sprawiedliwość społeczną, artystów. Immie definiuje siebie jako czytelniczkę wiktoriańskich powieści. Nie uczy się najlepiej, ale naprawdę interesuje się literaturą. W swoim eseju rekrutacyjnym

na college napisała, że w tych historiach bycie sierotą stanowi warunek konieczny do zostania bohaterem. Stwierdziła również, że w tych komiksach superbohaterowie nie są zwyczajnymi bohaterami, lecz „skonfliktowanymi postaciami, które dokonują moralnych kompromisów w tej samej tradycji, co sieroty z wiktoriańskich powieści”. Myślę, że to może być dokładny cytat.

– Czytałam komiksy w szkole średniej – powiedziała Jule. – Ale na Stanford nie było na to czasu.

– Gil wychował się na komiksach, ale ja nie. I w zasadzie Immie też nie. Wykorzystała tych superbohaterów tylko do wstępu, żeby pokazać, dlaczego te starsze książki są ważne dla współczesnych czytelników. Większość rzeczy o Batmanie wyciągnęła od tego swojego chłopaka.

Odwróciły się, by wejść do środka. Penthouse Sokoloffów był urządony w nowoczesnym stylu, lecz zavalony książkami, czasopismami i pamiątkami. Podłogi wszędzie wyłożono białym drewnem. W kuchni pracował kucharz, a na stole leżało mnóstwo listów, ulotek, buteleczek po lekach i paczek chusteczek. W salonie główną rolę grały dwie ogromne skórzane kanapy. Obok jednej z nich stało urządzenie do podawania tlenu.

Gil Sokoloff nie wstał, kiedy Patti weszła do pokoju. Był dopiero po pięćdziesiątce, jednak jego usta otaczały zmarszczki bólu, a skóra na szyi wisiała smętnie. Owal twarzy miał ze wschodniej Europy, a do tego gęste, kręcone włosy, już siwe. Był ubrany w spodnie dresowe i szary podkoszulek. Jego policzki i nos znaczyły czerwone pajęczynki pękniętych naczyń. Powoli nachylił się, jakby poruszanie się sprawiało mu ból, a potem uściśnął dłoń Jule i przedstawił jej dwa tłusciutkie białe pieski: Śnieżkę i Bałwana. Zapoznał ją też z trzema kotami Imogen.

Poszli prosto do jadalni na kolację, Gil powłóczył nogami, a Patti szła powoli obok niego. Kucharz poustawiał miski i talerze, a potem zostawił ich samych. Zjedli małe kawałki jagnięciny i risotto z grzybami. Gil w połowie posiłku poprosił o tlen.

Nad deską serów rozmawiali o psach, które były ich nowym nabytkiem.

– Zrujnowały nam życie – powiedziała Patti. – Ciągłe robią kupę. Gil pozwala im to robić na balkonie. Niewiarygodne, prawda?

Wychodzę tam rano i pierwsze, co widzę, to śmierdząca kupa.

– Jęczą, że chcą wyjść, zanim wstaniesz – odparł Gil, nieskruszony. Odsunął maskę tlenową na bok, żeby móc mówić. – Co mam niby zrobić?

– Potem musimy to spryskać wybielaczem. I wszędzie na drewnie zostają jasne plamy – ciągnęła dalej Patti. – Okropieństwo. Ale tak już jest, gdy się kocha zwierzęta. Pozwala się im robić kupę na balkonie.

– Imogen zawsze przyprawiała do domu kocie przybłądy – powiedział Gil. – Gdy była w szkole średniej, co kilka miesięcy mieliśmy nowego kota.

– Niektóre nie przeżyły – dodała Patti. – Znajdywała je na ulicy, miały jakieś kocie zapalenie oskrzeli albo inną chorobę. Umierały smutną maleńką śmiercią, a Immie za każdym razem zalewała się łzami. Potem poszła do Vassar, a my zostaliśmy z nimi sami. – Patti pogłaskała kota, który przechadzał się pod stołem. – Ciągłe rozrabiają i są z tego dumne.

Jako dawna uczennica Greenbriar, Patti podzieliła się historiami ze swojej młodości.

– Musiałyśmy cały rok nosić do mundurków rajstopy albo skarpetki do kolan. A jak przyszło lato, robiło się w nich naprawdę gorąco. To były późne lata siedemdziesiąte, szkoła średnia, a niektóre z nas szły na lekcje bez bielizny tylko po to, by choć trochę sobie ulżyć. Wyobrażasz sobie? Skarpetki do kolan i żadnych majtek! – Poklepała Jule po ramieniu. – Ty i Immie miałyście szczęście, że mundurki się zmieniły. Uczyłaś się muzyki w Greenbriar? Wydawałaś się bardzo zainteresowana Gershwinem.

– Trochę.

– Pamiętasz zimowy koncert?

– Pewnie.

– Oczami wyobraźni widzę was dwie, obok siebie. Byłaś bardzo drobniutka w dziewiątej klasie. Wszystkie śpiewałyście kolędy, a córka Carawayów miała solówkę. Pamiętasz?

– Oczywiście.

– Ozdobili salę balową na Boże Narodzenie, w kącie stała choinka. Mieli też menorę, wiadomo, ale tak naprawdę nic ich nie

obchodziła – ciągnęła swoją opowieść Patti. – O rany, zaraz się rozpłaczę, wspominając Immie w tamtej niebieskiej aksamitnej sukience. Specjalnie na koncert kupiłam jej sukienkę świąteczną, w kolorze królewskiego błękitu ze strzałeczkami z przodu.

– Immie uratowała mnie pierwszego dnia szkoły – powiedziała Jule. – Ktoś mnie potrącił w kolejce w stołówce i oblałam się sosem pomidorowym. Stałam i patrzyłam na śliczne dziewczyny w ich czystych ubraniach. Wszystkie znały się już z wcześniejszych klas. – Historia płynęła gładko. Patti i Gil byli dobrymi słuchaczami. – Jak miałam przysiąc się do kogokolwiek, skoro byłam cała w sosie, jak krwi?

– Oj, biedny ptysiu.

– Wtedy podeszła do mnie Immie. Zabrała mi tacę, przedstawiła mnie wszystkim przyjaciółkom i udawała, że nie widzi całego tego bałaganu na mojej koszulce, więc inni też udawali. I to wystarczyło – powiedziała Jule. – Stała się jedną z moich ulubionych koleżanek, ale po wyprowadzce nie utrzymywałyśmy kontaktu.

Później, w salonie, Gil zasiadł na jednej z kanap, z rurkami od tlenu w nosie. Patti przyniosła gruby album fotograficzny.

– Nie masz nic przeciwko, że pokażę ci kilka zdjęć?

Przejrzały stare fotografie. Jule uważała Imogen za wyjątkowo ładną – drobną i nieco psotną. Miała jasne włosy i dołeczki, z czasem uwydatniły się jej wysokie kości policzkowe. Na wielu zdjęciach pozowała na tle różnych znanych miejsc. Patti wyjaśniała kolejne: „poleciałyśmy do Paryża”, „zwiedziłyśmy farmę” albo „to najstarsza karuzela w Ameryce”. Immie nosiła szerokie spódniczki i legginsy w paski. Na większości fotografii miała długie włosy, nieco nieokiełznane. Na późniejszych widać, że nosi aparat na zębach.

– Nie miała już żadnych adoptowanych koleżanek po tym, jak odeszłaś z Greenbriar – powiedziała Patti. – Zawsze czułam, że zawiedliśmy ją pod tym względem. – Pochyliła się do przodu. – A ty? Przyjaźniłaś się z rodzinami podobnymi do twojej?

Jule wzięła głęboki oddech.

– Niestety nie.

– Czujesz, że twoi rodzice cię zawiedli? – zapytała Patti.

– Tak – odparła Jule. – Moi rodzice mnie zawiedli.  
– Często myślę o tym, że powinnam była inaczej wychować Immie. Bardziej się postarać. Więcej z nią rozmawiać na trudne tematy – ciągnęła dalej Patti, lecz Jule jej nie słuchała.

Rodzice Julietty zmarli, kiedy miała osiem lat. Matka odeszła po długiej i paskudnej chorobie. Krótco po tym ojciec podciął sobie żyły, leżąc nago w wannie.

Juliettę wychował ktoś inny, ciotka, w domu, który nie był domem.

Nie. Nie będzie więcej o tym myśleć. Już usuwa to wspomnienie ze świadomości.

Tworzyła nową historię na swój temat, nową genezę. W tej wersji ktoś wyrócił pokój dzienny do góry nogami. W środku nocy. Tak, właśnie tak. Opowieść nie jest jeszcze dokończona, ale starała się ją dopracować. Widziała swoich rodziców w kręgu światła rzucanego przez lampę uliczną, martwych w trawie, w powiększającej się kałuży krwi.

– Musimy przejść do rzeczy – oznajmił Gil, ze świszczącym oddechem. – Dziewczyna nie ma całego wieczoru.

Patti pokiwała głową.

– Nie wspominałam ci o tym, a to powód, dla którego cię tutaj zaprosiliśmy, że Imogen rzuciła Vassar po pierwszym semestrze.

– Naszym zdaniem wpadła w złe towarzystwo – powiedział Gil. – Nie wykorzystała swojego potencjału.

– Cóż, nigdy nie kochała szkoły – zauważyła Patti. – Nie tak, jak ty kochasz Stanford, Jule. Tak czy inaczej, odeszła z Vassar, nawet nas o tym nie informując. Dopiero po miesiącu się z nami skontaktowała. Bardzo się o nią martwiliśmy.

– Ty się martwiłaś – poprawił ją Gil, nachylając się. – Ja się po prostu rozgniewałem. Imogen jest nieodpowiedzialna. Wyłącza telefon i zapomina włączyć go z powrotem. Nie lubi ani dzwonić, ani pisać.

– Okazało się, że pojechała na Martha's Vineyard – powiedziała Patti. – Kiedyś wypoczywaliśmy tam wielokrotnie całą rodziną i najwyraźniej właśnie tam uciekła. Podobno wynajęła sobie dom, ale nie podała nam adresu, a nawet nazwy miejscowości.

– Dlaczego tam nie pojedziecie? – zapytała Jule.

- Ja nie mogę się ruszać z miasta – wyjaśnił Gil.
- Co drugi dzień musi jeździć na dializę. To wykańczające. Do tego ciągle ma jakieś zabiegi.
- Niedługo wypadną mi wszystkie wnętrzności. Będę je nosił ze sobą w reklamówce.
- Patti pochyliła się i pocałowała go w policzek.
- Dlatego przyszło nam do głowy, że może ty byś tam pojechała, Jule. Na Martha's Vineyard. Rozważaliśmy, czy nie wynająć detektywa...
- Ty to rozważałaś – raz jeszcze poprawił ją Gil. – Ja uważam to za absurdalny pomysł.
- Rozmawialiśmy z niektórymi jej przyjaciółmi z college'u, jednak nie chcieli się mieszać.
- Co miałabym zrobić? – zapytała Jule.
- Upewnić się, że jest cała i zdrowa. Nie mów, że my cię wysłaliśmy, ale pisz do nas, żebyśmy wiedzieli, co się dzieje – wyjaśniła Patti. – Postaraj się przekonać ją, by wróciła do domu.
- Nie pracujesz w te wakacje, prawda? – zapytał Gil. – Nie masz stażu ani nic z tych rzeczy?
- Nie – odparła Jule. – Nie mam w tej chwili pracy.
- Oczywiście pokryjemy koszty podróży na wyspę. Możemy wręczyć ci karty podarunkowe na kilka tysięcy dolarów i opłacimy hotel.
- Sokoloffowie byli tacy ufni. Tacy mili. Tacy głupi. Bezdomne koty, psy srające na balkonie, zbiornik z tlenem Gila, albumy pełne zdjęć, zamartwianie się Imogen, nawet mieszanie się w jej sprawy; bałagan, steki jagnięce, ich gawędziarstwo, wszystko było wspaniałe.
- Z radością pomogę – powiedziała Jule.

Jule pojechała metrem do swojego mieszkania. Włączyła komputer, przeglądarkę, a potem zamówiła czerwoną koszulkę Uniwersytetu Stanford.

Kiedy przyszła pocztą dwa dni później, szarpała za kołnierzyk, aż się rozciągnął, a dół spryskała wybielaczem, żeby powstały plamy.

Wielokrotnie ją wyprała, żeby zrobiła się miękka i wyglądała na starą.

 WCIAŻ DRUGI TYDZIEŃ CZERWCA 2016  
 NOWY JORK

Dzień przed obiadem u Patti Sokoloff, Jule stała na ulicy górnego Manhattanu, trzymając w ręku kartkę z adresem. Była dziesiąta rano. Jule miała na sobie czarną sukienkę z prostokątnym dekoltem, która podkreślała jej kształtną sylwetkę, do tego również czarne szpilki w szpic. Były dla niej za małe. W torebce nosiła adidasy. Pomalowała się tak, jak jej zdaniem pomalowałyby się uczennica college'u. Włosy spięła w kok.

Szkoła Greenbriar zajmowała kilka odrestaurowanych willi wzdłuż Piątej Alei na osiemdziesiątej drugiej. Kamienna fasada wyższej szkoły, gdzie Jule miała pracować, mierzyła pięć kondygnacji. Kręte schody prowadziły do posągów przy wejściu. Do środka wchodziło się przez wielkie, podwójne drzwi. Szkoła wyglądała na taką, w której zdobywa się wyjątkowo niezwykle wykształcenie.

– Przyjęcie jest w sali balowej – powiedział ochroniarz do Jule. – Schodami po prawej na pierwsze piętro.

Podłogi holu wyłożone były marmurem. Po lewej, zgodnie z oznaczeniem, znajdowało się główne biuro, zaś na tablicy korkowej znajdowały się nazwy miejsc, w które wybierali się absolwenci Greenbriar: Yale, Penn, Harvard, Brown, Williams, Princeton, Swarthmore, Dartmouth, Stanford. Wszystkie wydawały się dla Jule czystą abstrakcją. Dziwnie było oglądać je ułożone jak wiersz, z każdą nazwą w oddzielnej linijce, jakby same w sobie wiele mówiły.

Na szczycie schodów znajdowało się wejście do sali balowej.

Do przodu wyszła władcza kobieta w czerwonej marynarce, wyciągając rękę.

– Catering? Witam w Greenbriar – powiedziała. – Cieszę się, że pani przyszła. Nazywam się Mary Alice McIntosh i jestem przewodniczącą komitetu do spraw zbierania funduszy.

– Miło panią poznać. Ja jestem Lita Kruschala.

– Greenbriar było pionierem w edukacji kobiet już w 1926 roku – rzuciła McIntosh. – Zajmujemy trzy galerie sztuk pięknych, które niegdyś służyły za domy prywatne. Budynki są zabytkowe, a nasi współcześni sponsorzy to filantropi oraz ludzie, którym edukacja kobiet leży na sercu.

– To szkoła tylko dla dziewcząt?

McIntosh podała jej pognieciony czarny fartuch.

– Badania dowodzą, że w szkołach jednopłciowych dziewczynki częściej wybierają nietradycyjne zajęcia, takie jak zaawansowane kursy z nauki ścisłej. Mniej się martwią o swój wygląd, są bardziej skore do rywalizacji i mają większe poczucie własnej wartości. – Recytowała to jak kwestię wygłaszaną tysiąc razy. – Dzisiaj spodziewamy się stu gości, których uraczymy muzyką i przekąskami. Następnym punktem w planie jest lunch na salonach na drugim piętrze. – Kobieta wprowadziła Jule do sali balowej, gdzie właśnie przykrywano stoły białymi obrusami. – Dziewczynki przychodzą tutaj na apele w poniedziałki i piątki, a w środku tygodnia korzystamy z tego miejsca na jogę i spotkania z gośćmi.

Na ścianach wisiały obrazy olejne. W powietrzu unosił się silny zapach płynu do polerowania mebli. Wnętrze oświetlały trzy żyrandole, a w kącie stał fortepian. Trudno było uwierzyć, że to szkoła.

McIntosh pokazała Jule osobę odpowiedzialną za catering, a Jule przedstawiła się jako Lita. Założyła na sukienkę fartuch. Szef kazał jej układać serwetki, ale gdy tylko odwrócił się do niej plecami, Jule przeszła na drugą stronę sali i zajrzała do klasy.

W środku znajdowało się mnóstwo książek. Na jednej ze ścian wisiała tablica, przy drugiej stał rząd komputerów, jednak środek pomieszczenia wydawał się stary. Na podłodze leżał gruby czerwony dywan. Ciężkie krzesła otaczały szeroki zabytkowy stół.



Na tablicy nauczycielka zapisała:

*Komentarz, 10 minut:*

*„Najważniejsze jest, by w każdej chwili być gotowym poświęcić to, czym jesteśmy, dla tego, czym możemy się stać”*

*— Charles Du Bos*

Jule dotknęła krawędzi stołu. Postanowiła, że będzie kiedyś siedzieć przy takim stole. To miejsce stanie się dla niej czymś normalnym, będzie siadać plecami do okien, z oknem na drzwi. Będzie spierać się z uczennicami o cytaty Du Bosa. Nauczycielka, kobieta w czerni, będzie górować nad nimi, lecz nie groźnie, a inspirująco. Będzie ich popychać ku wielkości. Będzie wierzyć, że jej uczennice to przyszłość.

Ktoś chrząknął. W progu pomieszczenia stanął szef cateringu. Pokazał na drzwi. Jule wyszła za nim i zabrała się za składanie serwetek.

W sali balowej pojawił się pianista, chudy rudzielec z jasną cerą i piegami. Miał zdecydowanie za krótkie rękawy. Rozpakował nuty, przez chwilę patrzył w telefon, a potem zaczął grać. Muzyka była dynamiczna i jakby elegancka. Dzięki niej w pomieszczeniu zrobiło się radośniej, jakby przyjęcie już się rozpoczęło. Kiedy Jule skończyła składanie serwetek, podeszła do fortepianu.

– Co to za utwór?

– Gershwin – odparł pianista z odrazą. – Do takiego przyjęcia tylko Gershwin. Bogacze go uwielbiają.

– A ty nie?

Wzruszył ramionami, nie przerywając grania.

– Dzięki niemu mam na czynsz.

– Myślałam, że ludzie, którzy grają na fortepianach, mają pieniądze.

– Zazwyczaj długi.

– Więc kim jest ten cały Gershwin?

– Kim był Gershwin. – Pianista skończył jeden utwór i zaczął inny. Jule patrzyła, jak jego dłonie poruszają się po klawiszach, i rozpoznała melodię. *Summertime, and the livin' is easy.*

– Znam to – powiedziała. – On już nie żyje?

– I to od dawna. Był z lat dwudziestych czy trzydziestych, z pierwszego pokolenia imigrantów. Jego ojciec pracował jako szewc. Przyjechał z żydowskim teatrem i zaczął pisać piosenki jazzowe, żeby zarobić szybko pieniądze, a potem komponował muzykę do filmów. Dopiero później muzykę klasyczną i operę. Dlatego skończył w klasie wyższej, ale zaczynał z niczym.

Jule pomyślała, że cudownie byłoby grać na jakimś instrumencie. Co by jej się nie przytrafiło, co by się nie wydarzyło w jej życiu, mogłaby spojrzeć na swoje dłonie i pomyśleć: „Potrafię grać na fortepianie”. To jedno zawsze wiedziała by na swój temat.

To tak samo jak umieć walczyć, stwierdziła. I zmieniać akcent. Istnieją siły tkwiące w twoim ciele, które nigdy cię nie opuszczą, bez względu na twój wygląd, bez względu na to, kto cię kochał albo nie kochał.

Godzinę później szef cateringu dotknął ramienia Jule.

– Ubrudziłaś się sosem koktajlowym, Lita – powiedział. – I śmietaną. Idź się umyj, a ja ci dam nowy fartuch.

Jule spuściła wzrok. Zdjęła fartuch i oddała szefowi.

Ktoś już zajął łazienkę znajdującą się najbliżej sali balowej, więc Jule weszła po kamiennych schodach na drugie piętro. Zobaczyła dwa eleganckie salony. Stoły zostały udekorowane bukietami różowych kwiatów. Goście witali się i przedstawiali sobie nawzajem.

W łazience dla kobiet był hol, z wystrojem utrzymanym w kolorach zieleni i złota, a także małą, bogato zdobioną kanapą. Jule przeszła przez pomieszczenie i otworzyła drzwi do toalety. Tam zdjęła szpilki Lity. Miała spuchnięte palce i krwawiące obtarcia na piętach. Wytarła je papierowym ręcznikiem. Następnie wyczyściła sukienkę.

Wróciła bez butów do holu, gdzie na kanapie zobaczyła pewną kobietę w wieku około pięćdziesięciu lat. Była piękna w manhattańskim stylu: miała opaloną skórę z misternie położonym różem i farbowane na brązowo włosy. Ubrała się w zieloną jedwabną sukienkę, dzięki której wydawała się idealnie pasować do zielono-złotego wystroju i zielonej aksamitnej kanapy. Miała gołe nogi i właśnie przyklejała plasterki na odciski. Na podłodze leżała para sandałów na wysokim obcasie.

– Przez ten upał puchną mi stopy – powiedziała – a cierpienie nie ma końca. Prawda?

Jule przybrała taki sam akcent.

– Ma pani zapasowy plasterek?

– Mam całe pudełko – odparła kobieta. Zaczęła grzebać w dużej torebce i zaraz wyciągnęła plastry. – Przyszłam przygotowana. – Paznokcie u stóp były pomalowane na błądy odcień różu.

– Dziękuję. – Jule usiadła obok i zajęła się swoimi obtarciami.

– Nie pamiętasz mnie, prawda? – zapytała kobieta.  
– Słucham?  
– Nic się nie martw. Ja pamiętam ciebie. Razem z moją córką, Immie, zawsze wyglądałyście jak dwie krople wody, w tych swoich mundurkach. Obie takie drobne i z tymi uroczymi piegami na nosach.

Jule zamrugła zaskoczona.

Kobieta uśmiechnęła się.

– Jestem matką Imogen Sokoloff, ptysiu. Mów do mnie Patti. Przyszedłeś na urodziny Imogen w pierwszej klasie, pamiętasz? Zostałeś na noc i robiłyśmy ciastka na patyczkach. Chodziłyście z Immie na zakupy w SoHo. Och, a pamiętasz, jak zabrałyśmy cię na *Copelię* do American Ballet Theatre?

– Oczywiście – odparła Jule. – Przepraszam, że od raz pani nie rozpoznałam.

– Nic się nie stało – powiedziała Patti. – Muszę przyznać, że zapomniałam twojego imienia, ale twarzy nie zapominam nigdy. I miałaś takie szalone niebieskie włosy.

– Jule.

– Oczywiście. To było takie fajne, że zaprzyjaźniłyście się z Immie w pierwszej klasie szkoły średniej. Po twoim odejściu spotykała się z dziećmi z Dalton. Nie lubiłam ich nawet w połowie tak, jak ciebie. Na przyjęcie przyszło chyba tylko kilka niedawnych absolwentek. Może nikogo nie znasz? Głównie widzę starsze panie, jak ja.

– Przysłali mi zaproszenie i przyszedłam posłuchać Gershwina – wyjaśniła Jule. – I żeby zobaczyć, jak szkoła wygląda po tak długim czasie.

– Jak miło, że doceniasz Gershwina – odparła Patti. – Ja jako nastolatka słuchałam tylko punk rocka, a jako dwudziestolatka Madonny czy kogo tam. W jakim college’u się teraz uczysz?

Czas na szybką decyzję. Jule wyrzuciła do kosza papierki po plasterkach.

– Stanford – powiedziała. – Ale nie jestem pewna, czy wrócę tam na jesieni. – Komicznie przewróciła oczami. – Właśnie prowadzę boje z biurem stypendialnym. – Wszystko, co mówiła do Patti, cudownie smakowało, jak rozpuszczająca się w ustach karmelka.

– Jaka szkoda. Myślałam, że mają tam świetny program stypendialny.

– Właściwie to mają. Ale nie dla mnie.

Patti popatrzyła na nią poważnie.

– Jestem pewna, że jakoś się wszystko ułoży. Patrzą na ciebie i widzę dziewczynę, która nie pozwoli, by ktoś stanął jej na drodze. Posłuchaj, masz może pracę na wakacje, jakiś staż czy coś podobnego?

– Jeszcze nie.

– W takim razie mam pewien pomysł, o którym chciałabym z tobą porozmawiać. To szaleństwo, ale może ci się spodoba. – Wyciągnęła wizytówkę w kremowym kolorze i podała ją Jule. Znajdował się na niej adres z Piątej Alei. – Muszę już wracać do domu. Mąż na mnie czeka. Nie jest z nim dobrze. Ale może przyjdiesz do nas na obiad jutro wieczorem? Wiem, że Gil z radością zobaczy się z dawną przyjaciółką Immie.

– Dziękuję, z przyjemnością.

– Siódma?

– Będę punktualnie – odparła Jule. – A teraz, czy mamy dość odwagi, by założyć z powrotem buty?

– Och, obawiam się, że nie mamy innego wyjścia – stwierdziła Patti. – Czasami trudno być kobietą.

 PIERWSZY TYDZIEŃ CZERWCA 2016  
 NOWY JORK

Szesnaście godzin wcześniej, o ósmej wieczorem, Jule wysiadła z metra na podejrzanym osiedlu w Brooklynie. Cały dzień szukała pracy. Już czwarty raz z rzędu miała na sobie najlepszą sukienkę.

Bez powodzenia.

Jej mieszkanie znajdowało się nad małym sklepikiem ze spłowiałym żółtym szyldem: *Joyful Food Mart*. Był piątek wieczorem i grupka facetów stała na rogu ulicy, rozmawiając głośno. Z przepelnionych koszy na chodnikach wypadały śmieci.

Jule zajmowała to lokum dopiero od czterech tygodni. Dzielila je z koleżanką, Litą Kruschałą. Dzisiaj należało zapłacić czynsz, a Jule nie miała pieniędzy.

Nie były zaprzyjaźnione z Litą. Poznały się, gdy Jule odpowiedziała na ogłoszenie znalezione w Internecie. Wcześniej zatrzymała się w schronisku dla młodzieży. Żeby znaleźć mieszkanie, korzystała z Internetu w publicznej bibliotece.

Gdy poszła obejrzeć mieszkanie, Lita zaproponowała jej pokój dzienny mieszkania jako sypialnię. Był oddzielony od kuchni za pomocą zasłony. Lita powiedziała Jule, że jej siostra niedawno wróciła do Polski, ale ona wolała zostać w Ameryce. Sprzątała mieszkania i pracowała dla firmy cateringowej, jedno i drugie za gotówkę. Nie mogła legalnie podjąć pracy w Stanach. Chodziła też na zajęcia z angielskiego na YMCA, Związku Młodzieży Chrześcijańskiej.

Jule powiedziała Licie, że pracuje jako trener personalny. Właśnie tym zajmowała się na Florydzie, a Lita jej uwierzyła. Jule zapłaciła za miesiąc z góry, gotówką, a jej nowa współlokatorka

nie prosiła o dowód osobisty. Jule nigdy nie wspomniała imienia Julietta.

W niektóre wieczory przychodzili polscy znajomi Lity, mówili w ojczystym języku i palili papierosy. Gotowali gulasz i ziemniaki. Tymczasem Jule zakładała słuchawki i zwijała się w kłębek na łóżku, ćwicząc różne akcenty z internetowych kursów. Czasami Lita wchodziła do jej pokoju i bez słowa wręczała miskę gulaszu.

Jule przyjechała do Nowego Jorku autobusem. Po incydencie z chłopakiem i niebieskim napojem, po sandałkach na obcasie i krwi na chodniku, Julietta West Williams zniknęła ze stanu Alabama. Rzuciła też szkołę. Miała siedemnaście lat i nie musiała kończyć edukacji. Żadne prawo jej tego nie nakazywało.

Może poradziłaby sobie, siedząc cicho. Okazało się, że chłopak przeżył i nie powiedział nikomu ani słowa. A może, gdyby została w mieście, jednak by przemówił. A może by się na niej zemścił.

Pensacola w stanie Floryda znajdowała się zaledwie kilkaset kilometrów dalej. Jule zatrudniła się za gotówkę w siłowni w galerii handlowej. Właściciele nie wymagali żadnych certyfikatów. Szprycowali chłopaków sterydami, a cały interes był trochę szemrany.

Julietta codziennie zajmowała się treningiem facetów. Wykidajłów, oprychów, ochroniarzy, a nawet policjantów. Pracowała tam pół roku i sama przybrała na masie. Szef posiadał też klub ze sztukami walki i pozwalał jej chodzić na zajęcia za darmo. Julietta wynajmowała pokój z aneksem kuchennym w motelu, płaciła co tydzień. Kupiła laptop i telefon, ale poza tym wszystkie pieniądze odkładała.

W czasie lunchu często szła piechotą do pobliskiej galerii handlowej, takiej eleganckiej, z fontannami i największymi firmami. Czytała w przestronnej księgarni, oglądała sukienki za tysiące dolarów i próbowała kosmetyków w drogerii. Nauczyła się nazw najbardziej cenionych marek. Stworzyła siebie na nowo za pomocą pudrów, kremów i błyszczaków. Jej twarz jednego dnia wyglądała tak, a drugiego zupełnie inaczej. Nie wydała na to ani centa.

I właśnie tak poznała Neila. Neil był szczupłym chłopakiem w kremowej skórzanej kurtce. Od czasu do czasu spędzał

popołudnie przechadzając się między regałami w drogerii i zagadując do dziewczyn. Na nogach nosił robione na zamówienie adidasy Nike i mówił z południowym akcentem. Nie miał więcej niż dwadzieścia pięć lat, miał dziecienną twarz z rumianymi policzkami, bokobrody i złoty krzyżyk na piersi. Należał do tego typu kolesi, którzy zawsze zachowywali się zbyt głośno w kinie i kupowali ogromny kubełek popcornu.

– Neil...? – zapytała Julietta.

– Nie używam nazwiska – odparł. – Nie jest wystarczająco ładne, żeby do mnie pasować.

Neil działał w branży. Właśnie to jej powiedział, kiedy zapytała, co robi w drogerii.

– Działam w branży.

Zastanawiała się, skąd się wzięło to określenie. Było typowe dla Pensacoli czy może pochodziło z innego miejsca?

Wiedziała, co miał na myśli.

– Mogłabyś zarobić znacznie więcej, gdybyś pracowała dla mnie. Miałabyś u mnie dobrze – powiedział jej. To był trzeci dzień, odkąd zaczęła z nim rozmawiać. – Gdzie pracujesz, ślicznotko? Bo widzę, że nie wydajesz ani centa.

– Nie nazywaj mnie ślicznotką.

– Dlaczego? Jesteś przepiękna.

– Naprawdę dziewczyny lubią cię, bo je tak nazywasz?

Wzruszył ramionami i roześmiał się.

– Tak.

– W takim razie masz strasznie głupie dziewczyny.

– Mam bardzo fajne dziewczyny. Pokażą ci, jak to jest. Praca nie jest ciężka.

– Jasne.

– Będiesz czysta. Kupisz sobie jakieś ładne ciuszki. Będzie spać do południa.

Julietta spławiła go tamtego dnia, ale Neil pojawił się znowu w drogerii tydzień później. Wtedy zapytał ją grzecznie, czy mógłby jej kupić buritto w dziale restauracyjnym galerii. Usiedli na tandetnym stołku przy fontannie.

– Wiesz, faceci lubią umięśnione laski – powiedział Neil. – Nie każdy, ale większość. Tacy goście lubią, żeby nimi pomiatać. Chcą



tak zbudowanej babki jak ty, która nie pozwoli się nazywać „ślicznotką”. Wiesz, co mam na myśli? Mogę załatwić ci naprawdę niezłą kaskę od pewnego specyficznego gościa. Naprawdę niezłą kaskę.

– Nie będę pracować na ulicy – odparła.

– Nie na ulicy, żółtodziobie. To kilka apartamentów z odźwiernym i windą. Jacuzzi. Mamy ochroniarza pilnującego korytarze, żeby nikomu nic nie groziło. Posłuchaj, masz teraz ciężko. Widzę to, bo sam to samo przechodziłem. Nic na początku nie miałem i zapieprzałem jak głupi, żeby coś osiągnąć. Jesteś piękną, pyską i niezwykłą dziewczyną. Masz niesamowite ciało, same mięśnie, i uważam, że zasługujesz na więcej niż masz. To wszystko.

Julietta wysłuchiwała go.

Mówił to, co czuła. Rozumiał ją.

– Skąd jesteś, Julietto?

– Z Alabamy.

– Brzmisz jak ktoś z północy.

– Straciłam akcent.

– Że co?

– Zastąpiłam go innym.

Faceci, z którymi Julietta pracowała na siłowni, byli starsi. Chcieli gadać tylko o powtórzeniach i kilometrach, ciężarach i dawkach. A tylko z nimi rozmawiała. Neil był przynajmniej młody.

– Kiedy miałam dziewięć lat – zaczęła – któregoś dnia... Powiedzmy, że to był beznadziejny dzień. Nauczycielka ciągle nas uciszała. Krzyczała na mnie, żebym siedziała cicho. „Starczy, dziecko, dość już się nagadałaś”. „Przestań, dziecko, nie bij, tylko używaj słów”. I ciągle to „zamknij się, zamknij się”. Szkoła przygniata, każe ci siedzieć cicho, nie wychylać się. „Dobrze” znaczy tyle, co „nie walcz o swoje”.

Neil pokiwał głową.

– Mnie zawsze karcili za to, że byłem głośny.

– Któregoś dnia nikt z rodziny nie przyszedł po mnie do szkoły. Tak po prostu. Ktoś z biura dyrektora zadzwonił do domu, ale nikt nie odebrał. Nauczycielka ze świetlicy, pani Kayla, odwiozła mnie,

gdy zrobiło się ciemno. Prawie jej nie znałam. Wsiadłam do jej samochodu, bo miała ładne włosy. Wiem, że nie powinnam, że nie wsiada się do samochodu nieznanego. Ale to była nauczycielka. Dała mi paczkę tic taców. Prowadząc, ciągle gadała i gadała, żeby mnie podnieść na duchu, rozumiesz? I pochodziła z Kanady. Nie wiem, skąd dokładnie, ale mówiła z kanadyjskim akcentem.

Neil pokiwał głową.

– Zaczęłam ją naśladować – ciągnęła dalej Julietta. – Byłam ciekawa, dlaczego mówi po angielsku w ten sposób. Mówiła „gaz” zamiast „gas”, „abut” zamiast „about”. To ma nawet swoją nazwę, tak na marginesie, i polega na przesunięciu samogłoski. Pani Kayla zaczęła się śmiać, gdy udawałam jej akcent. Powiedziała, że mam dobre ucho. Kiedy dotarliśmy do domu, odprowadziła mnie do drzwi.

– I co potem?

– W domu cały czas ktoś był.

– Cholercia.

– Właśnie. Oglądała telewizję. Nie pomyślała, żeby mnie odebrać. A może nie mogła. Nie wiem. Tak czy inaczej, porąbana sprawa. Nie chciało jej się nawet odebrać głupiego telefonu, a przecież dzwonili do szkoły nie jeden raz. Otworzyłam drzwi i weszłam do środka. Zapytałam, gdzie była, a ona na to, żebym siedziała cicho, bo przecież ogląda telewizję. Zapytałam, dlaczego nie podniosła słuchawki. A ona do mnie: „Przecież mówiłam, że masz być cicho”. Wiesz, znowu „zamknij się i nie walcz”. Dlatego robiłam sobie płatki i oglądałam razem z nią telewizję. Po jakiejś godzinie gapienia się w telewizor nagle coś zrozumiałam.

– Co takiego?

– Telewizja uczy tego, jak mówić. Wszyscy ci prezenterzy, bogacze, lekarze w tych serialach medycznych. Nikt z nich nie mówił tak, jak ja. Ale wszyscy mówili tak samo.

– Może i tak.

– To prawda. Pomyślałam, że jeśli nauczę się mówić w ten sposób, może nie będą ciągle na mnie krzyczeć, żebym się zamknęła.

– Nauczyłaś się sama?

– Na początku generalnego amerykańskiego. To ten, który

słyszysz w telewizji. Ale teraz umiem też akcenty z Bostonu, Brooklynu, Zachodniego Wybrzeża, Południa, Kanady, Irlandii, Szkocji i Południowej Afryki, a także brytyjski z BBC.

– Chcesz być aktorką. O to chodzi?

Julietta pokręciła głową.

– Myślę o czymś lepszym.

– Dominacji nad światem?

– Coś w tym stylu. Muszę się jeszcze zastanowić.

– Na pewno mogłabyś zostać aktorką – oznajmił Neil, szczerząc zęby. – Założę się, że będziesz grać w filmach. Za rok na bank będę sobie myślał, że wow, ta dziewczyna, Julietta, stała kiedyś przy kosmetykach Chanel i paćkała się za darmo. I nawet pozwalała mi czasem ze sobą pogadać.

– Dzięki.

– Musisz sobie sprawić jakieś fajne ciuszki, panno Julietto. Musisz poznać grube ryby, które kupią ci błyskotki i ładne sukienki. Mówienie jak ci w telewizji to jedno, ale w tej chwili masz tylko dres, adidas i tanią fryzurę. W ten sposób do niczego nie dojdiesz.

– Nie chcę sprzedawać tego, co ty sprzedajesz.

– Mów do mnie po brooklińsku – powiedział Neil.

– Moja przerwa na lunch właśnie się skończyła. – Julietta wstała.

– No weź, to chociaż po irlandzku.

– Nie.

– Okej, jakbyś kiedyś chciała lepszej roboty, masz tutaj mój numer – rzucił Neil, wyciągając z kieszeni wizytówkę. Była czarna, a numer wydrukowano srebrnym tuszem.

– Wychodzę.

Neil podniósł swój kubek coli, jakby wznosząc toast.

Julietta roześmiała się i odeszła.

Przy Neilu czuła się ładna. No i potrafił słuchać.

Następnego ranka spakowała się i wsiadła do autobusu odjeżdżającego do Nowego Jorku. Bała się, kim mogłaby się stać, gdyby została dłużej w tym miejscu.

Teraz nadszedł czas, żeby zapłacić czynsz. Od jakiegoś czasu jadła tylko zupki z proszku. W portfelu zostało jej pięć dolarów.

Żadna siłownia w Nowym Jorku nie zatrudniała trenerów bez certyfikatów. Jule nie skończyła nawet szkoły średniej. Nie miała też referencji, bo rzuciła z dnia na dzień swoją jedyną dotychczasową pracę. Na początku myślała, że w siłowni zarobi najwięcej i przy okazji odłoży trochę, by wspinać się dalej po drabinie społecznej. Potem, kiedy nigdzie jej nie chcieli zatrudnić, próbowała dostać się do drogerii i innych sklepów czy restauracji. Chciała nawet zostać nianią, sprawdzała każde ogłoszenie. Szukała pracy cały dzień, każdego dnia. Nic z tego nie wynikło.

Zatrzymała się w sklepiku pod mieszkaniem. W środku było dużo klientów. Ludzie wpadali w drodze z pracy, żeby kupić paczkę makaronu czy puszkę fasolki, albo puszczały kupony na loterii. Jule kupiła kubek budyniu waniliowego za dolara i wzięła plastikową łyżeczkę. Zjadła budyń na obiad, idąc schodami do mieszkania zajmowanego z Litą.

W środku panowała ciemność. Jule poczuła ulgę. Lita albo położyła się wcześniej albo było już naprawdę późno. Tak czy inaczej, Jule nie musiała wymyślać wymówek w związku z niezapłaconym czynszem.

Następnego ranka Lita nie wychodziła ze swojego pokoju. Zazwyczaj w soboty wstawała już o siódmej, żeby iść do pracy w cateringu. O ósmej Jule zapukała do jej drzwi.

– Wszystko okej?

– Jestem trupem – zawołała Lita.

Jule zajrzała do środka.

– Musisz iść dzisiaj do pracy, racja?

– Na dziesiątą. Ale całą noc rzygałam. Za dużo mieszałam.

- Przynieść ci wody?
- Lita jęknęła.
- Chcesz, żebym cię zastąpiła? – zapytała Jule, gdy nagle przyszło jej do głowy to rozwiązanie.
- Nie wydaje mi się – odparła Lita. – Wiesz w ogóle, jak się pracuje w cateringu?
- Jasne.
- Jeśli się nie pojawię, zwolnią mnie.
- Więc wyślij mnie. Obie na tym skorzystamy.
- Lita spuściła nogi z łóżka i złapała się szafki nocnej; chyba zrobiło jej się niedobrze.
- No dobra.
- Serio?
- Tylko podaj się za mnie.
- W ogóle nie jesteśmy do siebie podobne.
- Nieważne. Mają nowego kierownika. Nie zwróci na ciebie uwagi, bo to duże przyjęcie. Najważniejsze, żeby zakreślili moje nazwisko.
- Jasne.
- I pamiętaj, żeby zapłacił ci przed końcem. Dwadzieścia za godzinę plus napiwki, wszystko w gotówce.
- Mogę zatrzymać pieniądze?
- Połowę. W końcu to moja praca.
- Trzy czwarte – zaprotestowała Jule.
- Niech ci będzie. – Lita sięgnęła po telefon i spisała adres na kartce. – Szkoła Greenbriar na Upper East Side. Musisz podjechać autobusem do metra i potem się przesiąść.
- Co to za przyjęcie?
- Impreza dla sponsorów. – Lita położyła się z powrotem na łóżku, jakby bała się ruszać głową. – Nigdy więcej nie ruszę alkoholu. Aha, musisz się ubrać w czarną sukienkę.
- Nie mam żadnej.
- Lita westchnęła.
- Weź jedną z mojej szafy. Na miejscu dostaniesz fartuch. Nie, nie tę z koronką. Tę muszę oddawać do pralni. Weź tę bawełnianą.
- Potrzebuję też butów.
- Rany, Jule.

– Przepraszam.

– Weź szpilki. Będziesz miała większe napiwki.

Jule wcisnęła stopy w ciasne buty. Były za małe, ale jakoś da radę.

– Dzięki.

– Połowa napiwków dla mnie – powiedziała Lita. – To moje najlepsze buty.

Jule jeszcze nigdy nie miała na sobie tak ładnej sukienki. Uszyto ją z grubej bawełny, nadawała się raczej na dzień niż na wieczór, miała prostokątny dekolt i pełny dół. Jule dziwiło, że Lita posiada takie ubrania, ale podobno kupiła ją za grosze w sklepie z używaną odzieżą.

Jule wyszła na ulicę w sukience i butach sportowych, a szpilki schowała do torebki. W powietrzu unosił się ciężki zapach Nowego Jorku w żarze wczesnego lata: smród śmieci, biedy i ambicji.

Postanowiła przejść się piechotą na Brooklyn Bridge. Mogła złapać metro po manhattańskiej stronie i oszczędzić sobie w ten sposób przesiadki.

Gdy ruszała, świeciło słońce, przeglądając się w górujących nad ulicą wieżowcach. Jule widziała łodzie przy przystani, które zostawiały ślad na wodzie. Statua Wolności stała silna i piękna.

Dziwnie było tak iść w cudzej sukience. Jule czuła się kimś innym, zmieniała się w kogoś nowego, była piękna i młoda, a przekraczała ten most, by zrobić coś wielkiego – po to w ogóle przyjechała do Nowego Jorku.

Nigdy wcześniej nie czuła, że wszystko jest możliwe.

 TRZECI TYDZIEŃ CZERWCA 2017  
 CABO SAN LUCAS W MEKSYKU

Trochę ponad rok później, o piątej rano w Cabo Inn Jule wpadła do łazienki, zmoczyła twarz wodą i pomalowała oczy. Dlaczego nie? Lubiła makijaż. Nie musiała się śpieszyć. Nałożyła korektor i puder, dodała cień do powiek, a potem maskarę, prawie czarną szminkę i błyszczak.

Wtarła żel we włosy i ubrała się. Czarne dżinsy, znowu ciężkie buciory i ciemny T-shirt. Zbyt ciepłe jak na meksykańską pogodę, ale praktyczne. Spakowała walizkę, wypila butelkę wody i wyszła za próg.

Na korytarzu siedziała Noa, plecami do ściany, trzymając w dłoniach parujący kubek kawy.

Czekała.

Drzwi zamknęły się z cichym trzaskiem. Jule zablokowała je własnym ciężarem.

Cholera.

Myślała, że jest wolna albo prawie wolna. A teraz musiała o tę wolność zawalczyć.

Noa wydawała się pewna siebie; niemal zrelaksowana. Nie podniosła się z podłogi, kolana miała przyciśnięte do piersi, a na nich oparła kubek z kawą.

– Imogen Sokoloff? – zapytała.

Zaraz. Co takiego?

Czy Noa myślała, że Jule to Imogen?

Imogen, jasne.

Noa próbowała zdobyć sympatię Jule, wspominając Dickensa. I chorego ojca. I pieprzone koty. Ponieważ wiedziała, że



to wszystko skusiłoby do rozmowy *Imogen Sokoloff*.

– Noa! – powiedziała Jule z uśmiechem i brytyjskim akcentem, stojąc plecami do drzwi. – O rany, zaskoczyłaś mnie. Nie wierzę, że tu jesteś.

– Chciałabym porozmawiać o zaginięciu Julietty West Williams – oznajmiła Noa. – Znałaś młodą kobietę o tym nazwisku?

– Słucham? – Jule przełożyła pasek torebki przez głowę, żeby się nie zsunął.

– Daruj sobie akcent, Imogen – rzuciła Noa, podnosząc się powoli, żeby nie rozlać kawy. – Mamy powody, by wierzyć, że używałaś paszportu Julietty. Wszystko wskazuje na to, że upozorowałaś własną śmierć w Londynie kilka miesięcy temu, po czym przelałaś swoje pieniądze do Julietty i przejęłaś jej tożsamość, być może za jej zgodą. Jednak od kilku tygodni nikt jej nie widział. Nie zostawiła żadnych śladów od czasu odebrania spadku, dopóki nie zaczęłaś korzystać z jej kart kredytowych w Playa Grande. Czy to brzmi znajomo? Czy mogłabym zobaczyć twoje dokumenty?

Jule musiała przetrwać wszystkie te informacje, lecz nie było na to czasu. Musiała działać natychmiast.

– Myślę, że mnie z kimś pomyliłaś – powiedziała, zachowując brytyjski akcent. – Przepraszam, że nie przyszłam na quiz. Wyjmę tylko portfel i zaraz wszystko wyjaśnimy.

Udała, że zagląda do torebki, zrobiła dwa kroki i skoczyła na Noa. Wytrąciła jej kubek, uderzając od dołu. Kawa wciąż była gorąca i wylała się na twarz detektyw.

Noa zatoczyła się do tyłu, a Jule zamachnęła się mocno walizką. Trafiła policjantkę w skroń i posłała ją na podłogę. Jule podniosła się jeszcze raz walizkę i tym razem wycelowała w ramię. Uderzała raz za razem. Policjantka w dalszym ciągu leżała i lewą ręką próbowała złapać Jule za kostkę, jednocześnie sięgając pod prawą nogawkę swoich spodni.

Czy Noa była uzbrojona? Tak. Miała coś przyczepionego do nogi.

Jule z całą siłą przygniotła ciężkim butem dłoń policjantki. Rozległ się trzask i Noa wrzasnęła, lecz drugą ręką wciąż starała się chwycić za kostkę Jule i pozbawić ją równowagi.

Jule podparła się o ścianę i kopnęła kobietę w twarz. Kiedy

detektyw cofnęła się, podnosząc obie dłonie, by chronić oczy, Jule szarpnęła do góry nogawkę jej spodni.

Do łydki Noa przyczepiony był pistolet. Jule wyrwała go z kabury.

Wycelowała w policjantkę i wycofała się w głąb korytarza, ciągnąc za sobą walizkę.

Kiedy dotarła do schodów, odwróciła się i zbiegła.

Przy tylnym wyjściu z budynku rozejrzała się, patrząc na kubły na śmieci i zaparkowane nieopodal samochody. Przy ścianie stały rowery.

Nie. Jule nie mogła wziąć roweru, bo wtedy musiałaby zostawić walizkę.

Kawałek dalej w dół wzgórza ulica prowadziła do placyku z kawiarnią.

Nie, to było zbyt oczywiste.

Jule przebiegła przez parking. Kiedy skręciła za róg budynku, zobaczyła okno pokoju znajdującego się przy bocznej ścianie. Było uchylone.

Jule zajrzała do środka.

Pusto. Łóżko było zaścielone.

Wyrwała siatkę z okna i wrzuciła do pokoju. Wcisnęła walizkę przez szparę u góry – ledwo się zmieściła – i przepchnęła przez tanie żaluzje. Przerzuciła też torebkę, a następnie sama wskoczyła do pokoju. Podrapała się i wylądowała twardo na podłodze. Potem zamknęła okno, poprawiła żaluzje, a następnie schowała swoje rzeczy i wyrwaną siatkę do łazienki. Na koniec sama się tam zamknęła.

Hotel to ostatnie miejsce, w jakim Noa będzie jej szukać.

Jule usiadła na krawędzi wanny i wysiłkiem woli uspokoiła oddech. Rozpięła walizkę i wyciągnęła czerwoną perukę. Zdjęła czarny T-shirt i założyła biały top, a potem perukę, chowając pod nią włosy. Zasunęła walizkę.

Sięgnęła po pistolet i wsunęła go za pasek dżinsów, tak samo jak bohaterowie jej ulubionych filmów.

Kilka minut później usłyszała kroki Noa pod oknem pokoju. Detektyw rozmawiała z kimś przez telefon i poruszała się powoli.

– Wiem – mówiła. – Nie doceniłam powagi sytuacji, zdaję sobie

z tego sprawę. – Pauza. – To miała być prosta sprawa, rozumiesz? Dziewczyna, która uciekła ze spadkiem. – Noa zatrzymała się i łatwo było ją teraz usłyszeć. – Głupia córeczka bogatych rodziców na gigancie. Zebrane dotychczas dowody wskazywały, że razem z przyjaciółką upozorowały jej śmierć, by żyć we dwie bez zobowiązań. Postanowiły zniknąć razem. Chciały uciec przed tym, co zazwyczaj: nie dającym się spławić byłym chłopakiem, zaborczymi rodzicami. Przyjaciółka myślała, że podzieli się pieniędzmi bogaczki, ale ta ją wyrolowała. Zabrała jej dokumenty i zwiała... Najbardziej prawdopodobna wersja to zlecenie zabójstwa, zapewne jeszcze w Wielkiej Brytanii. Przyjaciółka zaginęła, ostatni raz widziano ją w kwietniu. Tymczasem bogaczka, korzystając z jej tożsamości, uciekła z całą kasą i żyłaby sobie szczęśliwie, gdyby nie był chłopak, który nie mógł uwierzyć, że się zabiła, więc ciągle dręczył policję. Wreszcie uznali, że może ma rację. Sprawdzili i w końcu dowiedzieli się, że jej przyjaciółka korzysta ze swoich kart kredytowych w Meksyku.

Kolejna chwila ciszy, gdy mówił rozmówca Noa.

– Daj spokój. Taka dziewczyna, absolwentka Greenbriar, kto by się spodziewał, że potrafi się bić. Ona nie ma nawet metra sześćdziesięciu. Nosi adidas za trzy stowy. Nie możesz mi tego wypominać.

I jeszcze raz ucichła, a za chwilę jej głos zaczął niknąć, gdy Noa oddalała się od hotelu.

– Nieważne, po prostu wyślij mi kogoś, bo potrzebuję pomocy medycznej. Dziewczyna ma moją broń. Tak, wiem, wiem. Wyślij mi kogoś z miejscowych, *comprende?*

Forrest nasłał na nią detektywów. Jule już wszystko rozumiała. Nigdy nie uwierzył w samobójstwo Immie, od początku podejrzewał Jule i co mu powiedzieli śledczy? Że Imogen popełniła oszustwo, żeby się od niego uwolnić, a ta biedna Jule została tylko naiwną ofiarą.

Wyszła z łazienki, przeczołgała się po podłodze i kucnęła pod oknem, żeby wyrzeć na zewnątrz. Noa schodziła ze wzgórza, trzymając się za ramię.

W dół ulicy jechał autobus. Jule chwyciła walizkę i poprowadziła ją przez korytarz, a potem wyszła z hotelu bocznymi drzwiami.

Spokojnie zbliżyła się do krawężnika i podniosła rękę.

Autobus zatrzymał się.

Jule odetchnęła z ulgą.

Noa nie odwróciła się w jej stronę.

Jule wsiadła do samochodu.

Noa wciąż się nie odwróciła

Zapłaciła za przejazd i drzwi autobusu się zamknęły. Samochód podjechał w miejsce, gdzie stała Noa, przytrzymując zranioną rękę. Detektyw pokazała legitymację osobie siedzącej w środku.

Autobus odjechał w przeciwnym kierunku. Jule usiadła na wyświechtanym fotelu najbliżej kierowcy.

Auto zatrzyma się tam, gdzie będzie chciała.

– *Quiero ir a la esquina de Ortizy Ejido. ¿Puedes llevarme cerca de allí?* – zapytała Jule.

Pojedzie pod adres podany przez recepcjonistę, żeby kupić używany samochód. Za gotówkę i bez zbędnych pytań.

Kierowca pokiwał głową.

Jule West Williams opadła głębiej na fotel.

Miała cztery paszporty, cztery prawa jazdy, trzy peruki, kilka tysięcy dolarów w gotówce oraz numer karty kredytowej należącej do Forresta Smitha-Martina, dzięki której kupi bilety lotnicze.

Właściwie to istnieje wiele rzeczy, które Jule mogłaby zrobić z danymi z karty Forresta. Mogłaby mu odpłacić za kłopoty, jakie jej sprawił.

Kuszące.

Niemniej pewnie nie będzie jej się chciało tego robić. Forrest nic już dla niej nie znaczył, skoro nie musiała udawać Imogen Sokoloff.

Resztki Immie, które kryły się w niej, odpłynęły niczym kamyki zabrane z brzegu przez fale.

Od teraz Jule będzie kimś zupełnie innym. Będą inne mosty do przejścia i inne sukienki do założenia. Zmieniła już kiedyś akcent, zmieniła esencję samej siebie.

Mogła to zrobić ponownie.

Zdjęła jadeitowy pierścionek i rzuciła go na podłogę, a potem patrzyła, jak toczy się na drugi koniec autobusu. Na Culebrze nikt nie patrzy na dokumenty.

Czuła na plecach zimny metal pistoletu. Była uzbrojona. Nie miała serca, które można by złamać.

Niczym bohaterka kina akcji, Jule West Williams znalazła się w centrum opowieści.

## POSŁOWIE AUTORKI

Do napisania tej książki zainspirowało mnie wiele książek i filmów: wiktoriańskie opowieści o sierotach, przygody oszustów, powieści o antybohaterach, filmy akcji, filmy noir, komiksy superbohaterskie, historie opowiadane od końca, historie o mobilności klas, a także książki o życiu niezwykle ambitnych, nieszczęśliwych kobiet. Napisana przeze mnie powieść zdaje mi się składać z wielu warstw odniesień. Nie potrafiłabym wymienić wszystko, co wywarło na mnie wpływ, jednak szczególnie dużo zawdzięczam Patricji Highsmith za „Utalentowanego pana Ripleya”, Markowi Sealowi za „Dziwny przypadek Rockefellera” oraz Charlesowi Dickensowi za „Wielkie nadzieje”.

## PODZIĘKOWANIA

Dziękuję moim wczesnym czytelnikom za ich szczegółowe uwagi: Ivy Aukin, Coe Booth, Mattowi de la Peña, Justine Larbalestier oraz Zoey Peresman. Jeszcze większe podziękowania lądują do Sarah Mlynkowski, która przeczytała kilka szkiców. Fotografka Heather Weston stworzyła cudowne obrazy zainspirowane powieścią i pozwoliła mi lepiej zrozumieć jej estetykę. Jestem ogromnie wdzięczna Ally Carter, Laurze Ruby, Anne Ursu, Robin Wasserman, Scottowi Westerfeldowi, Gayle Forman, Melissie Kantor, Bobowi, Meg Wolitzer, Kate Carr, Libbie Bray oraz Len Jenkins za wsparcie i kibicowanie. Mojej agentce, Elizabeth Kaplan, która była mistrzynią, a także jej asystentowi, Brianowi McGuffogowi, który okazał się niezwykle pomocny. Dziękuję Jane Harris i Emmie Matthewson z HotKey oraz Evie Mills i Elise Jones z Allen nad Unwin za ich pomoc na wczesnym etapie. Dziękuję Ramonie Jenkins za wiedzę medyczną. Ogromnie jestem wdzięczna wspaniałemu zespołowi z Penguin Random House, w tym między innymi Johnowi Adamo, Laurze Antonacci, Dominique Cimina, Kathleen Dunn, Colleen Fellingham, Annie Gjesteby, Rebecce Gudelis, Christine Labov, Casey Lloyd, Barbarze Marcus, Lisie Nadel, Adrienne Waintraub – a w szczególności mojej wymagającej, cierplivej i motywującej redaktorce od filmów akcji, Beverly Horowitz. Dziękuję również rodzinie, bliskiej i dalekiej, a przede wszystkim Danielowi Aukinowi.



## **SPIS TREŚCI**

18

17

16

15

14

13

12

11

10

9

8

7

6

5

4

3

2

1

19

POSŁOWIE AUTORKI

PODZIĘKOWANIA